

PROWINCJA

KWARTALNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY DOLNEGO POWIŚLA I ŻUŁAW • NR 3 (9) • 2012





BANK SPÓŁDZIELCZY
W SZTUMIE

TRADYCJA DOŚWIADCZENIE NOWOCZESNOŚĆ



Wydawnictwo kwartalnika wspiera
Zarząd Fobos Invest:
Jacek Szarycki i Witold Zapolski-Downar



Publikacja została dofinansowana z budżetu samorządu
Województwa Pomorskiego w ramach programu
„Rozwój kultury w województwie pomorskim w 2012 roku”

WOJEWÓDZKA BIBLIOTEKA PUBLICZNA
Im. Josepha Conrada Korzeniowskiego
Pracownia Regionalna
przegródka poczt. Nr 447
80-958 Gdańsk 50
tel. 301-48-11 do 14 w. 237

PROWINCJA

KWARTALNIK
SPOŁECZNO-KULTURALNY
DOLNEGO POWIŚLA I ŻUŁAW

Nr 3 (9)

2012

Redakcja

Leszek Sarnowski - redaktor naczelny

Wacław Bielecki - sekretarz redakcji

Marek Stokowski

Janusz Ryszkowski

Andrzej Kasperek

Okladka: Mariusz Stawarski

Obrazy na okładce:

Hanna Uchmańska: Ogródnik (III str.), Don Kichot (IV str.)

Druk: Drukarnia W&P

ul. Ałkacyjowa 29, 82-200 Malbork

Wydawca:

Stowarzyszenie Inicjatyw Obywatelskich „TAKA GMINA” w Sztumie

82-400 Sztum, ul. Królowej Jadwigi 10

tel. 693 527 614

provincja@onet.pl

Redakcja składa serdeczne podziękowania za wsparcie naszej inicjatywy wydawniczej:

Andrzejowi Krzysztofiakowi, burmistrzowi Kwidzyna

Jerzemu Godzikowi, staroście kwidzyńskiemu

Wojciechowi Cymerysowi, staroście sztumskiemu

Leszkowi Taborowi, burmistrzowi Sztumu

Andrzejowi Rychłowskiemu, burmistrzowi Malborka

Mirosławowi Czapli, staroście malborskiemu

Romanowi Pawłowskiemu, burmistrzowi Prabut

Kazimierzowi Szewczunowi, burmistrzowi Dzierzgonia

Dziękujemy również za współpracę przy promocji kwartalnika:

Kwidzyńskiemu Centrum Kultury

Sztumskiemu Centrum Kultury

Miejskiemu Domowi Kultury w Malborku

Żuławskiemu Parkowi Historycznemu w Nowym Dworze Gdańskim

Stowarzyszeniu Inicjatywa Aktywny Malbork

Stowarzyszeniu Malborskie Centrum Kwadrat

www.marienburg.pl

www.tvmalbork.pl

Miejsca w których można kupić kwartalnik „Prowincja”:

Kwidzyńskie Centrum Kultury

Sztumskie Centrum Kultury

Miejski Dom Kultury w Malborku

Żuławski Park Historyczny w Nowym Dworze Gdańskim, ul. Kopernika 10

Księgarnia „Bestseller” w Sztumie, ul. Reja 13

Agencja Reklamowa „Aliem” Sławomira Michalika, Sztum ul. Galla Anonima 8

Sklep papierniczo - biurowy „Kopiał” w Malborku, ul. Zeromskiego 5

Księgarnia Idea Jz. w Nowym Dworze Gdańskim, pl. Wolności 11

Redakcja prowadzi również sprzedaż wysyłkową –
zamówienia można składać pocztą elektroniczną na adres wydawcy.

Wszystkim, którzy zechcą wesprzeć finansowo nasz kwartalnik podajemy numer konta wydawcy

– Stowarzyszenia Inicjatyw Obywatelskich „Taka Gmina” w Sztumie:

Bank Spółdzielczy w Sztumie: 42 8309 0000 0002 6741 2000 0010

ISSN 2082-0291

www.prowincja.com.pl

SPIS TREŚCI

Dziewiąta „Prowincja”	5
------------------------------------	----------

Proza

Andrzej Kasperk – Spopielale włosy Sulamitki	6
Grażyna Kamyszek – Dziękuję Ci, Hildo.....	13

Poezja

Małgorzata Anna Jędrzejewska	16
Anna Peplińska	19
Tomasz Wandzel	21
Stanisław Modrzewski.....	23

Esej

Andrzej Kasperk – Wielorzecze Modrzewskiego.....	25
--	----

Wędrówki po prowincji

Aleksandra Paprot – Tam, gdzie straszy diabeł Farmazon.....	31
Kordian Kuczma – Ulice Malborka	37
Wiesław Olszewski – Żuławski wątek „berlinki”	43
Wirginia Węglińska – Resocjalizacja w miejscu pamięci	49
Piotr Piesik – Koniecwałd w sieci.....	56

Na tropach historii

Przemysław Dorszewski – Pomnik dla poćwiartowanego burmistrza.....	60
Cezary Tryk – Krzyżacka szkoła sokołów.....	65
Janusz Namenanik – Klasztor Reformatów w Dzierzgoniu	72
Janusz Ryszkowski – Tarcza ze skóry słonia, albo nosorożca	79
Jan Chłosta – Szkołę tę widział użyteczną	86
Marta Chmielińska – Hieronim Żbikowski – „bandyta” z Krzyżem Walecznych.....	95
Leszek Sarnowski – „Sztumska Solidarność”, czyli pionierzy lokalnych mediów....	100
Karol Nawrocki – „Krwawa sobota” w Kwidzynie	119

Prowincje dalekie i bliskie

Paweł Głogowski – W alzackim Malborku	125
Maria Wiśniewska – Comenius, czyli z nauczycielską wizytą w Hiszpanii i Irlandii	129
Maciej Grochowski – Kajakiem po Drwęcy.....	133

Muzyka – Plastyka - Teatr

Wacław Bielecki – Fuga na temat „Roty”	138
Jerzy Burski – Zachwyty dla świata	141
Andrzej Kasperek – Obrazy i muzyka na wodzie	143
Dorota Maluchnik – Aktor wsiąka w ulicę.....	145

Recenzje

Adam Langowski – Czekając na Polskę.....	149
Wacław Bielecki – Sposób na depresję	151
Leszek Sarnowski – Żuławy Elbląskie pod okiem badacza	152

Czytając kwartalniki

Marta Aleksandrowicz-Wojtyna, Miłosz Wojtyna – Topika sopocka – dwadzieścia lat „Toposu” w pigułce	154
---	-----

Z przymrużeniem oka

Maciej Krainiński – Jak to z lubczykiem jest	157
Marek Stokowski – PROWINCJONALIA	

Noty o autorach	162
------------------------------	------------

DZIEWIĄTA „PROWINCJA”

Lato nieubłaganie dobiega końca. Nie rozpieszczało nas specjalnie. Zdjęcia trąby powietrznej siejącej spustoszenie na Powiślu i Żuławach obiegły całą Polskę. Miejmy nadzieję, że jesień nie przyniesie kolejnych kataklizmów, a raczej eksplozję kolorów, szelest spadających liści, wytchnienie czy odrobinę refleksji nad mijającym czasem. Że będzie to czas na lekturę, w wygodnym fotelu, przy gorącej herbacie lub pokrzepiającej wiśniówce - naturalnym lata wspomnieniu. I że wśród niespiesznej lektury znajdzie się również miejsce na kolejny numer naszego kwartalnika.

W naszej rubryce poetyckiej dwie poetki - Anna Peplińska z Elbląga i Małgorzata Jędrzejewska z Nowego Stawu, obie związane z Alternatywnym Elbląskim Klubem Literackim, który prezentował swoją twórczość w sierpniu na I Festiwalu Literatury „Wielorzecze” w Elblągu. Nazwa festiwalu pochodzi od tomu opowiadań Stanisława Modrzewskiego, elblązanina, dla którego Żuławy stanowią ważne źródło literackiej inspiracji. O jego twórczości pisze dla nas Andrzej Kasperek. Tomasz Wandzel tym razem zaprezentuje się jako poeta.

Proza to nowe opowiadanie naszego redaktora, kolejnego piewcy Żuław, Andrzeja Kasperka oraz debiutanckie opowiadanie Grażyny Kamyszek, polonistki pochodzącej ze Sztumu, na co dzień mieszkającej w Ustce.

Na wędrowkę po prowincjach bliskich i dalekich zaproszą Państwa Aleksandra Paprot szukając śladów diabła Farmazona w Stablewie, Kordian Kuczma podążając ulicami Malborka. Maciej Grochowski zabierze Państwa na wycieczkę kajakową Drwęcą, a Wiesław Olszewski na nieznany szlak żuławskiej berlinki. Piotr Piesik opowie o wirtualnym Koniecwałdzie, a Weronika Węglińska o Sztutowie, gdzie podjęto oryginalne działania edukacyjno – resocjalizacyjne. Paweł Głogowski opowie o alzackim Malborku, czyli zamku Habsburgów w niewielkim miasteczku Kintzheim, a Maria Wiśniewska o nauczycielskich wojaczach do Irlandii i Hiszpanii.

Czeka Państwa jak zwykle spora dawka historii. Przemysław Dorszewski opowie o tragicznych losach burmistrza Malborka z XV wieku, Cezary Tryk o krzyżackich sokolnikach, a Janusz Namenanik o klasztorze reformatów w Dzierzgoniu. Jan Chłosta przywraca pamięć o wielkim Władysławie Gębiku, twórcy Polskiego Gimnazjum w Kwidzynie, Janusz Ryszkowski wspomina o Bolesławie Morawskim, mało znanym synu słynnego doktora Feliksa Morawskiego, a Marta Chmielińska o Hieronimie Żbikowskim, jednym z żołnierzy „wyklętych” i powojennych losach Jego rodziny. Tekstami Leszka Sarnowskiego i Karola Nawrockiego (IPN) wracamy do niedawnych czasów karnawału „Solidarności” i tragedii czasu wojennego. To wspomnienie o „Sztumskiej Solidarności”, czyli początkach lokalnej prasy i pacyfikacji ośrodka dla internowanych w Kwidzynie.

W dziale plastycznym prezentujemy tym razem sylwetkę artystyczną Hanny Uchmańskiej, nauczycielki ze Sztumu, która po latach odkryła w sobie pasję malowania.

O teatrze, muzyce i plastyce piszą Dorota Maluchnik, Waclaw Bielecki i Andrzej Kasperek, a na sporą dawkę dobrego humoru jak zwykle możemy liczyć w wydaniu Macieja Krańskiego i Marka Stokowskiego..

Zapraszamy do lektury

Redakcja

Andrzej Kasperek

SPOPIELAŁE WŁOSY SULAMITKI¹

Dokąd zmierza ten orszak? Na jaki zielony
Ołtarz wiodą jałówkę, która w niebo ryczy,
Choć jedwabne jej boki strojne są w festony
Ze świeżych kwiatów? Kim ów kapłan tajemniczy?
Jakiż to gród forteczny w górach lub przystanie
Nadrzecznych osad, lub też morski port daleki
Wyludniły w ten ranek nabożne pochody?
Gdziekolwiek leży, pusty na zawsze zostanie:
W jego uliczkach cisza zapadła na wieki
I nikt nie wróci, aby wyjaśnić powody.

John Keats *Oda o urnie greckiej*
przeł. Stanisław Barańczak

Którą walizkę wybrać? Jak wybrać właściwą? Kazali wziąć jedną. Ale którą? Ta za mała. Kufer jest za duży. Ojciec miotał się wśród waliz, kufrów i kuferków rozłożonych w salonie. Był taki bezradny. Pierwszy raz go takiego zobaczyła. Siedziała przy stole, piła poranną kawę i patrzyła na niego. Stał wśród bezładnie porozkładanych skórzanych sakwojaży i kuferków, wiklinowych, tekturowych oraz juchtowych walizek i zastanawiał się głośno... „Cholerne szwab!” – te słowa wypowiedziane słabym głosem zabrzmiały bardziej jak skarga dziecka niż, jak obelga. Słowa ‘cholerny’ oraz ‘szwab’ były czymś nowym w jego słowniku. Tak, nie powiedział przecież: „przekłęci Niemcy” albo „to okropne prusactwo”. Użył słów potocznych. Takich, które próbował zawsze wyrugować ze swojego słownika, bo mogły by go zdradzić, zdemaskować jego niskie pochodzenie, odkryć jego stan.

Dopijała kawę i spoglądała na jego chude nóżki, wypukły korpus z nieco zbyt wydatnym brzuchem, łysą głowę z idiotyczną „pożyczką”. Przypominał jej trzmiela. Tak samo nadęty i brzęczący, uprzykrzony... Pomyślała ze zdziwieniem, że już się go nie boi. Po raz pierwszy w życiu się go nie bała. Kiedy indziej zaczęłaby na tę myśl podskakiwać i klaskać w ręce z radości. Tak to sobie przynajmniej wcześniej wyobrażała. Teraz po prostu dopiła kawę i odstawiła porcelanową filiżankę z miśnieńskiej manufaktury. Teraz ta wolność od strachu przed ojcem do niczego nie była jej potrzebna. Przyszła nie w porę, zbyt późno. Zamiast się cieszyć martwiła się, bo rano otwarła ostat-

¹ Jest to fragment nowego opowiadania Andrzeja Kasperka. Jego utwory towarzyszą „Prowincji” od pierwszego numeru pisma. W roku 2013 nasz kwartalnik rozpoczyna wydawanie książek. Serię Biblioteka „Prowincji” rozpocznie tom nowych opowiadań autora „Back in the DDR...” zatytułowany „Koronczarka”. Znajdą się w nim utwory napisane w ostatnich latach.

nią puszkę kawy Juliusa Meinla. Nawet nie chciała myśleć, skąd weźmie następną blaszankę z obrazkiem Murzynka w czerwonym fezie. Nie dopuszczała do siebie myśli, że problemem nie jest, czy jutro zdoła kupić kawę. Istotniejsze stawało się, czy w ogóle będzie mogła napić się kawy. Albo czegokolwiek.

Ojciec był coraz bardziej zdziwaczały. Po śmierci matki dziesięć lat temu nigdy nie doszedł do siebie. Zbyt wielka miłość do żony i zbyt długa żałoba sprawiły, że stał się innym człowiekiem – przepelnionym żołącią, gniewem i pretensjami. Jego żal do świata skrupiał się na niej, dojrzewającej dziewczynie. Cierpiała, bo jego gwałtowne wybuchy furii były ślepe i zwierzęce. Pełne dzikości i nienawiści. Nie zdawał sobie chyba do końca sprawy z tego, co robi, ze swej podłości. Nikt nie umiał go oświecić, rodzina odsunęła się od niego, przyjaciele przestali go odwiedzać. Cierpiał i ona cierpiała.

Piersiowa choroba matki... To jego słownictwo rodem z dziewiętnastowiecznych romansów i nekrologów. Nikt już, poza nim oczywiście, nie używał takich starodawnych słów. Tak samo jak nikt nie nosił tużurka ani kołnierzyka typu Vatermörder... (Jak lubiła tę nazwę! Tak precyzyjnie wyrażała jej myśli o ojcu.) Pewnie wydawało mu się to szczytem elegancji, bo nie dostrzegł ironicznych spojrzeń przechodniów na ulicach Langfuhr. Ubrania były tak samo staroświeckie, jak on. Piersiowa choroba była przyczyną jej śmierci. Zapamiętała kobietę chlustającą krwią z ust. Krwotok, który nie chciał się skończyć i nikomu nie udało się go zatamować. Matka umierała w kałuży krwi.

Krwi płynienie... Plamy na prześcieradle pojawiły się po śmierci matki i przeraziły ją bardzo. Nikt jej nie uprzedził, nikt jej nie powiedział. Jej rodzicielka męczona przez ataki choroby była coraz bardziej skoncentrowana na sobie, od córki wymagała tylko ciszy i niezawracania sobie głowy. Nie to, że jej nie kochała, ale nie miała siły na macierzyństwo i okazywanie uczuć.

Krew wyciekała z niej kropla po kropli i wpadła w historię, że skończy tak, jak matka. Całe szczęście, że Ewa, kaszubska służąca, która była u nich od zawsze, obudziła się słysząc jej skowyt, weszła do pokoju i szybko ją uspokoiła: „Panienska jest już kobietą.” „Co to znaczy?” „No, że...” Wszedł ojciec. Spurpurowiał na ten widok. Krew napłynęła na jego twarz i miała wrażenie, że zaraz powali go atak apopleksji. „Wyjdz, wyjdź stąd natychmiast!” – komenderował jak zwykle. Idąc do łazienki usłyszała, jak kazał Ewie ściągnąć pościel i wyprać ją dwukrotnie, wygotować i dać dubeltowy krochmal. Kilka tygodni później ścieliła łóżko a prześcieradło było jak z metalu. Kiedy je roztrzepywała przy powlekaniu zafurkotało niczym kawał blachy. Widziała kiedyś taki w czasie styczniowej wichury, jak zerwany z dachu sąsiedniej kamienicy, gnany wiatrem szybował w powietrzu, trzeszcząc i grzechocząc. Ostry brzeg prześcieradła raptem wyprostowany w rozpostartych rękach był jak brzytwa – przeciął jej gałkę oczną. Nie mogła w to uwierzyć. Nawet nie czuła bólu. Czuła tylko wzbierający strach przed ojcem, bo krew splamiła znowu białe prześcieradło.

Jej matka była drugą żoną ojca a ona była jego drugim dzieckiem. Tak naprawdę to mogłaby być jego wnuczką. Gdy się urodziła miał sześćdziesiąt siedem lat. Trzymał się co prawda nieźle, ale był stary. Obłądnie zakochany w swej drugiej żonie, pochodzącej z Rosji. Tej miłości, choćby trochę, dla córki już nie starczało.

Jak to się stało, że właściciel małego warsztatu cholewkarskiego we Wrzeszczu stał się bogaczem? To długa historia. Samuel Bernstein wcale nie chciał być szewcem, wspomnienia z ojcowskiego zakładu garbarskiego nie były miłe. Najgorszy był zapach moczu, wapna i kurzego nawo-

zu służących do wyprawiania skór. On chciał być wojskowym, chciał służyć kajzerowi i swej pruskiej ojczyźnie. Został rekrutem w najlepszym momencie – wybuchła wojna prusko-francuska. Jego pułk rzucono gdzieś pod Orlean. Niewiele brakowało, aby jego kariera wojskowa zakończyła się zaraz po rozpoczęciu.

Przednie strażnie niemieckie od miesiąca pozostawały w okolicach Tournai dla obserwacji. Francuzi stali nieruchomo o dziesięć mil stamtąd, mimo to co noc ginęli ułani. Zwiadowcy, których wysyłano po dwóch lub trzech na patrol, nigdy nie powracali. Rankiem znajdowano ich martwych na polu, za opłotkami jakiejś zagrody, w rowach. Nawet konie ich leżały przy drodze z poderżniętymi szablą gardzielami. Sprawa pozostawała niewyjaśniona. Samuel wraz z kolegą zostali wysłani nocą na patrol. Byli bardzo ostrożni wiedząc, że kilku ich kolegów nie wróciło z nocnej wycieczki. Wytężali wzrok i słuch. Nagle ktoś wczuł się na drodze jęcząc: *Hilfe! Hilfe!* Zobaczyli pieszego Niemca i myśląc, że jest ranny, podeszli do niego nie podejrzewając niczego i gdy pochyłali się nad nieznanym ten zaatakował, kompan otrzymał cios szablą w sam środek brzucha. Runął martwy, drgnąwszy tylko kilka razy w przedśmiertnym kurczu. W tym samym momencie na trakcie pojawiło się dwóch ułanów powracających na kwatery. Usłyszeli: *Hilfe! Hilfe!* I pędzili wprost na nich. Zamaskowany wróg strzałem z rewolweru zabił jednego z nich. Drugi jeździec zdążył dzielić go w głowę. W ostatniej chwili przeciął uderzeniem szabli policzek napastnikowi. W ten sposób uratował Bernsteinowi życie. Okazało się, że postrachem Niemców był niejaki père Milon, poczcwiwna, który mścił się za swego ojca (zabitego jeszcze w czasie kampanii napoleońskiej), syna i kontrybucje. Zabił szesnastu żołnierzy. Zarzynał też konie, były to przecież konie niemieckie!

Wybawiciel ojca nazywał się August Mackensen. Był kawalerzystą z słynnego 2 Przybocznego Pułku Huzarów. Za swe męstwo został odznaczony Krzyżem Żelaznym II klasy. Był to początek jego imponującej kariery. W latach dziewięćdziesiątych pojawił się w Gdańsku, w koszarach pułku huzarów. Był już podpułkownikiem, niebawem został adiutantem cesarza i dodał von przed swoim nazwiskiem. Ich losy powtórnie się przecięły. Ojciec pracował w branży skórzanej. Skóra już mu nie śmierdziała. A pieniądze tym bardziej. Znajomość obu panów miała dziwny charakter, bo to von Mackensen okazywał większe zaangażowanie niż ocalony przez niego Samuel. Uważał bowiem, że to zdarzenie pamiętnej nocy to był dla niego szczęśliwy traf. Od tego momentu zaczęła się jego imponująca kariera. W myślach nazywał Samuela: „Mój szczęśliwy Żyd.” Cokolwiek miałyby to znaczyć.

A dla Bernsteina zaczęły się dostawy wojskowe. Wojsko zawsze potrzebuje butów, mocnych i wytrzymałych. Potrzebuje dużo butów. Zyski, jakie ciągnął z wojskowych dostaw, nadały mu wygląd opętańca. Oczy mu latały... Rachunki, zamówienia, dostawy, kontyngenty. Firma rozwijała się znakomicie. A wszystko było jeszcze przed nią. Decydująca była jego wyprawa na Ukrainę w 1913 roku. W Odessie podpisał ogromny kontrakt na dostawy skóry bydlęcej, która idealnie nadawała się na żołnierskie trzewiki. Niemieccy żołnierze pod Tannenbergiem takie właśnie nosili. Buciory wyzierające spod bruzd ziemi pod Verdun miały często stempel jego zakładów.

August Anton Ludwig Bernstein, trojga imion pierworodny i jedyny syn Samuela, także poszedł na wojnę. Ojciec był dumny, kiedy generał Anton Ludwig August von Mackensen zaproponował, żeby jego syn służył pod nim w kampanii bałkańskiej. W 1916 młody B., spadkobierca fabryki Bernstein i Syn Sp. z o.o., wrócił z Rumunii w metalowej trumnie. Brakowało prawej nogi, nigdy jej nie odnaleziono. Bardzo skutecznie gdzieś w Transylwanii rozerwał ją na strzępy szrapnel. Wykrwawił się, zanim doczołgał się do niego sanitariusz. Za to but na lewej nodze (z fabry-

ki w Starogardzie) był w świetnym stanie. Przeżył swego właściciela. Dobrze zrobiony, znakomity produkt.

Golda Bernstein wrzeszczała na męża: „To nie Jahwe żądał od ciebie życia naszego syna! Odałeś naszego jedynaka kajzerowi! Złożyłeś go na ołtarzu, ale nie w krainie Moria tylko w Siedmiogrodzie. Dla tej twojej ojczyzny. Jakiej ojczyzny, czyjej? Ty farbowany Prusaku! Nasze martwe dziecko leży bez nogi, którą pewnie gryzą teraz robaki gdzieś tam, pod miejscowością, której nazwy nie sposób wymówić. Sprzedałeś go Mackensenowi, twemu kamratowi z trupa główką na czapce. Nigdy mi się nie podobał. Teraz możesz podziwiać swe dzieło! Swe trupięgi. Twoje wojskowe trepy. Tylko buty po nas pozostaną! One nas przeżyją!” Kiedy już się uspokoiła wycodziła chłodno: „Chcę rozwodu!”

Zawsze była taka potulna. Wsluchana w słowa męża. Wdrożona do posłuszeństwa. A teraz przemówiła. Samuel nie oponował. Zastanawiał się nad swoim życiem. Ratował firmę, z której nazwy usunięto słowo „syn”. W nowej rzeczywistości powojennej zniknął jego rynek. Wolne Miasto Gdańsk nie miało armii. Sprzedał swe fabryki i otworzył sieć sklepów z butami. Golda dostała rozwód, opuściła Gdańsk i wyjechała do Palestyny. W Wielkiej Synagodze powieszono marmurową tablicę z nazwiskami pięćdziesięciu sześciu Żydów poległych w czasie Wielkiej Wojny. Dumni napis głośił, że umarli za ojczyznę. Wśród nich było nazwisko Bernstein jr. Jedyna nadzieja była w słowach proroka Izajasza, które tam zacytowano: „Żyć będą umarli twoi.” Ale Samuel już nie wierzył prorokom. Nikomu już nie wierzył.

Teraz najważniejszy był sklep we Wrzeszczu przy głównej ulicy. „Najpiękniejszy sklep z butami prosto z Paryża nad Bałtykiem!” – skomplementował pan Citroën, który odwiedził go w czasie swej bytności w Gdańsku. Bernstein, nienawykły do francuskiej elegancji i tych błyszczących, pełnych blichtru słówek, chyba w to uwierzył. Puszył się jak paw, duma wprost go rozpierała. A może była to prawda? Elegantki zaglądały przez kryształowe szyby do środka, wypatrując nowości. Subiekci uwijali się, służąc uprzejmie klientkom. Pantofelki, trzewiczki i papciuszki zastąpiły żołnierskie obuwie.

Samuel miał pewną słabość, z którą się nie obnosił. Wiedzieli o niej tylko najbliżsi. W domu urządził sobie mały warsztat szewski i gdy ogarniał go gdański spleen a ołowiane chmury listopada wisiały nad miastem niczym całun, szedł do niego, przywdziewał skórzany fartuch majstra i godzinami stukał młotkiem po kopycie. To go uspokajało. Powstawały buty, które mogłyby być ozdobą wrzeszczańskiego salonu, ale nigdy nie opuściły półki jego warsztaciku.

Ojciec zawsze wszystkich pouczał i strofował. Zostało mu to do końca. Kiedy uporał się z wyborem walizki poszedł do swego warsztatu i przyniósł stamtąd słoiczek białej farby. Ułożył wszystko w salonie na stole i rozpoczął wypisywać cienkim pędzelkiem: nazwisko, data urodzenia... Starannym pismem, jakiego uczono go dawno temu na lekcjach kaligrafii. Potem wyszedł do kuchni i długo mył pędzelek rozpuszczalnikiem. Śmierdziało okropnie. Otworzyłam okno, ale nakrzyczał na mnie: „Przeastań natychmiast. Chcesz się przeziębic? Z twoim zdrowiem powinnaś bardziej na siebie uważać!” Nie podejrzewałam go o taką troskę. Ta czarna walizka przypominała mi trumnę. Brakował tylko daty śmierci. Pewnie ktoś ją wpisał w odpowiednim momencie...

Po wojnie i rewolucji bolszewickiej w Rosji pół Europy, a przynajmniej pół Europy Wschodniej znalazło się na drodze do chaosu, pędziło nad skrajem przepaści, pijane świętym szałem. Nad Bałtykiem pojawiło się wielu żydowskich rozbitków. Kiepsko mówili po niemiecku, wyróżniali się słowiańskim akcentem, dziwnymi strojami. Po prostu Ostjuden. W czasie jakiegoś spotkania Sa-

muel zobaczył matkę Margarete. Przypomniała mu się Odessa i najlepszy, a może najgorszy, interres w jego życiu. Katarina Bielousow była przedstawicielką tego urzekającego gatunku Żydówek które przybywają z Kijowa i Połtawy, ze stepowych sytych miast, wysadzanych kasztanami i akacjami. Pieniądze obrotnych swych mężów kobiety te przetapiały w różowy tłuszcz na brzuchu na karku, krągłych ramionach. Senny łagodny ich uśmiech odbierał przytomność oficerom miejscowych garnizonów. Nie wiadomo, czy poznał ją wcześniej, w czasie wyprawy po skórę z bukatorów. Niektórzy szeptali, że miał z nią wtedy romans. Była piękną kobietą. Tylko dlaczego związała się ze starcem?

To prawda, był zakochany jak sztubak, jednocześnie wiele rzeczy w niej go raziło. Nie lubił, kiedy mówiła w jidysz albo po rosyjsku. Raz wściekł się, gdy zobaczył, że czyta „Wiestnik Russkoj Kolonii Danciga”. Przyzwyczajony do szlachtetnego kroju szwabachy nie znosił tych ruskich bukw, które przypominały mu rozpetzłe robaczki. Traktował swą żonę jako zdobycz, należny mu podarunek od losu. Przy niej nauczył się nawet rozrzutności. Wychodzili do miasta, bywali w teatrze miejskim. Przyjmowali gości. Z jadalni dochodziło często srebrzyste kobyle rzenie i gwar męskich głosów niezmiernie czymś rozbawionych. W bogatych domach bez tradycji zachowują się przy stole hałaśliwie. Hałas miał akcent żydowski – z ruladami i śpiewnymi końcówkami.

Nie dostrzegał ironiczných spojrzeń, pełnych politowania albo zazdrości. Odklaniał się zadowolony z wrażenia, jakie Katarina robiła na ludziach. Jej śmierć kilka lat po ślubie była ciosem, po którym już się nie wyprostował. Przestał chodzić do synagogi, zaniedbał się. Czasami zastawałam go rano śpiącego w salonie na fotelu, przed którym stał na stoliku portret mojej matki. Nie był przebrany do snu, po prostu zasnął patrząc na twarz zmarłej.

Dopiero wizyta feldmarszałka von Mackensena na początku lat trzydziestych postawiła go do pionu. Przyjechał ze swojego majątku gdzieś pod Słupskiem. Patrzyłam na starego żołnierza prosto jak trzcina, z podkreconymi wąsami i nie mogłam się oprzeć natrętnemu wrażeniu, że przybył tu z jakiegoś przedstawienia, prosto z groteskowej operetki... Ten mundur szamerowany, pelerynka, wysoka czapa z futra. Było jednak coś, co kazało patrzeć na tego człowieka starych czasów inaczej – to była wielka czaszka na bermycy. Ona sprawiała, że starzec przypominał ćmę z trupią główką. Huzarzy śmierci, sami się tak nazwali. *Schwarze Totenkopfhüsaren*. Jeźdźcy Apokalipsy, panowie życia i śmierci. To pachniało siarką...

Głównym argumentem, jakiego użył kawaler orderu *Pour le Mérite* z Liśćmi dębu była sprawa patriotyzmu Bernsteina i ofiary jego syna. O dziwo, zadziałał świetnie. Marszałek był o trzy lata starszy od ojca i wciąż mu imponował. Starsi panowie wspominali prehistoryczne czasy kampanii francuskiej, sukcesy na froncie wschodnim w czasie wojny światowej. Ojciec opowiedział o zdarzeniu, o którym usłyszał w czasie swego pobytu w Rosji. W Odessie na przeglądzie wojsk wyróżniło się dwóch marynarzy, zostali przedstawieni carowi, czekało ich odznaczenie, ale kiedy mieli pójść na mszę, to nie poszli, bo byli Żydami, za co ich wybatożono, a wtedy oni na oczach admirałów skoczyli ze statku do morza i już nie wypłynęli.

Choć od tego wydarzenia minęło już kilkadziesiąt lat to sprawa tych dwóch nieszczęśników wciąż bolała tamtejszych Żydów i oburzała. „Wyobrażasz sobie co to za dzicz! Gdzie oni żyją? Toć to średniowiecze. W Niemczech nic takiego nie mogłoby się zdarzyć” – powiedział ojciec. „Z pewnością, z absolutną pewnością!” – dodał Mackensen. Zmilczał o słowach, które usłyszał kiedyś, dawno temu, kiedy był osobistym adiutantem cesarza: „Całkiem by mi się podobało, gdyby Żydki wyjechały do Palestyny. Im szybciej, tym lepiej.” Próbował namówić ojca, żeby wstąpił do Re-

ichsbund jüdischer Frontsoldaten. Ale stary zachnął się i stwierdził, że najpierw powinni tam przyjąć pośmiertnie jego syna i te dwanaście tysięcy żołnierzy wyznania mojżeszowego, które uwiezły w potęgę wielkich Niemiec.

To była ostatnia wizyta starego wiarusa w ich mieszkaniu przy ulicy Jäschkentaler Weg. Jakiś czas później zobaczyłam jego zdjęcie w gazecie. Szedł po prawej stronie Hitlera w swym dziewiętnastowiecznym operetkowym mundurze. Obchodzono Dzień Pamięci Bohaterów. Tyle, że dla mojego ojca i brata nie było już tam miejsca. Za kilka lat tablica z nazwiskami żydowskich bohaterów, obrońców Vaterlandu, zostanie skuta ze ściany Wielkiej Synagogi, która sprzedana za parę guldenów przestanie zasłaniać wieżyczki kościołów i ratuszy gotyckiego Gdańska.

Kiedy kilka lat później dziarscy chłopcy wybili kryształowe szyby wystawy najpiękniejszego salonu z butami nad Bałtykiem, ojciec próbował poskarżyć się staremu kompanowi i poprosić go o pomoc. Urzędniczka na poczcie, która go przecież świetnie знаła, bo przychodził tu od lat, wycodziła przez zaciśnięte usta z jakąś mściwą satysfakcją: „Żyd nie ma prawa wysłać depeza do Marszałka Rzeszy. Kropka. Następny proszę!” Odszedł od okienka jak zбитy pies. Przez moment chciał zaprotestować, powiedzieć: „Jestem takim samym Niemcem, jak i pani. Walczyłem za mój kraj dwa lata na froncie.” Ale nic nie rzekł. Przywłókł się do domu, padł na szezlong i zamyślił się. Jak to? Przecież jeśli nie jesteśmy Niemcami, to nie mamy żadnej ojczyzny. Przypomniało mu się, jak jakiś żydowski mądrała powiedział: „Jeśli interesuje cię charakter jakiegoś narodu, zapytaj Żydów, oni znają charakter każdego.” Chyba jednak w przypadku Niemców słabo się to sprawdzało. Znał ich od zawsze i nic o nich nie wiedział.

To wydarzyło się w roku 1938. W piątek 11 listopada, akurat rozpoczynał się szabas. Próbowano podpalić synagogę we Wrzeszczu. Rozpoczął się pogrom, bo trzeba było „dać lekcję brudnym galicyjskim Żydom.” Przy okazji swoim też: „trzeba w końcu zrobić radykalnie porządek.” A przecież wszystko zaczęło się dużo wcześniej. Chyba na początku lat trzydziestych. Pamiętam, chodziłam do gimnazjum miejskiego. Ojciec od śmierci matki odcinał wszystkie nitki wiążące nas z Żydami i chciał, żeby to było niemiecka szkoła. W klasie poza mną był jeszcze jeden uczeń wyznania mojżeszowego, Aron Deutschland. Pewnego razu na lekcji niemieckiego nasz nauczyciel, bardzo inteligentny i ocytany pan Neunast, powiedział: „Mojżesz musiał być Egipcjaninem, ponieważ trudno sobie wyobrazić, by córka faraona zadawała się z żydowskim chłopcem. To przykre, że w Morzu Czerwonym utonęli Egipcjanie, byłoby lepiej, gdyby dotknęło to tej hołoty. Ciekawym, ile twój tata zapłacił za wasze nazwisko? Pewnie przekupił jakiegoś urzędnika. Już wy umiecie obracać kapitałem. Ten wasz Marx to doskonale opisał.” Nigdy wcześniej tak nie mówił. Gdy opowiedziałam o tym ojcu, stwierdził, że chyba coś musiałam pomylić. Nagle koledzy zaczęli wyśmiewać się z moich złotych włosów, wołali za mną nieraz: „Ruda Sara pierdzi cebulą!” Na murach pojawiły się dziwne hasła. Jak to: „Przybądź kochany maju i uwolnij nas od Żydów.”

Ojca wołałam już nie pytać, bo zamiast odpowiedzi czekał mnie wtedy kolejny wybuch wściekłości. Miał swoje problemy, zmuszono go do zamknięcia dwóch sklepów, nie pozwolono otworzyć stoiska w czasie Jarmarku Dominikańskiego. Ktoś robił zdjęcia klientkom wchodzącym do jego salonu we Wrzeszczu. A do naszej kamienicy przyszli młodzi ludzie z Hitlerjugend i pytali stróża, czy mieszkają tu Żydzi? Pogonił ich miotłą.

Czasami naszą ulicą maszerował wracający z ćwiczeń na peryferiach oddział bojowy hitlerowców. Byli to młodzi, bardzo młodzi chłopcy o pogodnych modrych oczach i bardzo jasnych włosach. Ale byli też i starsi: twarze ciężkie, czasem tępe i groźne. Wszyscy wyli w niebogłosy swój hymn:

„Tak, jeśli mam szczęśliwy być,
to w Gdańsku muszę żyć!
Tak, tylko za me Miasto
w bitewny pójdę kurz!
Tak, jeśli mam błogo umrzeć,
to zrobię to tylko w Gdańsku ...”

Po pewnym czasie ojciec zabrał mnie z gimnazjum i przeniósł do prywatnej szkoły Ruth Rosenbaum. Tu przynajmniej nikt mi nie ubliżał. Nie ja jedna miałam tu złote włosy. Uczenie się i czytanie książek było moim azylem. A kiedy greki i łaciny zaczął nas uczyć doktor M., wyrzucony z Conradinum, wszystko inne przestało się liczyć. Homer, Horacy i Sofokles zawładnęli mną całkowicie. Mogłabym pewnie powtórzyć za Arystotelesem: „Słodko spożywamy matematykę i dzieje się nam jak Lotofagom; bo skosztowawszy jej, nie chcemy już od niej odstąpić i owłada nami jak kwiat lotosu.” Nie matematykę kochałam jednak. Kiedy wracałam do domu czułam się tak, jakbym zrzucała z siebie codzienną, zbrukaną błotem odzież i przywdziewała szaty godne królewskiego dworu. Dostojnie ubrana wkraczałam w odwieczną krainę ludzi starożytnych, gdzie uprzejmie przez nich przyjęta posiłałam się tym pokarmem, do którego spożywania się urodziłam. Wtedy nie wstydziłam się i rozmawiałam z nimi, pytałam ich o racje ich czynów, a oni z właściwą sobie życzliwością odpowiadali mi uprzejmie. To był mój świat. Na ścianach pokoju wisiały reprodukcje antycznych rzeźb, obstalowane przeze mnie rysunki greckich kurosów i pocztówki przedstawiające starożytne wazy, urny i amfory.

Tak naprawdę oboje byliśmy jak pijane dzieci we mgle. Ojciec nie rozumiał nic z tego, co się wokół działo, tkanina rzeczywistości rozpełzła mu się w rękach. Dorastał w państwie, które dało Żydom równe prawa. Przynajmniej na papierze. Brało ich do wojska, pozwalało uczyć się i studiować. Zatrudniało w urzędach a nawet pozwalało robić karierę w nauce, sztuce i polityce. A teraz to wszystko było już nieaktualne. Zamiast tego młodzi ludzie krzyczeli na ulicach na takich, jak my: „Zdychaj parszywy Żydzie! Na sznur z tobą!”

A ja? Uciekałam do mojego państwa, którym władał mędrzec Homer. Chciałam wierzyć, że tylko piękno jest prawdą... Nie zastanawiałam się nad tym, dokąd wywożą srebrne świeczniki z rozbieranej synagogi przy Reitbahnstrasse. Dokąd było można żyliśmy z ojcem, jak dwa pajęczki topiki, o których uczyłam się na lekcji biologii. Schowaliśmy się w swojej bańce powietrza, do której nie docierało nic z zewnątrz. Delikatna powierzchnia tego balonika coraz bywała naruszana. Z zewnątrz napór był coraz większy ale i z wnętrza trafiały się ataki. Ataki furii i strachu mojego ojca.

Wiosną 1938 roku przy wejściach na plażę stanęły tablice z napisem: „Żydzi niemile widziani”. To był cios. Jak spędzić lipiec? Gdzie jest przyjemniej niż na cudownej bałtyckiej plaży, gorącym białym piasku, wśród wydm porośniętych trawą, lnicą i mikołajkiem nadmorskim? Kochałam te słoneczne plaże Brzeźna, Jelitkowa czy Sopotu. Wiklinowe kosze, dzieci budujące zamki z piasku, kobiety i mężczyźni w kostiumach kąpielowych zakrywających prawie całe ciało. Sieliskie i niespieszne popołudnia na wielkich werandach plażowych restauracji. Jakim prawem ktoś miał mi to zabierać?

Grażyna Kamyszek

DZIEKUJĘ CI, HILDO

Kilka lat po wojnie zamieszkałam z rodzicami w domku na poniemieckim osiedlu w S. Byłam wtedy małą, chudą dziewczynką wyróżniającą się notorycznym brakiem apetytu. Resztki jedzenia znajdowane były pod szafą, za regałem, a nawet w palenisku i popielniku pieca. Kiedy tylko przestawało palić się w zielonym „kaflaku”, zapełniałam go, w tajemnicy przed rodzicami, tym co mogłoby przysporzyć mi kilku zbędnych kilogramów. Schowek w „kaflaku” zdał egzamin tylko raz, od maja do września, kiedy piec nie tętnił ognio-
wym życiem.

Gdy mama odkryła moją kryjówkę, oniemiała na widok zmarnowanego jedzenia. Nie rozumiałam wtedy jej złości. Nie dostrzegałam tego, że w naszym domu nigdy się nie przelewało, a rodzice dwoili się i troili, aby niczego nam nie brakowało. A tu taka niewdzięczność z mojej strony.

Dlaczego to robiłam? Bałam się, że będę wyglądać jak Hilda – osiedlowe dziwadło, gruba beka, szwabski pomiot o kaczkowatym chodzie i zdeformowanej gębie. Takimi epitetami obrzucali ją moi rówieśnicy, gdy tylko Hilda pojawiała się na którejś z osiedlowych uliczek. Nasza agresja była wzmożona w momencie, kiedy dziewczyna próbowała się bronić.

Uczestniczyłam w polowaniach na Hildę, ale nigdy nie podchodziłam zbyt blisko w obawie, że jej wielka łapa wyląduje na mojej głowie. Wśród czeready chłopaków prym wiódł piegowaty Romek. Żeby bardziej dokuczyć Hildzie, ułożył rymowanek, którą skandowała cała grupka;

Głupia Hilda,
Krzywa mordą,
Gruba beka,
Na coś czeka.

Kiedyś mama zauważyła mnie wśród gromadki rozjuszonych dzieciaków, pastwiących się nad biedną dziewczyną. Oberwałam solidnie za Hildę, za ukrywane kanapki i inne drobne oszustwa. Należało mi się, ale najbardziej byłam wściekła, że główną przyczyną kary była ta wstrętna, gruba beka. W akcie zemsty postanowiłam napuścić na nią Romka, ale nigdy tego nie zrobiłam, bo stało się coś, co odmieniło mój stosunek do Hildy.

Była zima. Na osiedlu zdarzały się niekiedy awarie wodociągu. Wtedy mieszkańcy przypominali sobie o kilku pompach rozmieszczonych na osiedlowych uliczkach. Jedna z nich znajdowała się na wprost mojego domu. Przy pompie od rozlewanej i zamarzającej wody utworzyła się całkiem spora górka, z której zrobiliśmy sobie ślizgawkę.

Tego dnia, gdy już zmierzchało, zostałam przy pompie sama, robiąc najróżniejsze wygi-

basy. Podczas kolejnego piruetu zachwiałam się i już miałam fiknąć potężnego kozła, gdy nagle ktoś złapał mnie za ręce i uniemożliwił upadek. Ktoś trzymał moje małe dłonie w swoich wielkich, chropawych rękach i nie puszczał. Czułam, jak coraz bardziej ściskają mnie dziwne krótkie, grube palce. To była Hilda. Znieruchomiałam ze strachu i stałam jak posąg, czekając na razy, które powinny wylądować na mojej głowie. Zamiast tego usłyszałam;

-Ciepłe, kleine, wie Schwester, nie bać, ja Hila.

Trzymała wciąż moje ręce i ściskała je z lubością, a ja coraz dotkliwiej czułam jej grube i krótkie palce. Nie miałam odwagi na nią spojrzeć, ale gdy poczułam na swoich rękach coś mokrego, spojrzałam w górę.

To płakała Hilda, a jej zniekształcone wargi wypowiadały niezrozumiałe dla mnie słowa: meine kleine Schwesterchen, ich warte (moja mała siostrzyczka, ja czekam na ciebie). Puściła moje ręce. Wytarła rękawem zapłakaną twarz. Napełniła wiadra wodą i nie patrząc na mnie, oddaliła się swoim kaczkowatym chodem.

Chyba wtedy coś we mnie pękło. Czułam się, jak Kaj, któremu Gerda stopiła lód w sercu.

Gdy wróciłam do domu, wypytałam mamę o Hildę. Z chaotycznej opowieści ułożyłam sobie jej życiorys.

Tuż przed zakończeniem wojny matka Hildy z młodszą córką uciekła do Niemiec. Powierzyła niepełnosprawne dziecko pewnej Polce. Zostawiła jej cały dobytek w zamian za opiekę nad Hildą. Obiecała, że jak wszystko się uspokoi, wróci i zabierze córkę.

Hilda czekała. Jak tylko miała wolną chwilę, kiedy pozmywała, pozamiatała, nanosiła, oporządziła, nakarmiła, wtedy siadała na ławeczce przed domem, a jeśli było zimno, zajmowała miejsce przy oknie w pokoju na piętrze i czekała. Wpatrywała się w krzywą furtkę i czekała szepcząc jak mantrę:

- Hilda braw (grzeczna).
- Mutti przyjdzie.
- Schwester kommt. (Siostra przyjdzie.)

Trudno było ją zrozumieć. Mówiła bełkotliwie, jękała się, a mieszanina polsko – niemieckich słów wymagała od słuchacza ogromnej koncentracji i cierpliwości.

Bezpiecznie czuła się tylko w domu. Tu nikt jej nie dokuczał. Gospodyni wymagała od niej pomocy, nieraz huknęła gromkim głosem, jeśli Hilda czegoś nie rozumiała, ale nigdy nie podniosła na nią ręki.

Od tamtego incydentu przy pompie nie dokuczałam już Hildzie. Moi rówieśnicy też spuścili z tonu. Poza tym zaczęły się obowiązki szkolne i były ciekawsze zajęcia niż polowanie na Hildę.

Niedługo potem wyjechaliśmy do innego miasta. Kończyłam kolejne szkoły, potem były

studia i nie bardzo wiedziałam, co dalej chcę robić.

Na jednej ze studenckich praktyk odwiedziliśmy ośrodek dla osób niepełnosprawnych. Podczas zwiedzania poszczególnych sal, w których przebywali pensjonariusze, podbiegła do mnie dziewczynka, przytuliła się i chwyciła mnie za ręce. Poczułam znajomy dotyk grubych, krótkich palców z nabrzmiałymi opuszkami. Dziewczyna trzymała mnie za ręce, uśmiechała się przymilnie i coś bełkotliwie mówiła.

Gdzieś z daleka wróciłaś do mnie Hildo. Kiedyś moje ręce przypomniały ci siostrę, dziś ręce obcej dziewczyny przypomniały mi ciebie.

Dziękuję ci Hildo, bo to ty w tym momencie podpowiedziałaś mi, co mam dalej robić.

Postanowiłam odwiedzić miasteczko, w którym kiedyś mieszkałam. Osiedle wypiękniało, zmieniło się, ale bez trudu odnalazłam dawne miejsca. Rozpytywałam o Hildę. Dowiedziałam się, że po wielu latach, odnalazła ją siostra i zabrała do Niemiec.

Doczekałaś się Hildo. Byłaś grzeczna i pracowita, tak jak obiecałaś swojej mamie. Spotkała cię za to nagroda. Wróciła po ciebie twoja mała Schwesterchen, a ja dzięki tobie wybrałam zawód, który daje mi dużo satysfakcji.

A co z pompą – niemyym świadkiem dawnych zdarzeń? Stoi do dziś niczym smutny pomnik przeszłości, jedyny na całym osiedlu. Opiekuje się nią starsza Pani, chroni przed wandalami i złomiarzami. Otuliła ją łańcuchem, zamknęła na kłódkę i wierzy, że ktoś przypomni sobie o jej dawnej świetności i ocali od całkowitego zniszczenia.

Małgorzata Anna Jędrzejewska

DZIŚ SĄ MOJE URODZINY...

Świt – taki sam jak wczoraj
ja – taka sama jak wczoraj
nogi tak samo pocięte
przy goleniu... .

Tylko nadzieja inna
niż wczoraj
nowa
radosna
obiecująca wiele...

Bo przecież
życie zaczyna się
po 50 – tce...

TAKI TEATR...

- Płakałaś...
- Tak...
- Dlaczego?
- Bo nikt nie chciał mnie przytulić...

Daleko za mgłą
byłeś ty
a moja samotność
i ja
czekałyśmy bezskutecznie

- Ale już jestem...
- Nie. Ciebie nie ma.
Pojawiasz się z pajęczyną nocy.
Znikasz z promieniem świtu.
Taki teatr...

DOMINA...?

Cichutka
nieostrzegalna
przemyka pod ścianami
szary cień

Słucha nie słysząc
Widzi nie widząc
Czuje nie dotykając

Zagubiona w czasie i przestrzeni
Tylko ta ściana
Tylko ta szarość



Anna Peplińska

WIELORZECZE

Moje umiłowanie wolności wzięło się z przestrzeni
krajiny płaskoziemia z widnym krajobrazem,
gdzie w polu początek bierze i kończy się tęcza,
pośród wierzb głowiastych osadziłam swój dom.

Korzenie żywych kultur przywiane historią,
od mennonickiej po wschodnią, przyjęła jak swoje,
dosusza je nadal w słońcu, hojnie obdarzając
i pozwala wsiąkać w siebie ich radościom.

Dziś powracam do niej szumem wartkich skrzydeł,
w klekocie, klangorze, wędrownego ptactwa,
by zagrać w zielone karty wielorzecza
o widok piękniejszy z miłością do gór.

Wracam po sól na ustach pomorskiego wiatru,
do zamkniętych łukiem ramion widnokregu,
wiślanych trybun, wałów z widokiem na mosty
sięgające doświadczeń drugiego ich brzegu

i smaku pajdy chleba smarowanego miłością .
Niczym ptak wędrowny odnajduję wierzbę,
strojną jak baba żuławska w pasiaste spódnice,
wianek pszeniczny, orny szal , czy welon biały.

Przemierzam arterię rowów, kanałów krainę
pełną trzcinowisk i wiklin życzliwych ptactwu ,
kartoflisk, pól kukurydzianych, łąnów, pastwisk
i nieprzyjaznych dzikim braciom ambon.

Aż czasem serce zabije tęsknie:
kocham je, Żuławy moje piękne.

ŻUŁAWSKA BABA

podkasana wierzba, żuławska baba
rozsiadła się nad rowem i z horyzontem gada.
wiatr ją potargał, przyniósł z morza fale
posiał sól na wargach i poleciał dalej,

a ona cała z pamięci ciała i rozedrganych chuci...
luzak wędrowny, hulaka polny, może nie wrócić!
trudno go zatrzymać, po równinach hasa
i tańczy z babami na niskich obcasach.

dosyć jej czekania, jak się nie rozkrzyczy
na niebo, na piekło, na psułaty syczy
tak wściekła! - aż go urzekła i wrócił,
błyskawicą objął, ogień do stóp rzucił,

w miłosnym uchwycie sięgnął pod spódnicę -
pogłaskał, pomlaskał, pojęczał w zachwycie
a gdy dreszcz przeminął
w sto koni, w sto koni ... i zginął.

WESTCHNIENIE

już cię słychać jesienny wicherze
jużeś blisko
w śpiewie syren, drutach rozpiętych
w trzcinach nad Wisłą

podrywasz skrzydła strąconym liściom
uśpionym lękom
nadymasz brzuchy smukłej wikliny
szarym sukienkom

już wpadłeś wierzbie, żuławskiej babie
w gołe ramiona
rozkołysałeś czule, lubieżnie
gościnnie konar

z ochoty chory tulisz zwabiony
do łoży łona
pod kołdrą kory, w gościnnych biodrach
z rozkoszy konasz

szalony wicherze, jesteś tu jeszcze
wnet będziesz wolny
tak jesień w jesień mącisz jej w głowie
hulako polny!

siądzie przy rowie, w podarty welon
wtuli się cała
uśni nadzieje, śniegiem odzieje
będzie czekała

Tomasz Wandzel

TEORIA ŚWIATA

Jestem z tego świata, gdzie na rogu ulic
pies z kulawą nogą szczeka na anioła.

Gdzie zastępy świętych w swej ziemskiej pielgrzymce
nie gościły nigdy w ponurych zaułkach.

Jestem z tego świata, gdzie ślepy aptekarz
los nam dawkuje dziurawą łyżeczką.

Gdzie wrzask Kasandry wszystko wiedzącej
budzi w nas trwogę naiwną i śmieszna.

Jestem z tego świata, gdzie wyklęte prawdy
tułają się cicho od muru do muru.

Gdzie trotuary cuchnące i śliskie
stają się nagle ziemią obiecaną.

Jestem z tego świata ...

Jesteś z tego świata ...

Jesteśmy z tego świata ...



Stanisław Modrzewski

LUBIĘ JEŹDZIĆ DALEKO, ZA RZEKĘ...

*Cum deus calculat et cogitationem exercet,
Fit mundus*

G.W.Leibniz

*Que Deus me perdoe
Se e crime ou pecado*

Amalia Rodriguez

Sin is behovely

Julian of Norwich

Metro kai taxi

Św. Ireneusz

*Jak plewy, które ochraniają ziarno, dopóki
Się z ich osłon nie wydobędzie*

Św. Augustyn

Lubię jeździć daleko, za rzekę, do Madonny na lwie w Lubieszewie.
Jest tam Chrystus – Ecce homo - z pałąką rogoży w dłoni –
Znad Nogatu, Linawy czy Tugi – nie wiem

Niedaleko (w Jezierniku) pod wieżą
Święty Jerzy płasza wśród błękitnych fragmentów pancerza.
Siwy. Radosny. Już prawie bez zbroi.

I lubię wiejskie cmentarze – takie dookoła kościoła –
Ich bezsłowną ciszę we mnie
I jasnej myśli wzbudzenia:
Grzechy ich (i moje grzechy) - bez znaczenia

W drodze powrotnej – z Ostaszewa - wśród lip i starych jabłoni –
Próbując to pojąć myśląc cudze myśli:

czern – to prawda – lecz piękna w obrazie całym
niedoskonała – przyznaję – szczególnie nadharmonii
plewa (a przecież) pożyteczna dla ziarna
nikczemna (nie przeczę) przyokazja dla dobra wpasowana behovely
- tak naprawdę kto wie co to znaczy: Elegancko? Udarnie? Właściwie?
bo gdy Ona liczy i zamyśla
życie moje się staje.

Na moście w Kiezmorku
 Macham ręką na z siebie nikczemnie (nota bene to znaczy też małe)

wyzucia

na fantazji kuglarstwo z prawdą pomieszane łatwo

Słucham jak martwi się Amalia Rodriguez:

Niech Bóg mi wybaczy.

Czy to zbrodnia, czy grzech,

że pragnę być sobą,

że tak kocham fado?

Dojeżdżam do Cedrów – najpierw Małych potem Wielkich

Tu plączą się arabeski.

Może już jestem małym heretykiem?

Co to znaczy „Grzechy bez znaczenia”?

Mniejsze pośród większych? Bez celu? Bez wagi? Bez mocy?

Czy ja mogę na nie machnąć ręką?

Dla kogo bez znaczenia?

Co znaczy bezznaczenia?

Co znaczy bez znaczenia?

Która jeździsz na lwie, co krąży w ciemności,

Który płaszsz bez zbroi, wśród wspomnień smocznych,

Który dzierzysz sens, jak rogożę w dłoni,

czy coś może znaczyć bez znaczenia?

Dlatego tak bardzo lubię cmentarze – takie dookoła kościoła –

ich bezsłowną ciszę we mnie

i jasnej myśli wzbudzenia.

Grzechy ich – z pewnością, a moje – daj Boże

- bez znaczenia

Gdańsk, 30 września 2010

Andrzej Kasperek

WIELORZECZE MODRZEWSKIEGO

Czasem, kiedy mówię moim uczniom o jakimś nowym twórcy, używam kryterium „długości półki”. Bo cóż z tego, że u niektórych pisarzy ich dzieła idą w metry bieżące? Są przecież inni, których książki na półce przycupnęły gdzieś z boku; skromne, nienachalne... Dwie książki Stanisława Modrzewskiego: *Gdzie tataraki, gdzie jerzyki...* oraz *Wielorzecze* są cienkie. To raptem 154 i 126 stron. Warto je postawić w swojej biblioteczce. Nieraz po nie sięgniecie. W dniach 17-18 sierpnia 2012 roku w Elblągu odbył się Festiwal Literacki „Wielorzecze”. Jego nazwa nieprzypadkowo wywodzi się z tytułu jednej z omawianych tu książek. Na spotkaniu z autorem czytelnik powiedział, że czyta jego książki od lat, ale wciąż nie może stwierdzić, że zakończył lekturę. Bo wciąż powraca, zastanawia się, analizuje motta, rozszyfrowuje obcojęzyczne cytaty. Inny stwierdził, że nie jest w stanie przeczytać dziennie więcej niż jeden utwór, tak są one skondensowane, nasycone różnymi treściami. Pogratulować takich odbiorców!

Gdzie tataraki, gdzie jerzyki... to późny debiut. Książka ukazała się w 2008 r. Autor skończył wtedy czterdzieści osiem lat. *Wielorzecze* jest z 2010 r. Co sprawiło, że ceniony wykładowca uczelni w Gdańsku i Elblągu, autor uczonych rozpraw o Conradzie zabrał się za prozę? Wiodocznie dojrzał do tego, żeby powiedzieć coś jeszcze. Przyszedł ten czas, że (parafrazując poetę): „przedmiot świeży jak figa się ucukrował i jak tytuń uleżał”. Sięgnąłem po te książeczki wiedząc o ich związkach z Żuławami. Nie jest to w końcu kraina, która często trafia na strony literatury polskiej.

Dla Modrzewskiego Żuławy to swoista *mappa mundi*, czyli mapa świata. Stworzona na wzór średniowiecznych kartografów, którzy usiłowali na kawale wyprawionej skóry zmieścić cały widzialny i potencjalny świat. Ale powinno się tu pojawić jeszcze jedno określenie – *liber mundi*, czyli księga świata. Używam tych łacińskich określeń nie po to, aby popisywać się erudycją. Czynię tak za sprawą autora, który nie ułatwia odbioru czytelnikowi, a wręcz stawia mu w czasie lektury wielkie wymagania. Mamy tu wiele różnorodnych cytatów, nie tylko angielskich, ale też łacińskich i greckich oraz włoskich. Ta różnorodność nasuwa skojarzenia z *Ziemią jałową* T. S. Eliota, uczonego patrona anglistów, którego poemat wielu szokuje bogactwem odniesień. Ale u Modrzewskiego po włosku nie jest cytowany Dante, tylko popularni kiedyś piosenkarze: Domenico Modugno, Tony Dallara i Tony Renis. Bo odniesienia w tej książce to nie tylko kultura wysoka (św. Jan, św. Augustyn, św. Ireneusz, św. Tomasz, Virginia Woolf, William Wordsworth, Ernest Hemingway, Hans Urs von Balthasar czy William Golding oraz poeci starogrecy), ale też pieśni ludowe, bajki i podania oraz polskie, portugalskie, brazylijskie i włoskie piosenki. A i tak przecież nie wymieniałem tu nawet połowy autorów mott, cytatów i nawiązań. Czasem ta wielość może czytelnika przytłaczać. Ale przecież tak już dziś jest z literaturą – nawet jeśli opisuje ona rzeczywistość, to jednak żywi się cytatami z już napisanych utworów, bo przecież ktoś już powiedział kiedyś coś tak dobrze, że ja tego świetniej nie zrobię.

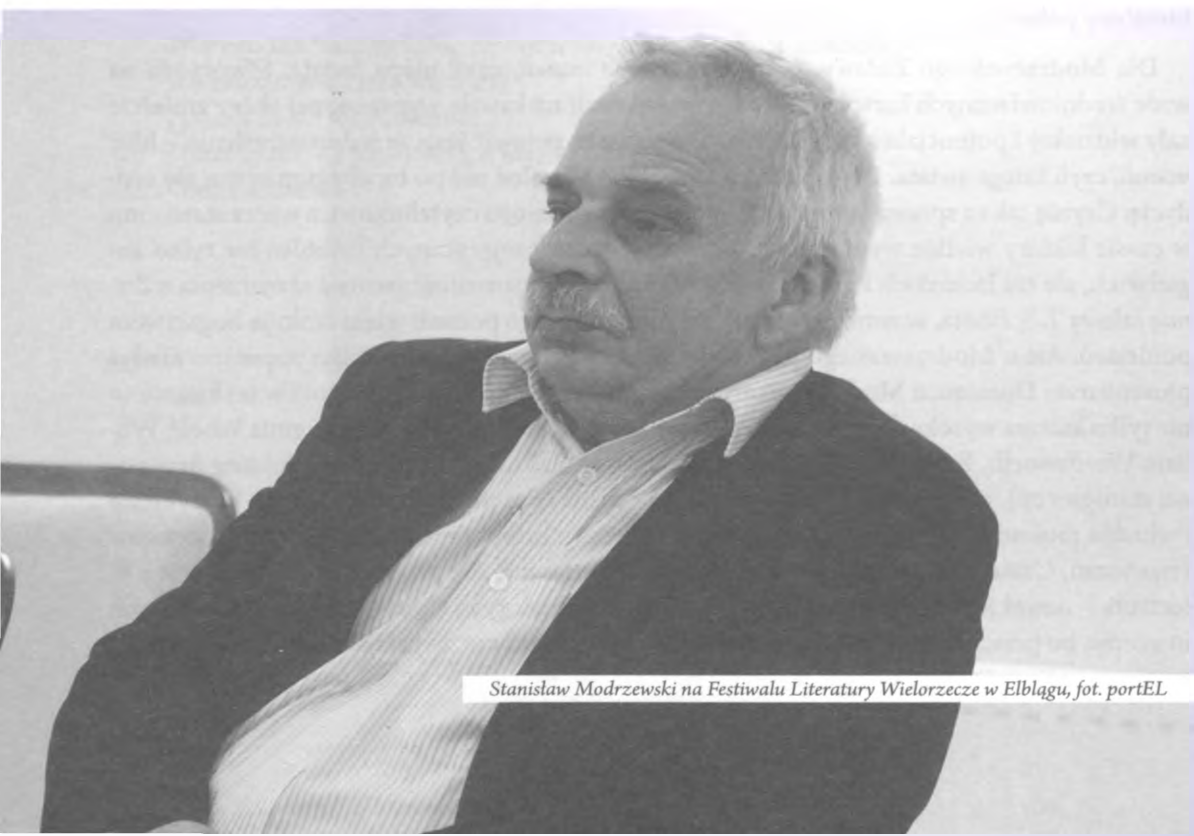
W wywiadzie prasowym Modrzewski tłumaczył: „W jednym z opowiadań przywołałem jako motto linijkę z wiersza Kazimierza Nowosielskiego mówiącą o widzeniu rzeczy »w świetle nie całkiem mijającego świata«. Aby wyrazić podobne odczuwanie istnienia, potrzebowałem około dwudziestu stron prozy. No cóż, taka jest przewaga poezji nad prozą. Myślę jednak, że te dwa teksty są spotkaniem, a - jak mówi Nowosielski - »dobrze się spotkać«”.

Jeśli tytułowe wielorzecze jest spotkaniem wielu rzek, które wpadają niedaleko siebie do Bałtyku, to *per analogiam* teksty Modrzewskiego są spotkaniem wielu słów i wielu języków. Tych najwyższych - pochodzących z Biblii, dzieł filozofów i teologów - z tymi codziennymi rodem z reklam, esemesów i młodzieżowego slangu. Warto jednak zadać sobie trud, aby w nim uczestniczyć. Konstandinos Kawafis w wierszu Pierwszy stopień ukazał Teokryta pocieszającego młodego poetę. Mówi on:

*Już z tego, że jesteś na tym pierwszym stopniu,
powinieneś być dumny i szczęśliwy.
To nie tak łatwo wejść i tu, gdzie wszedłeś;
to, czego dokonałeś, już wspaniałą jest rzeczą.
Bo i najniższy ten stopień – wysoko
wydźwignięty jest ponad pospolity świat.
Zanim się wejdzie na ten pierwszy stopień,
trzeba zasłużyć na to, by się stać
obywatelem republiki myśli.*

(tłum. Z. Kubiak)

Żuławy, jako mapa oraz księga świata widzialnego i niewidzialnego, wymagają skupienia



Stanisław Modrzewski na Festiwalu Literatury Wielorzecze w Elblągu, fot. portEL

i uwagi, aby je poznać i właściwie odczytać. Trzeba czasu, cierpliwości a nawet pokory. Tom *Gdzie tataraki...* poprzedza rodzaj introdukcji, w którym podane są sposoby patrzenia i czytania rzeczy widzialnych. Autor używa pochodzących z greki terminów: *blepo*, *theoreo*, *orao*. Pochodzą one z Ewangelii św. Jana. Trzech różnych czasowników potrzeba, aby wyrazić „widzenie pustego grobu” przez Marię, Jana i Piotra: najpierw jest *blepo* czyli widzieć, później *theoreo* - oglądać, kontemplować, a na końcu – *orao*, a więc zobaczyć, także w sensie duchowym. Jan pokazuje drogę Marii i uczniów od patrzenia na grób, poprzez kontemplację, aż do wiary w zmartwychwstanie. W taki sam sposób możemy patrzeć na Żuławy – pozornie to tylko nudna płaska równina widziana z szosy E-7, dla niektórych jednak to ciekawa kraina wielu kultur, w której warto się zatrzymać i wreszcie nielicznym jawi się ona – mówiąc słowami Marka Opitza – jako krajobraz dla konesera, bogaty w konotacje historyczne, tak jakbyśmy patrzyli na przekrój geologiczny, gdzie widać różne warstwy, w tym także „warstwy ludzkie” – Prusowie, krzyżacy, mennonici, Niemcy, Polacy, Szwedzi...

Motywy przewodnim tych tekstów jest patrzenie i pamięć. Przypominanie sobie obrazów, miejsc, ludzi. Podróże z Elbląga do Gdańska i z powrotem odbywane z systematycznością wahadła nie pozwalają na kontemplację, przynoszą tylko strzępy obrazów, jakieś powidoki, zartarte kontury. Konieczność objazdu wyrwa z rutyny i zmusza do skręcenia w boczną drogę, w świat zapamiętany z dzieciństwa. Okresu, który bezpowrotnie się skończył, ale jednak pozostał gdzieś z tyłu głowy. Dzieciństwo to nie tylko chwile beztroski. Włóczenie się po starych niemieckich cmentarzach, ruinach domostw i zdziczałych sadkach dostarcza łupów; bywa też niebezpieczne, bo ziemia kryła w sobie niepoliczone zapasy broni i amunicji. Pozostałości po wojnie zostało wiele - można było nawet natknąć się na trupa czerwonooarmisty. Wybuch zgromadzonego w kryjówce prochu okalecza przyjaciela a jego konanie i niekończący się ból, jego skowyt, który słyhać wszędzie, przyspiesza dorastanie i oznacza pożegnanie tej epoki. Czasu sielskiego i anielskiego, wypełnionego łowieniem ryb, zbieraniem ptasich piór, pachną z cudzych pól i ogrodów. Czasu pokątnych wtajemniczeń erotycznych, podglądania świata dorosłych i małpowania ich zachowań. Koledzy się porozjeżdżają, pochłonie ich fala czasu.

Zabrany z weselnego stołu rak staje się artefaktem, prawie magicznym łącznikiem między starymi i nowymi czasami. Zostaje dołączony do kolekcji, w której są już: mutra, błękitne chityny, muszla zatoczka rogowego, jarmarczna pileczka na gumce wypełniona trocinami, butelczki po atramencie oraz „błękitne wylinki z Nogatu i lotka jerzyka, pozłotko i pióro siwej czapli ostrzone brzytwą z Pińskich Błot”. Przedmioty, pozwalające przenieść się w świat, który przeminął, są kotwicami pamięci, coraz słabszej i zawodnej.

Iluzja i deziluzja, odsłanianie i zasłanianie, sekrety i ich pozorne odkrywanie. Także zabawa w reinterpretację symboli i mitów. Świetnie to udało się w *Balladzie o Tadziu Strzępku*. Karetka pogotowia wbrew przepisom zabrała wisielca. Zamiast mostem załoga postanowiła przeprowić się promem. Ale tylko pozornie była to wyprawa łodzią Charona a Nogat nie stał się Styksem... tu przerwę, żeby nie psuć lektury. Stanisław Modrzewski próbuje zrozumieć świat a medium stają się Żuławy. Te z dzieciństwa spędzanego u kuzynostwa nad Starym Nogatem i te dzisiejsze, przecięte Siódemką, tą współczesną limes. Widziane z za szyb samochodu. Obecne jedynie pozornie, bo szkoda czasu na ich oglądanie czy wręcz kontemplowanie, bo nieciekawe, nudne... Ale kiedy bohater opowiadania *Sejwscreeny* skręci w bok i zdecydu-

je wyrwać z długiego jak litania korka zobaczy, że świat z jego dzieciństwa nadal trwa. Odszedł, ale jest obecny w jego pamięci, tyle, że przysypany tysiącem wydarzeń z postępujących lat, które pewnie wcale nie były ważniejsze od tamtych, z lat sześćdziesiątych i siedemdziesiątych. Archeologia pamięci wydobywa na wierzch powidoki i tytułowe *sejwscreeny* (choć to słowo nie wydaje mi się najszcześniejsze). Nikomu niepotrzebny prom w Kępkach rdzewiejący w trzcinowiskach, ludzie zapamiętani z dzieciństwa, którzy wciąż tu żyją, ale zostali zapomniani. I młoda dziewczyna, którą ukradkiem fotografuje. Ikona tych wielu pięknych dziewczyn sprzed lat. Kilka godzin później przeglądając i obrabiając zdjęcia w komputerze świadomie/nieświadomie naciśnie „usuń” zamiast „zachowaj”, stąd tytułowe *save*. Wygląda to jak amputacja pamięci, ucieczka od wspomnień. Ale od nich się nie da uciec.

Na kartach tych książek znajdziemy piękną kolekcję dziewczyn i kobiet: Alka, Wanda, Czeszka Jana i Janka Szybillanka, córka sołtysa i Lilka, córka pszczelarza, pani Basia i zalotna kelnerka z przydrożnego zajazdu. Przewijają się, przechodzą mimo... Dyskutuje się o nich z kumplami, wzdycha po kryjomu, szuka się ich wędrując cały dzień wzdłuż Nogatu. Jolka trafia nawet w postaci fresku na ścianę cementarnej krypty, która stała się wakacyjną kryjówką: „Jurek – kawalkiem nadpalonego drewna – rysował Jolę samotnie opalającą się na kocu. Jola była naga. Szczyrykiem wydrapywał w pobielonym tynku rowki, starając się – tu i ówdzie – wydobyć wypukłości. Właśnie starał się uwydatnić krągłość lewej piersi”. To jak odwołanie do archetypu – artysta niczym nieznanym mistrz z Lasceaux utrwała na ścianie jaskini uchwycone kątem oka piękno. Ale to piękno jest niedostępne, pozostanie tylko jako błysk zachwycenia i swoista iluminacja. Wspomnienie dziewczyn wywołuje smutek. Jak w starej piosence:

Gdzie dziewczęta z tamtych lat? Jak te kwiaty...

Gdzie dziewczęta z tamtych lat? - Czas zatarł ślad...

Gdzie dziewczęta z tamtych lat? Za chłopcami poszły w świat...

Kto wie czy było tak... Kto wie czy było tak...

Nieprzypadkowo autor przywołuje tu fado z jego nieodłącznym *saudade* – uczuciem melancholii i nostalgii za przemijającym życiem, mijaniem czasu, nieuchronną śmiercią wszystkiego, co piękne, brakiem miłości, bądź jej niespełnieniem. Ale to *saudade* nadzwyczajnie też rymuje się z żuławskim smutkiem, jakby przyrodzonym tej krainie. Stąd też liczne opisy zachodów słońca i zmierzchu. Przecież „tylko na Żuławach, tylko w tym Wielorzeczu słońce potrafi wyczyniać takie cuda [...] W tym świetle wszystko to całe i proste. Całe i proste. Jedno. Samozłote. [...] Światło przedwieczne. Takie dziwne. Purpurowe łuski dachu. Płyną... płyną... w nasycyony błękit nieba”.

Modrzewski to znawca twórczości Josepha Conrada. Nie bez kozery będzie tu przywołanie dwóch tytułów: *Smugi cienia* i *Jądra ciemności*. Pierwszy stał się synonimem momentu, kiedy przekraczamy granicę pomiędzy niedojrzałością młodości a światem dorosłych, tracimy złudzenia, gubimy marzenia. Jak pisał Stanisław Lem: „Smuga cienia to jeszcze nie *memento mori*, ale miejsce pod niejednym względem gorsze, bo już widać z niego, że nie ma niekniętych szans. To znaczy: terazniejsze nie jest już żadną zapowiedzią, poczekalnią, wstępem, trampoliną wielkich nadziei, bo niepostrzeżenie odwróciła się sytuacja. Rzekomy trening był nieodwołalną rzeczywistością; wstęp - treścią właściwą; nadzieje - mrzonkami; nie obowiązują-

jące zaś, prowizoryczne, tymczasowe i byle jakie - jedyną zawartością życia. Nic z tego, co się nie spełniło, już na pewno się nie spełni; i trzeba się z tym pogodzić milcząc, bez strachu, a jeśli się da - i bez rozpaczry". Jest to początek liczenia lat w inną stronę - nie od a do... Wahadło wychyliło się.

Z kolei podróż opisana w *Jądrze ciemności* jest nie tylko wędrówką w przestrzeni, ale też podróżą w głąb siebie, w takie zakamarki, o których istnieniu nie wiedzieliśmy albo też nie chcieliśmy wiedzieć. I taką podróż, błędząc po Żuławach, przeżywają bohaterowie niektórych opowiadań. To też starość i choroby. Jak w opowiadaniu *Złocienie*, w którym lekarz „wyraźnie podekscytowany, rozprawał o żuławach mózgu, immanentnej hydraulice umysłu, o jazach, śluzach, przepustach, o miliardach kropli i łąkach wyschniętych”. Rozbudowana metaforyka związana z tym miejscem, od którego nie można się uwolnić.

Powolna lektura tych tekstów, które wyrastają z zastanowienia nad życiem i bacznej obserwacji świata, pozwala na ich smakowanie, na docenienie staranności autora w doborze słów, metafor, cytatów i wpisanych w tekst odniesień do miejsc, autorów, dzieł... Momentami mam wrażenie, że te teksty były pisane ptasim piórem, które się macza w kałamarzu. Może tym, wspomnianym w tekście: „pióro czapli zaostrzone i w atramencie maczane”. Czas, od zanurzenia pióra w buteleczce z atramentem do ponownego zaczerpnięcia, jest zupełnie inny, inaczej organizuje tekst, rządzi strofą w innym rytmie. Wymusza staranność i daje czas na namysł. Taka literatura powstaje w samotności i rodzi się długo. Inaczej się nie da.

Warto zatrzymać się choć chwilę nad tytułami omawianych książek. Mapa Żuław w pierwszym tomie jest rozpostarta pomiędzy tatarakami a jerzykami. Tatarskie ziele, zwane tak, bo ponoć przywędrowało do nas wraz z tym koczowniczym ludem, porasta dziś brzegi rzek, jezior i stawów. Iwaszkiewicz jego imieniem zatytułował opowiadanie; jemu będzie się on kojarzył z Zielonymi Świątkami, kiedy wykładano nim podłogi domów, ale też przypomina mu „zawsze śmierć mojego pierwszego przyjaciela”. Miłosz wspomina go (pod nazwą ajer) w wierszu poświęconym matce: „aromat i smak rozgryzionej biało czerwonej soczystości ajeru” przenosi go w świat dzieciństwa spędzonego w Szetejniach. Jerzyki zaś to małe ptaszki żyjące przede wszystkim w miastach. One wiążą pamięć z Elblągiem i Oliwą. Ale jest coś więcej – to też imię konającego przez lata przyjaciela, ofiary wybuchu amunicji, który „przez ostatnich kilka lat życia powtarzał tylko swoje imię. Jurek Jerzyk. Jurek Jerzyk”. Świat roślin i zwierząt jest tu bardzo ważny, jest też symbolem, wyznacza granic terytorium, w obszarze którego rozgrywa się akcja wszystkich utworów.

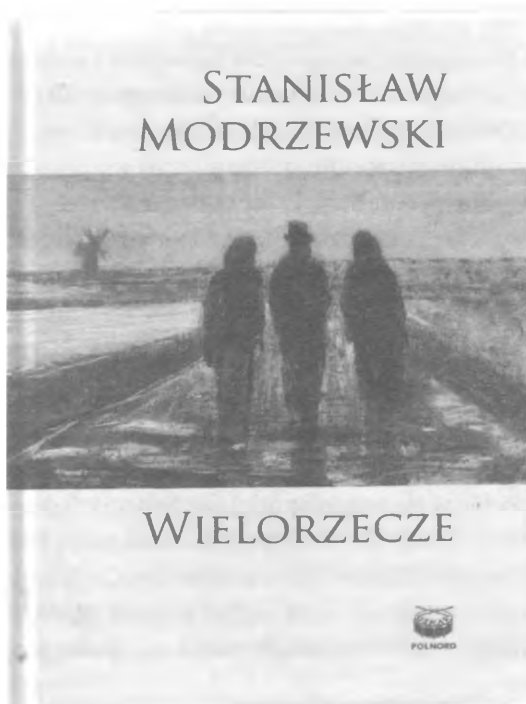
„Żuławy to tatarczy raj, bo wszędzie tu przebiega granica między wodą a ziemią. Sieć rowów, kanałów rzucona w muły, ily i mady, by wydobyć urodzajną glebę. Więcierze utkane z wody, by łowić pola” – cytat z początku *Gdzie tataraki...* przenosi nas do drugiego tytułu: *Wielorzecze*. To bardzo trafna metafora tej ziemi. Rozłożyłem przed sobą mapę i aż się zadziwiłem. Płyną tu nie tylko Wisła, Nogat, Tuga (zwana też w na pewnym odcinku Świętą), Szkarpa i Linawa. Nazw akwaticznych jest dużo więcej: Wisła Królewiecka, Izbowa Łacha, Stary Nogat, Stara Tuga, Kanał Panieński, Kanał Drzewny, Kanał Wiślano-Zalewowy... Długo mógłbym jeszcze wyliczać, tym bardziej, że na przedwojennych niemieckich mapach dosłownie każda struga ma swoją nazwę. Bo taka to kraina, rozpostarta pomiędzy wodami, płaską zie-

mią i ogromnym niebem. Czesław Miłosz w swych wierszach nazwał ją: „Płaska nizina pod rzędami wierzb” oraz „Kraina płaska wzięta z wody i płomieni”. Bardzo trafnie!

Stanisław Modrzewski na każdej stronie zapisuje swą fascynację tą ziemią. Ten kawałek ziemi nad Nogatem i Izbową Łachą jest jego małą ojczyzną. Tym, na co w języku polskim nie ma dobrego słowa a co Niemcy nazywają po prostu *Heimat*. Tę nazwę uczeni wyjaśniają, sięgając do korzeni praindoeuropejskich (*kei, haima, haimi*), jako ojczyznę domową, czyli to miejsce, z którym jesteśmy najściślej związani. Nie mam wątpliwości, że autor *Wielorzecza* jest równie mocno związany ze swoim płaskim krajem, jak Jacques Brel, który swą Flandrię opisał w piosence *Mijn vlakke land*, czyli *Mój płaski kraj*. Albo bohater powieści *Kraina wód* Grahama Swifta. Skorzystajmy z tego zaproszenia i wybierzmy się na wędrowkę z autorem. Wierzę, że warto!

Na zakończenie oddam jeszcze raz głos Modrzewskiemu: „»Republika myśli« nie jest wąskim, zamkniętym gronem. To otwarta kraina - to miejsce przestronne - jak Żuławy jak Wielorzecze. By do niej wejść wystarczy choćby tylko jedną (tylko jedną!) idyllę skończyć - tak zapewnia Teokryt młodego poetę Eumenesa w wierszu Kawafisa Pierwszy stopień.

Na szczęście język to dar ogólnodostępny i, aby go używać, nie jest potrzebne ani jakieś szczególne wtajemniczenie teoretyczne, ani drogie instrumenty. Dar ten bywa poniewierany czasem z dużym znanstwem i sporą dozą finezji, a czasem najzwyczajniej prostacko. Pisanie tekstów literackich jest związane w większym stopniu z wyborem wartości niż z głębią wiedzy teoretycznoliterackiej czy świadomością instrumentarium. Niestety nie wszystko możemy przeczytać i nie ze wszystkimi możemy się spotkać. To przez brak czasu wymuszający wybory”.



Aleksandra Paprot

TAM, GDZIE STRASZY DIABEŁ FARMAZON. NIEZWYKŁE SPOTKANIE NA ŻUŁAWACH GDAŃSKICH W STEBLEWIE

Odkąd pierwszy raz wzięłam udział w badaniach terenowych na Żuławach Elbląskich w lipcu 2010 roku, które prowadziła dr Anna Weronika Brzezińska z Instytutu Etnologii i Antropologii Kulturowej Uniwersytetu Adama Mickiewicza w Poznaniu, odkryłam w sobie potrzebę poznania kart historii mojej rodziny. Badania naukowe na Żuławach dotyczyły dziedzictwa kulturowego tego regionu, a wszelkie informacje były gromadzone na podstawie rozmów z autochtonami i przesiedlonymi tu po II wojnie światowej osadnikami z Polski.

Zawsze zdawałam sobie sprawę, że moi przodkowie nie byli stąd, że Żuławy były dla nich terenem zupełnie obcym, powodującym niepewność, ale także chęć rozpoczęcia nowego, być może lepszego rozdziału w ich życiu. Jedna z moich babć przybyła tu w 1958 roku z okolic Lidy zza Buga, opuszczając krainę lat dziecińczych. Była niewiele młodsza ode mnie i zapewne pełna obaw o przyszłość oraz swój dalszy los w nieznanym miejscu. Natomiast pozostali dziadkowie pochodzili z Kielecczyny, a poprzez przyjazd na Żuławy chcieli „dorobić się”. Kraina ta kusila bowiem rolników z centralnej Polski lepszą jakością ziem.

Historie zasłyszane w domu rodzinnym z czasem zaczęły rozbudzać moją ciekawość. Konfrontacja tej wiedzy z wiadomościami uzyskanymi od innych przesiedleńców sprawiła, że podczas badań terenowych na Żuławach Gdańskich we wrześniu 2010 roku podjęłam próbę odnalezienia znajomych moich dziadków, którzy tak, jak oni przyjechali tu z Kielecczyny.



Dziadkowie Janina i Adolf - Kielecczyna

2 WRZEŚNIA 2010

To już moje drugie badania żuławskie prowadzone przez dr Annę Brzezińską. Tym razem obszar naszych naukowych poszukiwań będą stanowić Żuławy Gdańskie. Przed nami dziesięć dni, podczas których będziemy przemieszczać się do poszczególnych wsi rowerem ze wsi Grabin Zameczek i poszukiwać najstarszych mieszkańców.

W Grabinach Zameczku mieszkamy w drewnianym domu, w którym niegdyś funkcjonowała szkoła. Tuż obok jest budynek dawnego młyna, a nieopodal znajdują się pozostałości zamku krzyżackiego z przebudowanym dworem obronnym.

Wieczorem ustalamy plan działania. Jutro zrobimy rozpoznanie w terenie, a w następane dni każdy z nas – studentów – będzie prowadzić wywiady wśród wybranych mieszkańców

3 WRZEŚNIA 2010

Przed nami blisko dwadzieścia miejscowości i długa trasa do pokonania rowerem. Zwiedzamy między innymi Suchy Dąb, Krzywe Koło, Osice, Trutnowy, Giemlice, Cedry Wielkie i Steblewo. Każda z tych miejscowości jest pełna niezwykłych zabytków i osobliwych zakątków. Bardzo łatwo nawiązujemy kontakty z miejscową ludnością. Wypytujemy o możliwych informatorów najczęściej księży, sołtysów i osoby spotkane w wiejskich sklepach. Wszystkie kontakty zapisuję w zeszycie. Staram się też od razu dowiedzieć od miejscowych z jakiego regionu przybył dany informator.

4 WRZEŚNIA 2010

Dziś udało mi się przeprowadzić już kilka wywiadów dotyczących dziedzictwa kulturowego regionu. Mieszkańcy bardzo chętnie opowiadają o swoich przeżyciach i pokazują pamiątkowe zdjęcia z rodzinnego albumu. Choć przywołane wspomnienia często naznaczone są piętnem wojny i trudem związanym z przesiedleńczą tułaczką, to nie brakuje w nich również zabawnych historii z pierwszych lat spędzonych na Żuławach. Moi informatorzy bardzo żywiołowo reagują, gdy mówię im, że też jestem mieszkanką Żuław, a moja rodzina, tak samo, jak oni została przesiedlona ze wschodnich rubieży II Rzeczypospolitej i z centralnej Polski. Kiedy opowiadam badanym o moich korzeniach i losach rodziny, czuję, że zaczynam zyskiwać ich zaufanie. Dzięki temu nasze rozmowy są otwarte, szczerze, a przede wszystkim pełne wzajemnego zrozumienia.

5 WRZEŚNIA 2010

Każdego dnia kolejna z miejscowości na mapie badawczych wojaży odkrywa przed nami nowe tajemnice i miejscowe historie. Te, które są opowiadane z pokolenia na pokolenie zyskują z czasem zupełnie nowy wymiar i znaczenie. Nie od dziś wiadomo, że dzięki takim przekazom rodzą się swoiste opowieści z dreszczykiem. Tak było również w miejscowości Steblewo:

K.D.: Była taka mowa, że tam, gdzie mieszka moja siostra K., tam był diabeł. Farmazon. I jak

zjeżdżały się tutaj do kościoła, to potem szły tam na popijawkę, tu jak ten duży dom. Świątlica miała około, ja wiem, ze sto metrów (...). To dom zabytkowy, podcieniowy. (...)

Badacz: I co tam się działo?

C: Oni niby jak szli na tę popijawkę, to ich tam diabeł straszyl.

K.D.: (...) To było, że niby gospodarz wyjechał, a wszystko wiedział, co się gdzie dzieje, bo miał diabła i ten diabeł wszystko mu mówił.

Badacz: A to kiedy tak mówili?

K.D.: Tak, zaraz po wojnie to było. (...) To tak mówili, ale co to, kto to? Jak powiedzieć, wytłumaczyć, to nie wiem. (...) Nie wiem z diabłem jak to było. Był farmazon, ale go nikt nie widział. Mówili tylko, że był, ale go nikt nie widział.

C.: Mówili, że jak odchodził, to krwią swoją pisał.

K.D.: Musiałabyś jeszcze iść do tej L., bo i u niej był ten diabeł, ale one mieszkały gdzie indziej. To matka mi opowiadała, że u nich też straszyl ten farmazon.

Badacz: A to gdzie tą krwią napisane było?

L.D.: To jak wychodził już stamtąd ten diabeł, chyba w tej świątlicy.

Badacz: Kiedy?

L.D.: To jak wychodził, to zaraz po wojnie.

Badacz: A teraz nie ma?

L.D.: Teraz nie. Ludzie uświadomione!

¹ Informator K.D. ur. w 1932 r. w Nietulisku Dużym, gm. Kunów, pow. Opatów, L.D. ur. w 1940 r. w Zagajach Dębiańskich, pow. Pińczów i C. Wywiad przeprowadzony 08.09. 2010 r. w Steblewie przez A. Paprot.



Dziadkowie Janina i Adolf (w środku) w jednym z pokoi poniemieckiego domu, w którym zamieszkali po wojnie w Starej Kościelnicy

Co ciekawe, kilka rodzin wspominało o tym, iż niegdyś w Steblewie rzekomo rezydował sam diabeł. Ile w tym prawdy, a ile ludzkiej fantazji, która nakłada na zwykłą, szarą rzeczywistość niesamowite obrazy? Do Steblewa wrócę na pewno za kilka dni, żeby pogłębić dotychczas zdobyte informacje.

6 WRZEŚNIA 2010

Wieczorem zadzwonił do mnie tata. Był bardzo ciekawy, co też tym razem udało mi się odkryć podczas badań na Żuławach. Wtedy też opowiedziałam mu, w jakich miejscowościach już byłam i co widziałam. Kiedy usłyszał, że byłam w Steblewie, od razu powiedział:

- Dziadkowie mieli tam znajomych! Oni też pochodzili z tej samej miejscowości co dziadek Adolf – Kolonia Piaski, albo z Nietuliska Dużego. To niedaleko Kunowa. Pamiętam, że po przyjeździe na Żuławy jeszcze przez kilka lat rodzice jeździli do nich do Steblewa. – Te słowa sprawiły, że w jednej chwili postanowiłam podjąć się poszukiwań znajomych dziadków z Kielecczyzny.

- Tato, a w którym miejscu mieszkali?

- Nie pamiętam dobrze. Jeszcze działała wtedy przeprawa promowa przez Wisłę z Palczewa do Steblewa. Miałem może wtedy z dziesięć lat. Raz tam byłem z rodzicami. To był chyba koniec lat sześćdziesiątych. Pamiętam, że dziadek kupił wtedy samochód – Warszawę – i trzeba było wypróbować nowy nabytek, a to była dobra okazja ku temu.

- A czy pamiętasz jak się nazywali?

- Nie pamiętam, niestety.

-Tato, ja ich znajdę, obiecuję. Zobaczysz, że mi się uda!

Tego dnia wzięłam sobie te słowa głęboko do serca i postawiłam sobie za punkt honoru znalezienie znajomych dziadków, lub chociaż ich potomków...

7 WRZEŚNIA 2010 ROK

Dziś przeprowadziłam wywiady w Osicach. Moi rozmówcy bardzo mile mnie przyjęli. Pani N. poczęstowała jajecznicą ze świeżych jajek od własnych kur, a pani M. dała mi na drogę kobiałkę malin. To nic, że wracając rowerem do Grabin Zameczku część z nich zgniotła mi się w koszyku trwale brudząc moją ulubioną torbę. Chyba nigdy jeszcze nie byłam zadowolona z takiego podarunku, jak maliny. Były po prostu pyszne! A przede wszystkim rekompensowały mi powrót w strugach deszczu do Grabin Zameczku.

Wieczorem jednak cały czas myślałam o znajomych dziadków ze Steblewa. Jutro jeśli pogoda będzie dobra, to na pewno tam pojadę.

8 WRZEŚNIA 2010

Pogoda dopisuje, więc jadę do Steblewa. Wciąż myślę nad tym, jak znaleźć znajomych dziadków. Decyduję się pójść do pani soltys, która chcąc mi pomóc, podaje mi nazwiska najstarszych mieszkańców. Być może któraś z tych osób znała właśnie moich dziadków. Postanawiam zadzwonić do taty:

- Cześć tato, mam kilka nazwisk najstarszych osób, które mieszkają do dziś w Steblewie.
- To może mi je przeczytaj, może skojarzę któreś z nich.
- Dobry pomysł. To zaczynam. K., L., P., D. ...
- Tak, wydaje mi się, że to właśnie D.
- Jesteś pewien?
- Chyba tak. Jakoś tak znajomo brzmi.
- Dobrze, to ruszam na poszukiwania. Do usłyszenia!
- Powodzenia i koniecznie daj znać, co udało ci się ustalić.

Po rozmowie z tatą, pełna zapachu ruszyłam główną ulicą Steblewa. Zaczęłam pytać napotkanych ludzi o państwa D. Wtedy też pojawiła się pierwsza trudność:

- Ale D. to jest we wsi kilku – odpowiedziała mi kobieta z dzieckiem w wózku.
- Szukam starszego państwa – odparłam.
- Starszych też jest kilku. O, najbliżzej mieszka ten D2. Tu na rogu, ale nie wiem, czy jest w domu, bo widziałam, jak samochód wyjeżdżał.

W domu zastałam tylko wnuczka D2. Kiedy zapytałam o inne osoby o tym nazwisku, pokierował mnie do miejscowego sklepu. Ruszyłam dalej. Po dotarciu do sklepu dowiedziałam się od córki D3., że jej ojciec już nie żyje. Kobieta nie pamiętała też żeby rodzice mieli jakichś znajomych o nazwisku Paprot. Jednak widząc na mojej twarzy ogromne rozczarowanie powiedziała:

- Jest jeszcze we wsi jeden D1. To nasza rodzina. Idź tam, może będą coś wiedzieć o twoich dziadkach – była to ostatnia szansa zdobycia jakichkolwiek informacji o znajomych ze Steblewa.

Drzwi otworzyła mi kobieta po trzydziestce. Kiedy zapytałam ją o rodziców, zaprowadziła mnie do pokoju, w którym siedział pan i pani D3. Miałam cichą nadzieję, że w końcu dobrze trafiłam.

- Dzień dobry, jestem studentką i prowadzę badania na Żuławach Gdańskich. Poszukuję osób, które mogłyby opowiedzieć mi trochę o tym, jak tu było po wojnie i skąd państwo przybyli – pośpiesznie wypowiedziałam już oklepaną formułkę, którą zaczynałam każdą z rozmów. – A tak naprawdę to szukam też znajomych moich dziadków. Podobno odwiedzali tu jedną z rodzin, która pochodziła z tych samych terenów co oni. Nazwisko Paprot, może kojarzą państwo?

- Kojarzyć, coś kojarzę. Rodzice z takimi się znali i oni tu przyjeżdżali – odpowiedział mi starszy pan. Pamiętam, że w tym momencie wypowiedziałam chyba dużo nieskładnych zdań. Było to wynikiem niepohamowanej radości z faktu spotkania z państwem D1.

- Usiądź dziecko, emocje muszą ci opaść – skwitowała z uśmiechem pani L.D1.

W czasie dwugodzinnej rozmowy z państwem D1. dowiedziałam się, że moi dziadkowie byli serdecznymi znajomymi z rodzicami pana K.D1. Mieszkali niedaleko siebie na Kielecczyźnie. D1. przybyli do Steblewa w 1947 roku, gdy D1. miał piętnaście lat. Moi dziadkowie przyjechali z kolei na Żuławy siedem lat później, bo w 1954 roku. Wtedy też znajomość z rodzicami K.D1. została odnowiona i spotkania między dwiema rodzinami z Kielecczyzny miały miejsce parę razy do roku. Trwało to do początku lat siedemdziesiątych, kiedy to zmarł S.D1, a później M.D1. Nie było już kogo odwiedzać. Najstarsi odeszli do wieczności,

a młodzi nie zawsze mieli czas, by podtrzymywać znajomość.

Na koniec spotkania córka państwa D1. zrobiła nam wspólne pamiątkowe zdjęcie. Wymieniliśmy się także numerami telefonów i adresami. Państwo D1. przekazali także serdeczne pozdrowienia moim rodzicom. Choć pan K.D1. nie pamiętał wszystkich szczegółów znajomości jego rodziców i moich dziadków, to byłam szczęśliwa, że udało mi się odnaleźć osoby, które pamiętały moich przodków.

Dopiero badania na Żuławach Gdańskich z UAM w Poznaniu umożliwiły mi uczynienie kart rodzinnej historii bardziej przejrzystymi. Dzięki temu dowiedziałam się też jak wyglądały pierwsze lata moich dziadków na Żuławach, a zdjęcia w rodzinnym albumie zaczęły nabierać nowych znaczeń.

10 WRZEŚNIA 2010

Muszę przyznać, że pozostałe dni badań przyćmiła wizyta u państwa D1. w Steblewie. Obiecałam sobie, że po powrocie uporządkuję pewne rodzinne historie, a przede wszystkim je spiszę. Żal było mi dziś wyjeżdżać z Grabin Zameczku, i niestety, kończyć jedną z żuławskich przygód.

EPILOG

Ostatnio wertując strony zeszytu, który prowadziłam podczas badań terenowych na Żuławach Gdańskich, natrafiłam na wpis dotyczący państwa D1. Był tam zapisany również ich numer telefonu i adres. Postanowiłam do nich zadzwonić. Bardzo się ucieszyłam, gdy usłyszałam w słuchawce znajomy głos, który blisko rok temu przybliżył mi losy moich przodków. Zarówno pan K. i pani L. zapewniali mnie, że mają się dobrze. Wspominali także nasze spotkanie i byli ciekawi co u mnie słychać. Mam nadzieję, że niebawem znów się spotkamy.



Kordian Kuczma

PATRONI NASZYCH ULIC (CZ. 7) ULICE MALBORKA

Już we wstępie do pierwszego tekstu z cyklu „Patroni naszych ulic” wspominałem, że w pierwszych latach po II wojnie światowej, kiedy nasz kraj wciąż oficjalnie nazywał się Rzeczpospolitą Polską i formalnie obowiązywała w nim konstytucja marcowa, nazewnictwo w polskich miastach wyglądało nieco inaczej niż w okresie PRL. Wsunąłem tam hipotezę, że popierana przez Sowieców PPR dopiero po Kongresie Zjednoczeniowym z PPS w 1949 r., który stanowił ukoronowanie prowadzonej z nią nieczystymi metodami walki o władzę, odważyła się na próbę przemodelowania narodowej tradycji na swoją (i sowiecką) modłę. Nie uczyniła tego wcześniej, nie będąc całkowicie pewna trwałości budowanego systemu oraz próbując stworzyć pozory przestrzegania demokratycznych reguł.

Właśnie w okresie apogeum stalinizmu najpopularniejszymi polskimi patronami ulic i wszelakich instytucji stali się: Karol Świerczewski, Marceli Nowotko, Marian Buczek oraz inni komuniści i rewolucjoniści z Ludwikiem Waryńskim na czele. Dla odmiany w pierwszych powojennych latach znacznie ustępowali oni postaciom reprezentującym inne odłamy szeroko pojętej centrolewicy oraz polski i aliancki wysiłek zbrojny w okresie II wojny światowej. Trend ten był szczególnie mocno widoczny w wypadku miast położonych na tzw. Ziemiach Odzyskanych. Zasiedlający je emigranci przywozili ze sobą zresztą nie tylko „demokratyczne” tradycje. W 1946 r. na planie Szczecina można było odnaleźć m.in. ulice księdza Ignacego Skorupki (dziś Stanisława Więckowskiego), papieża Piusa XI (Ofiar Oświęcimskich), generała Gustawa Orlicz-Dreszera (Stefana Okrzei), prezydenta Woodrowa Wilsona (Niemierzyńska), marszałka Ferdynanda Focha (Komuny Paryskiej) i Oleandrów (Jemiółowa), a nawet Zaolziańska i Jabłonkowska (Mieczysława Niedziałkowskiego i Witolda Starkiewicza).

Spśród powszechnie czczonych wtedy bohaterów z dyktaturą proletariatu najmocniej kojarzyły się osoby żyjące: Józef Stalin oraz marszałkowie Konstanty Rokossowski i Michał Rola-Żymierski, który skądinąd w ramach „zaostrażającej się walki klas” w 1952 r. trafił do więzienia. W omawianym w tym artykule Malborku patronowali oni późniejszym ulicom VIII Plenum/Władysława Sikorskiego i 500-lecia, czyli jednym z głównych traktów miasta, zaś ulica Żymierskiego okazała się wyjątkowo żywotna. Nie jest to zresztą całkowity ewenement, ponieważ nadal ponad 30 polskich ulic i placów (głów-

nie w województwie lubuskim, dolnośląskim i opolskim) nosi imię pierwszego marszałka LWP. Biorąc pod uwagę, że zmarł on w 1989 r., prawdopodobnie wszystkie otrzymały to miano za jego życia.

Nie dysponuję całością materiału źródłowego na temat nazewnictwa tego okresu, jednak na pewno opisywany proces miał różne oblicza. Być może możliwe byłoby nawet wyodrębnienie jego regionalnych wariantów. Jak wynika z faktów przedstawionych poprzednio, w Szczecinie socjaliści i działacze Stronnictwa Demokratycznego wyparli patronów kojarzonych z okresem międzywojennym, w innych miastach, np. w Gdańsku, sami zostali wyparci przez komunistów. W wielu, szczególnie mniejszych ośrodkach, doszło jedynie do kosmetycznych zmian. Nieco inaczej sytuacja wyglądała na terenach, które przed 1945 r. nie należały do Rzeczypospolitej, gdzie korekty nazewnictwa ograniczały nie tylko ślady innych światopoglądów niż marksistowski, lecz – jak się okazało – również zasięg nawiązań do polskich tradycji tych ziem.

Przykładem takiej sytuacji był, moim zdaniem, los pierwszych powojennych nazw ulic Malborka. Najogólniej rzecz biorąc ówczesne nazwy ulic można podzielić na sześć kategorii:

- noszące imiona osób zasłużonych dla miasta (tutaj można zaliczyć Deutsch-Ordens-Platz, czyli plac Krzyżacki – obecnie plac 3 Maja),
- noszące imiona niemieckich osobistości (w praktyce wyłącznie władców i dowódców wojskowych),
- geograficzne (np. Braunswalder Weg, czyli Gościszewska Droga – obecnie Mazowiecka),
- związane z elementami lokalnej topografii, budownictwa i infrastruktury (np. Am Mühlengraben – obecnie A. Mickiewicza),
- zaczerpnięte ze świata przyrody (nazwy drzew, ptaków, zwierząt),
- zaczerpnięte od nazw zawodów.

Tylko osiem spośród istniejących w 1940 r. ulic nosi obecnie nazwę stanowiącą dokładne lub przybliżone tłumaczenie nazwy niemieckiej: Dworcowa (Bahnhofstrasse), Zagórna (Bergstrasse), Bydgoska (Bromberger Strasse), Lotnicza (Fliegerweg), Grudziądzka (Graudenzer Strasse), Kasztanowa (Kastanienweg), Nogatowa (Nogatweg) i Toruńska (Thorner Strasse). W 1946 r. takich ulic było jedenaście – dodatkowo Piekarska (Bäckerstraße, obecnie Rolnicza), Fabryczna (Fabrikstrasse, dziś część Toruńskiej), Rybacka (Fischergasse, włączona do osiedla XX-lecia) i nieistniejąca już Zielona (Grünweg Strasse), zaś Kasztanowa nosiła nazwę Grodzieńskiej. Część ulic otrzymała nazwy luźno związane z ich niemieckimi przyrodniczymi, geograficznymi i topograficznymi odpowiednikami, np. nieistniejąca już Erlenweg – Topolowa, Feldweg – Dworska, Grüner Steg – Łąkowa. Pozostałe nowo wprowadzone nazwy znacznie odbiegały od poprzednich.

Wydaje się, że można wyodrębnić trzy przyczyny takiego stanu rzeczy: różnice mię-

dzy polskimi a niemieckimi zwyczajami nazewniczymi, szczególnie widoczne w przypadku nazw zaczerpniętych ze świata przyrody; konieczność usunięcia patronów i nazw geograficznych związanych z Niemcami oraz wprowadzenia elementów nazewnictwa podkreślających przynależność do Polski i przypominających o tradycjach jej północnych terenów; adaptacja dużej liczby elementów warszawskiego nazewnictwa ulic związana z migracją dawnych mieszkańców stolicy; w pierwszych powojennych miesiącach i w okresie transformacji ustrojowej, także dobór nazw geograficznych związanych z osadnikami z Kresów.

Ta ostatnia tendencja jeszcze mocniej uwidoczniła się w Elblągu, w którym do dziś znajduje się m. in. Leszno, Tamka i Agrykola. Ulica Łączności okazała się bardziej trwała niż warszawska, należąca przed II wojną światową do kompleksu ulic o militarnych nazwach okalających żoliborski plac Grunwaldzki. O korzeniach tych zapożyczeń pisał w swojej opublikowanej w numerze 2/2010 „Prowincji” „małej prozie” „Dwulwice” Janusz Ryszkowski. Co ciekawe, nawet biorąc za dobrą monetę opowieść bohatera tego utworu J. o ulicy Neonowej, można zauważyć, że gdyby II wojna światowa wybuchła 10 lat później, prawdopodobnie o wyborze takiej nazwy dla słabo oświetlonego zaułka nie zadecydowałby kac i ironia, lecz... również inspiracje rodem ze stolicy. Ekipa Stefana Starzyńskiego planowała bowiem w rejonie obecnej elektrociepłowni Siekierki budowę stadionu narodowego i osiedla, na którym ulice nosiłyby nazwy pierwiastków chemicznych, w tym właśnie neonu.

Obecnie w Malborku kojarzące się z Warszawą (de facto głównie z jej śródmieściem i wschodnimi rejonami Woli) nazwy nosi dwanaście ulic: Akademicka (nazwa pochodzi od Domu Akademickiego w rejonie placu Narutowicza na Ochocie), Ciepła, Jasna, Koszykowa, Marszałkowska, Okopowa, Mazowiecka, Słupecka (Ochota), Wspólna, Warecka, Wilcza, Zagórna, Zieleniecka (okolice Parku Skaryszewskiego). O sile trendu świadczy fakt, że cztery z wyżej wymienionych ulic położonych na Piaskach nosiły wcześniej nazwy geograficzne, które w imię manifestowania polskości Ziem Odzyskanych mogły zostać przetłumaczone dosłownie (Okopowa – Soldauer Weg i Stargarder Weg, czyli Działdowska i Starogardzka, Wilcza – Tiegenhöfer Weg, czyli Nowodworska, Koszykowa – Liebenthaler Weg, czyli Miłakowska). Trzy inne nosiły wcześniej rzadko w tym okresie spotykane w Polsce, a częste w Niemczech nazwy „ptasie” (Kosów, Szpaków, Drozdów). Ewentualnie można by dodać jeszcze do tej listy Żelazną, jednak jej „warszawskość” osłabia położenie w rejonie dworca kolejowego oraz Solną (ulicę o tej nazwie zlikwidowano podczas budowy placu Defilad – być może zostanie przywrócona w rezultacie planowanych zmian zagospodarowania przestrzennego tych okolic).

W 1946 r. warszawskie korzenie miało znacznie więcej, bo około czterdziestu malborskich ulic i placów. Część z nich w następnych latach otrzymała nazwy, które uznano z różnych względów za bardziej odpowiednie (Kredytowa – Rakowiec, Waliców – Dąbrówki), także ideologicznych (plac Unii Lubelskiej i ulica Śniadeckich – Władysława Hibnera, obecnie Starościńska, plac Stanisława Małachowskiego – Marcina Kasprzaka, dziś Kazimierza Pułaskiego). Wiele zniknęło wraz z powstaniem osiedla XX-lecia PRL na miejscu Starego Miasta (Hoża, Wolska, Górczewska, Otwocka). Jeszcze inne znajdo-

wały się na terenie Nowej Wsi Malborskiej (Barska, Miedziana, Sienna). Długiego żywota nie miały też szczególnie częste w rejonach wybrzeża Nogatu i Międzytorza nazwy kresowe. Wołkowyska to obecna Partyzantów, Lwowska – Wejhera (w czasach PRL – 22 Lipca), Grodzieńska – Kasztanowa na Piaskach, zaś Litewska – Słoneczna. Całkowicie z mapy zniknęła Brzeska (Wittenberger Platz), Kijowska (przedłużenie Asnyka, po niemiecku Hoppenbrucher Weg, czyli Moczarowa) i Wileńska (Wengernweg nad Nogatem) oraz ulica zwycięzcy spod Kłuszyna – hetmana Stanisława Żółkiewskiego.

Dużym zmianom uległa w ciągu ostatniego półwiecza lista wybitnych Polaków, Pomorzan i Warmiaków będących patronami malborskich ulic. Niestety spośród przyjętych bezpośrednio po wojnie szeroko pojętych patronów regionalnych do dzisiaj przetrwali jedynie kompozytor Feliks Nowowiejski i kaszubski poeta Hieronim Derdowski. Dwaj inni – król Kazimierz Jagiellończyk oraz polityk, ekonomista i chemik Eugeniusz Kwiatkowski powrócili na plan miasta w III RP. W 1946 r. imiona obydwu nosiły ulice w centrum Malborka – dzisiejsze Poczty Gdańskiej i marszałka Piłsudskiego. Zwraca uwagę uczczenie zasług Kwiatkowskiego (wówczas delegata Rządu RP ds. odbudowy Wybrzeża) za jego życia (jak się okazuje, nie tylko on został potraktowany w ten sposób), zaś Nowowiejskiego bezpośrednio po jego śmierci. Tyle szczęścia nie miały inne postaci związane z obecnymi terenami północnej Polski. I tak Jan Dantyszek (1484-1548), gdańszczanin, długoletni proboszcz parafii mariackiej, biskup chełmiński 1530-37 i warmiński 1537-48, sekretarz królewski, poseł Zygmunta Starego na dwór Habsburgów i do Wenecji. Wielokrotnie skutecznie bronił interesów finansowych Jagiellonów, m.in. we Włoszech. Jako pierwszy monarszy wysłannik w 1525 r. otrzymał tytuł stałego ambasadora (we Wiedniu). O jego znaczeniu w tamtejszym środowisku świadczy nadanie hiszpańskiego szlachectwa i wieniec laurowy od cesarza Maksymiliana I. Był pionierem stosowania szyfrów w polskiej praktyce dyplomatycznej. Poeta piszący po łacinie, najbardziej znany jako autor elegii, mecenas sztuki i oświaty, korespondował z Erazmem z Rotterdamu. Pochowany w Lidzbarku Warmińskim.

Jerzy Lanc (1901-32), nauczyciel, absolwent seminarium nauczycielskiego w Cieszynie, pracował w Rudzicy na Podbeskidziu i Szklarcze Śląskiej w okolicach Odolanowa. Od 1931 r. kierował polską szkołą w Piasutnie koło Szczytna. Często padał ofiarą szykan niemieckiej społeczności, których kulminacją było śmiertelne zatrucie czadem.

O pewnej równoległości elbląskiego i malborskiego nazewnictwa (oprócz niepokrywania się czynionych przez nie warszawskich „pożyczek” z wyjątkiem najpopularniejszej z nich – Wspólnej) świadczy fakt, że Wilhelmstrasse na elbląskiej starówce w okresie PRL nosiła imię Bogumiła Linki (1895-1920), działacza społecznego i oświatowego ze wsi Wawrochy, członka mazurskiej delegacji na konferencję pokojową w Wersalu, który zmarł w wyniku pobicia przez niemieckich bojówkarzy. Po 1989 r. przywrócono tradycyjne nazwy: Wieżowa i Studzienna.

Ksiądz Wacław Osiński (1868-1945), urodzony w Sztumskiej Wsi, redaktor pisma „Warmiak” (1904-05), wiceprezes Rady Ludowej na Warmii w 1919 r., prezes Dzielnic IV Związku Polaków w Niemczech (Prusy Wschodnie, czyli Warmia, Mazury i Powi-

śle) i Polsko-Katolickiego Towarzystwa Szkolnego w Olsztynie, więzień obozów koncentracyjnych Hohenbruch i Sachsenhausen, zmarł z wycieńczenia w Wejherowie kilka dni po wyzwoleniu.

Franciszek Sokół (1890-1956), absolwent prawa uniwersytetu we Lwowie (studia w Krakowie przerwał mu wybuch I wojny światowej), sierżant Legionów Polskich, działacz Polskiej Organizacji Wojskowej i BBWR, 1928-31 starosta w Nadwórnej na Podolu, 1931-33 wicewojewoda stanisławowski, 1933-39 komisarz rządowy w Gdyni. Inicjator wielu przedsięwzięć w dziedzinie infrastruktury komunalnej, m.in. zawodowej straży pożarnej, szpitala miejskiego i hali targowej, działacz licznych organizacji społecznych. W czasie kampanii wrześniowej szef administracji Obszaru Nadmorskiego i komisarz cywilny przy Dowództwie Floty. Okres wojny spędził w oflagach oraz obozach koncentracyjnych Stutthof i Mauthausen. Po wyzwoleniu pracował w Delegaturze Rządu dla spraw Wybrzeża oraz w Ministerstwie Pracy i Opieki Społecznej. Zmarł w Krynicy.

Augustyn Steffen (1901-92), absolwent filologii klasycznej na Uniwersytecie Poznańskim i etnografii na Uniwersytecie Jagiellońskim (studia dokończył podczas II wojny światowej w Rumunii), dyrektor Banku Ludowego w Olsztynie, sekretarz Związku Polaków w Niemczech na okręg warmiński. Badacz dialektu ziemi barczewskiej i warmińskiej literatury ludowej, rezultaty jego badań ukazywały się w Krakowie w serii „Biblioteka Warmińska”. Sam również pisał wiersze. Walczył jako ochotnik w Samodzielnej Brygadzie Strzelców Karpackich, w okresie powojennym wykładał w Studium Polonistycznym w Bejrucie, na uniwersytecie w Lundzie i w Londynie.

Ulica Lanca zniknęła wraz ze Starym Miastem. Pozostałych wyżej wymienionych patronów zastąpili „bohaterowie nowych czasów”: Dantyszka - Marcei Nowotko, Kwiatkowskiego - Julian Marchlewski, Sokoła - Feliks Dzierżyński, Osińskiego - Jarosław Dąbrowski, zaś Steffena - Władysław Kniewski. Co wydaje się dziwne w przypadku miasta obleganego przez armię Jagielły w latach 1410-11, uznano plac Hanki Sawickiej za odpowiedniejszą nazwę dla dawnego Hartwigplatz od placu Zawiszy Czarnego (dziś nosi on imię Ludwika Zamenhofa). Jak można było się domyślać, śmierć z rąk Prusów w rejonie obecnego Elbląga i pobyt świętego Wojciecha w Gdańsku nie zapobiegły przechrzczeniu placu jego imienia na Ludwika Waryńskiego. Nawet „słuszne” rzemieślnicze pochodzenie nie uchroniło Jana Kilińskiego od zamiany na Małgorzatę Fornalską (mowa o obecnej ulicy Wołyńskiej). Przodownik pracy Wincenty Pstrowski pojawił się na miejscu Czwartaków mimo, że oprócz 4 pułku piechoty liniowej Królestwa Polskiego taką nazwę nosił warszawski batalion Armii Ludowej oraz ... jedno z malborskich osiedli (casus nieco podobny do warszawskiej Kolonii Lubeckiego, z tym, że ulica imienia zasłużonego ministra skarbu nie znajdowała się na Ochocie, lecz na Muranowie).

Jeżeli władarze miasta rzeczywiście kierowali się klasową wymową nazw, tym bardziej nie można dziwić się przemianowaniu placu księcia Józefa Poniatowskiego (notabene jednego z najpopularniejszych patronów II RP) na ulicę Włodzimierza Majakowskiego, Dworskiej na Pawła Findera, zaś Rycerskiej na Janka Krasickiego. Bohater „imperialistycznych” Stanów Zjednoczonych Jerzy Waszyngton ustąpił Karolowi Markso-

wi, szlachecki gawędziarz Wincenty Pol – Fryderykowi Engelsowi. Ulica Poznańska na Międzytorzu otrzymała nazwę Pionierów, dotychczasowa pozostała na osiedlu – niestety kosztem wynalazcy lampy naftowej Ignacego Łukasiewicza. Nie był to jedyny patron ze świata nauki, który szybko zniknął z planu Malborka. Oprócz braci Jana i Jędrzeja Śniadeckich w tej grupie był też wybitny warszawski lekarz i odkrywca walorów klimatycznych Zakopanego Tytus Chałubiński oraz Franciszek Żwirko i Stanisław Wigura. Na szczęście tendencja ta nie okazała się trwała, czego dowodem jest obecne nazewnictwo Osiedla Południe.

Oczywiście kształtowaniem się malborskiego nazewnictwa ulic w dużej mierze rządził przypadek. Wraz z powojennymi przebudowami przestał istnieć m. in. plac 1 Maja w okolicach zamku, ulice: antycarskiego rewolucjonisty Waleriana Łukasińskiego w Nowej Wsi Malborskiej i Michała Drzymały, trudno byłoby też doszukiwać się podtekstów w czasowym wypadnięciu z listy patronów Marii Konopnickiej (dawną Blumestrasse włączono do placu Wolności), Cypriana Kamila Norwida (nadanie nazwy Targowa) czy Stanisława Wyspiańskiego. W każdym razie wystarczy rzut oka na dawne plany i zestawienia, aby przekonać się, że współczesne nazewnictwo Malborka nie tylko zwraca uwagę interesującym doborem patronów, lecz również posiada wartość poznania korzenie, które przynajmniej w kilku przypadkach mogłoby stanowić inspirację dla współczesnych.

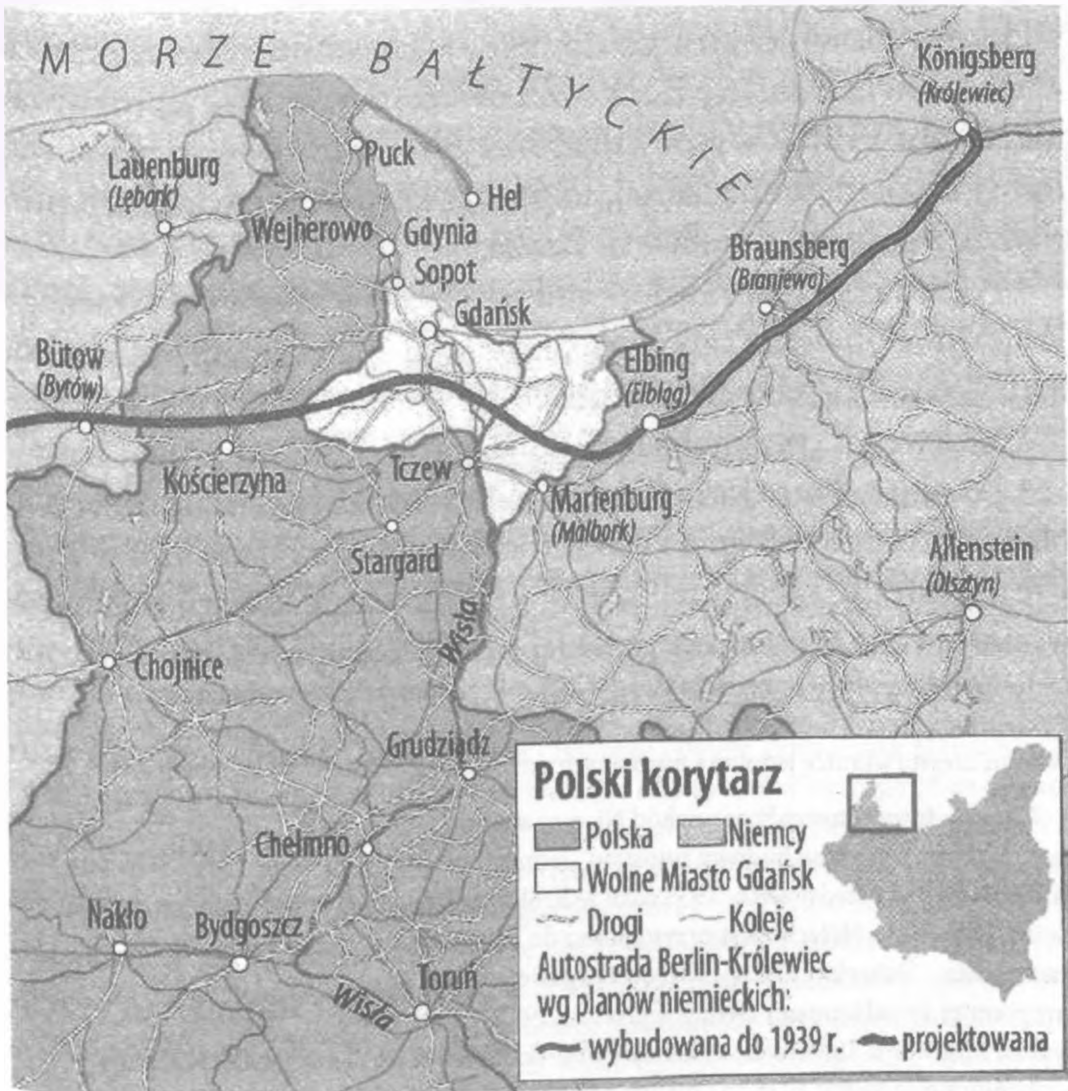
Suplement do artykułu „Patroni naszych ulic (cz.6) - „Wiebe, Steibrecht, Flottell ...” („Prownicja” nr 2 (8) z 2012 r., str. 59 -63)

Oprócz Ulricha von Jungingena, Hermanna von Balka, Konrada von Thierberga i Winricha von Kniprode ulice na obecnym osiedlu Międzytorze nosiły również imiona mistrza krajowego Zakonu Krzyżackiego w latach 1288-99 Meinharda z Querfurtu (dziś północna część ulicy Pionierów) oraz prowadzącego liczne walki z Litwinami wielkiego mistrza 1391-93 Konrada von Wallenrode, tytułowego bohatera poematu Adama Mickiewicza. Samo osiedle było znane jako Plauensiedlung. O postaci Heinricha von Plauena przypominała też nazwa drogi nad Nogatem równoległej do ulicy Portowej (ówczesnej Zeppelinstrasse). Jej przedłużenie wzdłuż starówki nosiło nazwę Thierbergweg. Ulica Maxa Halbego pierwotnie nazywała się Gymnasialstrasse.

Wiesław Olszewski

ŻUŁAWSKI WĄTEK „BERLINKI”

„Berlinka” to współczesna, potoczna nazwa budowanej przed i w czasie II wojny światowej autostrady, która miała połączyć stolicę ówczesnej III Rzeszy Berlin ze znajdującym się na wschodnich rubieżach państwa Królewcem, przebiegając przez tzw. polski korytarz. Stara, a właściwie niedokończona autostrada, jest lokalną atrakcją w wielu miejscach Pomorza, choć przewodniki rzadko o niej wspominają. Czasami nazwa „berlinka” jest używana również w odniesieniu do dzisiejszej drogi krajowej nr 22 na odcinku Chojnice — Malbork. Istnieje też mało znany, żuławski wątek tej drogi, z materialnymi śladami. Ale po kolei.



Trasa, którą już 2000 lat temu przewożono towary między Brugią (dzisiejsza Belgia) i Nowogrodem w Rosji, liczy około 2500 km długości i prowadzi wzdłuż wielkiej części Europy. Mijamy niegdyś przepiękne i bogate miasta, które zrównano z ziemią w czasie II wojny światowej, poczynając od Aachen, przez Düsseldorf i całe zagłębie Ruhry zniszczone bombardowaniami alian-tów, Braunschweig, Berlin i dalej wiele miast już na terenie dzisiejszej Polski zniszczonych kompletnie wraz z idącym frontem czerwoarmistów.

Podpisany 28 czerwca 1919 roku Traktat Wersalski, w znacznym stopniu narzucony pokona-nym Niemcom przez zwycięskie mocarstwa, oddzielał Prusy Wschodnie od reszty Rzeszy tzw. polskim korytarzem. Zrozumiałym i naturalnym było więc poszukiwanie przez Niemcy racjo-nalnych rozwiązań komunikacyjnych na tym kierunku. Prowadzono je i w okresie Republiki Weimarskiej jak i w czasie hitlerowskiej III Rzeszy. Istnienie sprawnej łączności ze wschodnią prowincją miało ogromne znaczenie militarne i gospodarcze. Miało zapobiegać cywilizacyjnej degradacji Prus Wschodnich i powstrzymać „Drang nach Westen”- masowy exodus ludności na zachód Niemiec, opisywany przez Melchiora Wańkowicza w reportażowej książce „Na tropach Smętka”. Na przestrzeni lat, pod wpływem różnych czynników, w tym głównie politycznych, koncepcja ta ulegała zmianom i modyfikacjom.

Już w 1922 r. Ministerstwo Komunikacji Niemiec stworzyło namiastkę morskiego „mostu” komunikacyjnego, czyli linię żeglugową omijającą „korytarz”. Niemcy traktowali to przedsię-wzięcie jako rozwiązanie typowe dla stanu wyższej konieczności. W lecie statki służby morskiej kursowały między wschodniopruską Pilawą i zachodniopomorskim Świnoujściem codziennie, a zimą od 4 do 5 razy w tygodniu. Było to jednak rozwiązanie znacznie gorsze od lądowego. Zwłaszcza pod względem szybkości. Morsko-kolejowa podróż z Berlina do Królewca, z prze-siadką z pociągu w Świnoujściu, trwała około doby. Pociąg pośpieszny na pokonanie tego dy-stansu potrzebował zaś tylko około 12 godzin.

Niemcy, żeby ominąć Polskę, projektowali, nie zważając na ogromne koszty, komunikację ko-lejowo-morską z Berlina do Królewca przez Ustkę. Planowany wielki terminal promowy na Po-morzu Środkowym ostatecznie nigdy jednak nie powstał. Przez cały okres międzywojenny stro-na niemiecka nie skłaniała się do rozwiązania tego problemu przez pełne porozumienie z Polską. Początkowo starano się zastosować czynnik ekonomiczny – uniezależnić ten transport od Pol-ski, zarazem pozbawiając ją dochodów z opłat tranzytowych, „odizolować” Polskę od ożywiają-cego gospodarkę ruchu komunikacyjnego. „Zagrożona” przez Polaków komunikacja z Prusami Wschodnimi zaczęła frapować niemieckich planistów zaraz po dojściu Adolfa Hitlera do władzy. Stała się zresztą wkrótce jednym z formalnych powodów wybuchu II wojny światowej.

Plany budowy autostrady na wschód Niemcy stworzyli na początku lat 30. Miała być elemen-tem wielkiego programu budowy autostrad - jednego ze sztandarowych projektów Hitlera. Ideę takiej inwestycji przedstawił w 1933 roku w Królewcu Generalny Inspektor Niemieckich Dróg dr inż. Fritz Todt. Natychmiast przystąpiono do jej realizacji rozpoczynając budowę na odcin-kach Berlin - Szczecin i Elbląg - Królewiec, gdzie pierwsze szpadle wbili odpowiednio, ówczesny premier Prus Hermann Gering w grudniu 1933 roku koło Finowfurt i gauleiter Erich Koch w dniu 12 grudnia 1933 roku w okolicy Pomorskiej Wsi. Prace ruszyły wiosną roku następnego i zakończone zostały w 1938 na obydwu odcinkach.



Gauleiter Forster rozpoczyna budowę autostrady Berlin - Gdańsk. [foto.httpwww.berlinka.pcp.p](http://www.berlinka.pcp.p)

O niemieckich planach budowy eksterytorialnej autostrady minister Józef Beck dowiedział się w 1935 roku. Niemcy przekonywali Polskę, by zgodziła się na wytyczenie takiej drogi przez korytarz. Równocześnie posuwali się z budową na swoim terenie. Polska rozważała różne warianty i możliwości realizacji takiej inwestycji, wykluczając jednak jej eksterytorialność. Powołano nawet specjalną komisję złożoną z ekspertów obu stron. Ciekawostką jest, że jeden z wariantów zakładał pokonanie korytarza w najwęższym miejscu, budując autostradę w postaci wiaduktu. Koncepcję tę przedstawił Hitlerowi włoski „król autostrad” Pietro Puricelli i spotkał się z przychylnością kanclerza. Znaczący przedmiot twierdzą, że była to w czystym wydaniu utopia.

Zwyciężył jednak wariant lądowy. Pierwotnie Niemcy planowali, aby „berlinka” przebiegała od Szczecina przez Łobez - Połczyn Zdrój - Bobolice i Bytów. Przez Polskę przechodziłaby w okolicy Stężycy i Szymbarka, następnie wkraczając na terytorium Wolnego Miasta Gdańsk w okolicy Przywidza i od południa omijając Pruszcz Gdański, przez Nowy Staw docierałaby do Elbląga. W kontaktach ze stroną polską większe szanse powodzenia miał natomiast idący dalej na południe i omijający Gdańsk wariant drugi, z przeprawą przez Wisłę w okolicach Kwidzyna. Rozwiązaniu pierwszemu przeciwstawiły się zdecydowanie polskie gremia wojskowe. Wymagałoby to również rewizji Konwencji Paryskiej – umowy polsko-gdańskiej z 9 listopada 1920 roku, precyzującej zasady funkcjonowania Wolnego Miasta. Intensywne działania dyplomatyczne trwały cały czas. Szeroko opisuje je Marian Wojciechowski w trzecim tomie wydanej przez Instytut Zachodni w Poznaniu pracy *Stosunki Polsko-Niemieckie 1933 – 1938*. Na podstawie tej

i innych publikacji można wysnuć wniosek, że pozytywne rozwiązanie tej kwestii, w porozumieniu z Polską, nie leżało w niemieckim interesie. Zamykałoby to bowiem drogę do żądania rewizji granic, a to wydaje się priorytetem polityki międzywojennego Berlina. Również technologia budowy niemieckich autostrad świadczy o realizacji bardzo ważnego nazistom aspektu militarnego, o czym wówczas jeszcze nie mówiono. Choć Niemcy pod względem rozwoju motoryzacji i natężenia ruchu przewyższały inne kraje, to jednak nawierzchnię powstających autostrad konstruowano tak, aby wytrzymywała nacisk osi dla masy, jakiej jeszcze długo nie posiadały ówczesne środki transportu. Dzięki temu po zbudowanych z betonu jezdniach, bez uszczerbku dla nich, mogły poruszać się ciężkie czołgi. I to zapewne było kolejnym priorytetem.

Temat powrócił ponownie w 1938 roku, kiedy minister spraw zagranicznych Joachim von Ribbentrop przekazał polskiemu ambasadorowi w Niemczech Józefowi Lipskiemu propozycje postulatów współpracy obu państw. Wśród nich pojawiła się koncepcja budowy eksterytorialnej autostrady przez „pomorski korytarz”. Od końca tego roku Hitler już otwarcie domagał się zgody na poprowadzenie eksterytorialnej autostrady przez polską część Pomorza.

Ostatecznie Polska zgody jednak nie dała.

Po wybuchu II wojny światowej i zajęciu Polski Niemcy mogli już bez przeszkód poprowadzić autostradę do Królewca dowolnie wybraną przez siebie trasą. Prawdopodobnie zaniechano jej budowy na odcinku od Barwic do Chojnic, wybierając opcję przez Biały Bór, Miastko, Bytów, Kościerzynę i Pruszcz Gdański. Tak wytyczony szlak „berlinki” pojawia się na kolejnych mapach wydawanych od 1940 roku. Pod koniec 1939 roku, wzdłuż pomorskiego szlaku planowanej autostrady, powstały specjalne obozy pracy, tzw. Reichsautobahnlagery. Trafiały do nich ofiary rozpętanej wojny Polacy i Żydzi, zastępując w ten sposób wcielonych do Wehrmachtu niemieckich robotników drogowych. Roboty te wykonywali również robotnicy przymusowi i jeńcy wojenni.

Po zajęciu Polski we wrześniu 1939 r. Niemcy bardzo szybko przedłużyli ówczesną Reichsstrasse, używając identycznej technologii jak ta używana do budowy autostrad. Betonowa nawierzchnia zachowała się na wielu odcinkach trasy do dziś. Była to jedna z najdłuższych i najstarszych dróg w Europie, a także jeden z najstarszych szlaków handlowych.

Wtedy także rozpoczęto budowę szczególnie interesującego nas odcinka - w stronę Gdańska i dalej Żuław. Do dziś przetrwała większość zbudowanych w czasie wojny wiaduktów, nasypów i przepustów, a także np. autostradowa grobla przez jezioro Dłusko. Na trasie rośnie już najczęściej las, ale różnica w wyglądzie drzewostanu umożliwia rozpoznanie śladów „berlinki” na zdjęciach satelitarnych. Ślady ciągną się przez Pomorze Zachodnie aż po Kaszuby, gdzie w pobliżu Kościerzyny znaleźć można m.in. potężny, kilkunastometrowy nasyp, a także szczególną pamiątkę po budowie - resztki obozu pracy przymusowej. Pojedyncze ślady przebiegu trasy można znaleźć także w samym Gdańsku oraz w Pruszczu Gdańskim.

Do autostrady Berlin - Królewiec obszar Gdańska miał być podłączony specjalnym autostradowym łącznikiem, niezależnie od przyjętego wariantu jej przebiegu. Częściowo miał przebiegać śladem obecnej obwodnicy Trójmiasta. Prace ziemne na pewnych odcinkach wykonano już przed 1929 rokiem. Z powodu światowego kryzysu gospodarczego inwestycji nie ukończono. Wrócono do niej w 1939 roku. 18 września odbyła się inauguracja budowy, której nadano wiel-

ce propagandowy charakter. O wydarzeniu tym pisała toruńska (już niemiecka) gazeta „Thorner Freiheit” z dnia 21.09.1939 r. w artykule „Początek budowy państwowej autostrady przez Gdańsk”:

Gauleiter Albert Forster zrobił pierwsze uklucie łopaty – Plany gdańskich inżynierów mogą być natychmiast realizowane - pracownicy z portu znajdują płacę i chleb.

W poniedziałek 18. września została za osiedlem im. Alberta Forstera - zaczęta budowa przez obszar dawnej republiki wiodącego odcinka Reichsautobahn. Na pierwszy odcinek pracy wybrano część bezpośrednio przy mieście. Prace rozpoczęły najpierw dwa przedsiębiorstwa budowlane z 200 mężczyznami... ” Gazeta wymienia uczestniczących w inauguracji dostojników, cytuje ich przemówienia. Przytacza treść telegraficznie wysłanego meldunku Forstera do Todta: „Melduję początek budowy na drogach Adolfa Hitlera w przywróconym do nas Gdańsku i dziękuję za hojne poparcie.

W książce Brunona Zwarry Gdańsk 1939 w dwóch relacjach pojawia się motyw budowy autostrady. Autor wymienia nazwiska Polaków skierowanych przez urząd zatrudnienia do prac na autostradzie niedaleko Gdańska. Prace w tym miejscu nie nabrały jednak imponującego tempa. Wojna wyznaczała inne priorytety, a potem, przybierając zły dla Niemców obrót, zmuszała skoncentrować się na budowie systemu fortyfikacji, m.in. Wału Atlantyckiego.

Ponieważ już w 1940 roku Niemcy zdawali sobie sprawę, że budowa autostrady zajmie długie lata, a potrzebna była droga „na szybko”, dlatego w 1940 roku w ekspresowym tempie zmodernizowano zwykłą drogę krajową z Człuchowa przez Chojnice i Czersk do Elbląga - wraz z budową nowego mostu w Knybawie. Nawierzchnię drogi wyłożono betonowymi płytami, zbudowano także pierwszy bezkolizyjny węzeł drogowy na Pomorzu - w Czarlinie. Nie był to jednak etap budowy autostrady. Była to droga z nieźle wyprofilowanymi zakrętami jednak kolizyjnymi skrzyżowaniami, w dodatku przecinająca część miejscowości występujących na jej trasie. Znaczący twierdzą, że również zbudowany pod Tczewem most nie był przystosowany do puszczenia po nim autostrady.

Trudno nie wspomnieć tu o specyficznej genezie mostu knybawskiego. Nie czekając na ostateczne rozstrzygnięcie sprawy autostrady i zgodę rządu polskiego, jeszcze w 1936 roku Niemcy rozpoczęli starania, by przygotować się do wzniesienia mostu na Wiśle w okolicy Tczewa. Pod pretekstem budowy dalekosiężnego kabla telefonicznego z Berlina do Królewca otrzymali od starosty tczewskiego pozwolenie na badania geologiczne i prace geodezyjne w rejonie Dolnej Wisły koło Tczewa. W Gdańsku w tajemnicy przygotowali konstrukcję i dokumentację dziewięcioprzęsłowego mostu o długości 982,56 m i szerokości 18,6 m.

W tydzień po zajęciu Pomorza Gdańskiego przystąpili do budowy. Przewieźli barkami z Gdańska do Knybawy przygotowane przęsła mostu. Przeprawę zbudowano w 18 miesięcy (1941 r.), co wówczas oznaczało rekordowe tempo. Trzy przęsła zawisły bezpośrednio nad nurtem Wisły, a reszta znajdowała się nad terenami zalewowymi. Most był silnie ufortyfikowany. Ślady przyczółków z osłonami pancernymi stanowisk ogniowych i bunkrów pozostały do dzisiaj. Planowano, że po obu stronach powstaną wieże, gdzie miały się mieścić zajazdy i stacja benzynowa. Całość miała być ozdobiona monumentalnym portalem wjazdowym sławiącym imperialne dokonania III Rzeszy. Jednak, prawdopodobnie z braku rąk do pracy, budowy nie ukończono.

Wirginia Węglińska

RESOCJALIZACJA W MIEJSCU PAMIĘCI

Pamiętam o byłych więźniach. Spotykam się z nimi i daję im w ten sposób nieśmiertelność. Poprzez pracę w muzeum pielęgnuję to miejsce dla siebie i dla innych.

Michał

Michał ma 17 lat. To średniego wzrostu blondyn o zielonych oczach. W towarzystwie jest trochę nieśmiały, interesuje się głównie sportem. O piłce nożnej mógłby opowiadać całymi godzinami. Przez ostatni rok uczestniczył w projekcie edukacyjnym związanym z historią obozu koncentracyjnego Stutthof. Jest wychowankiem młodzieżowego ośrodka wychowawczego. W Polsce funkcjonuje 80 takich placówek. Są one przeznaczone dla nastolatków znajdujących się w obszarze społecznego marginesu, wykluczonych z życia publicznego, wymagających wychowania resocjalizacyjnego, przygotowania do życia zgodnego z obowiązującymi normami.

Od ponad dwóch lat Muzeum Stutthof w Sztutowie aktywnie współpracuje z trudnymi nastolatkami, których większość ludzi postrzega jako niebezpiecznych nieletnich bandytów. Zasadniczym błędem popełnianym przez społeczeństwo w odniesieniu do tej grupy młodzieży jest ocenianie jej wyłącznie przez pryzmat czynów, które stały się podstawą osadzenia w ośrodku wychowawczym. Poprzez pobyty studyjne w autentycznym miejscu pamięci staramy się kształtować alternatywne podejście do syndromu nieprzystosowania społecznego. Okazuje się, że praca fizyczna, warsztaty historyczne oraz spotkania ze świadkami historii – byłymi więźniami obozu - stymulują rozwój mechanizmów twórczych i poznawczych – percepcji, emocji, motywacji, pamięci i wyobraźni. Dzięki temu następuje zmiana sposobu myślenia o świecie zewnętrznym, o sobie samym i własnych priorytetach. Proces ten jest niewątpliwie elementem twórczej resocjalizacji. Twórcza resocjalizacja różni się w kilku zasadniczych kwestiach od podejścia tradycyjnego. Redefinicji ulega samo pojęcie resocjalizacji, którą traktuje się jako rozwój i kreowanie potencjałów a nie jak dotychczas – jako proces korygowania postaw. Nieprzystosowanie społeczne określa się mianem wadliwie ukształtowanej osobowości. Celem twórczej resocjalizacji jest kształtowanie nowych parametrów tożsamości – „ja” zewnętrznego i wewnętrznego. Akcent kładzie się na rozwój procesów twórczych. Główną metodą jest jednak trening autoprezentacji i wybranych, wizualizowanych parametrów tożsamości.

Pierwszy pobyt studyjny wychowanków młodzieżowego ośrodka wychowawczego miał miejsce we wrześniu 2010 roku. Był to projekt ukierunkowany głównie na pracę fizycz-

ną z elementami warsztatu edukacyjnego. Już pierwszego dnia dało się zauważyć specyficzną atmosferę, jaka panowała wśród chłopców. Byli ciekawi miejsca, w którym się znaleźli. Chcieli dowiedzieć się wszystkiego, poznać historię, zadawali wiele pytań – dojrzałych i przemyślanych. Oczekiwali konkretnych, jasnych odpowiedzi. Dla nich wszystko jest czarne albo białe. Nie rozumieli skomplikowanych postaw i zachowań, jakie wymuszała na więźniach obozowa egzystencja. Większość czasu wychowankowie MOW, czyli Młodzieżowych Ośrodków Wychowawczych, spędzali wykonując prace porządkowe na terenie muzeum. Wyrównywali teren, zamiatali i grabili liście, wyrywali chwasty. Praca fizyczna okazała się ważnym elementem programu, uspokajała nerwy i wyciszała emocje. Zajęcia edukacyjne dotyczyły nielegalnej twórczości artystycznej więźniów KL Stutthof. Chłopcy samodzielnie opracowywali tzw. pakiety tematyczne, w których znalazły się wiersze, wspomnienia więźniów, szkice, grafiki, rysunki i zdjęcia przedmiotów wykonanych w obozie. Każdy w artystycznej formie miał przedstawić zawartość swojej „teczki”. Poszczególne prace zostały naklejone na papier tworząc wspólny kolaż. Uczestnicy skupili się wówczas na uczuciach, jakie mogły towarzyszyć więźniom podczas pobytu w obozie - narysowali druty kolczaste, baraki, więźniów w pasiakach i dużo czerwonych róż.

Michał wziął udział w kolejnej edycji projektu. Zgłosił się na ochotnika. Nie chodziło przecież o to, aby być uczestnikiem z przymusu. Nie ukrywał, że zależało mu na tym, aby chociaż na chwilę wyrwać się z ośrodka. O obozie słyszał już wcześniej. Rozmawiał na



Pierwsza edycja projektu „Ja w miejscu pamięci”



Praca fizyczna - młodzież z Ośrodka Wychowawczego nr 4 w Warszawie, fot. W. Węglińska

ten temat z wychowawcami, oglądał filmy. Stutthof jest mały, to nie to samo, co Auschwitz. Ale tu chodzi o ludzi, oni wszędzie tak samo cierpieli. Najpierw było zwiedzanie. Takie prawdziwe, z przewodnikiem. Dużo informacji. Trzeba to sobie uporządkować. Cała grupa zachowywała się cicho i z szacunkiem. Michał trzymał w rękach aparat. Lubi fotografować. Próbował wyobrazić sobie więźniów, bitych, upokarzanych, głodnych, umierających. Mówi, że wiele go z nimi łączy. Sam nieraz znalazł się w sytuacji, którą inni nazwaliby anormalną. Wie, jak to jest być odrzuconym i poniżonym. On też jest tak jakby uwięziony. Tylko warunki ma dużo lepsze. Tak właściwie, to on sam sobie na taką karę zasłużył. Nie chce wspominać, dlaczego sąd zdecydował, że ma się znaleźć w ośrodku. Wolałby o tym zapomnieć. Szczególne wrażenie zrobiła na nim przejmująca cisza w krematorium. Perspektywa noclegu w budynku dawnej komendantury budziła w nim mieszane uczucia.

Kiedy pierwszy projekt, skierowany do osób niedostosowanych społecznie przyniósł pozytywne rezultaty, Muzeum Stutthof zdecydowało się na jego kontynuację oraz rozszerzenie współpracy z młodzieżowymi ośrodkami wychowawczymi. Program pobytu studyjnego został zmodyfikowany i podzielony (w zależności od dynamiki grupy) na kilka etapów. Pierwsza faza – realizowana w ośrodku – przygotowuje do wizyty w Muzeum Stutthof. Jej ciężar spoczywa na nauczycielach i wychowawcach MOW. Polega ona na stopniowym wprowadzeniu wychowanka w historię II wojny światowej i zapoznaniu ze zjawiskiem jakim był obóz koncentracyjny. Faza druga – pobyt studyjny w Miejscu Pamięci. Przez dłuższy czas młodzież aktywnie opracowuje dzieje KL Stutthof, uczestniczy w warsztatach tematycznych, które ukazują głębsze problemy życia obozowego i inicjują u chłopców procesy myślowe: dociekliwość, krytycyzm, dążenie do prawdy, obiektywizm. Istotnym elementem jest przełamanie barier związanych z autoprezentacją.

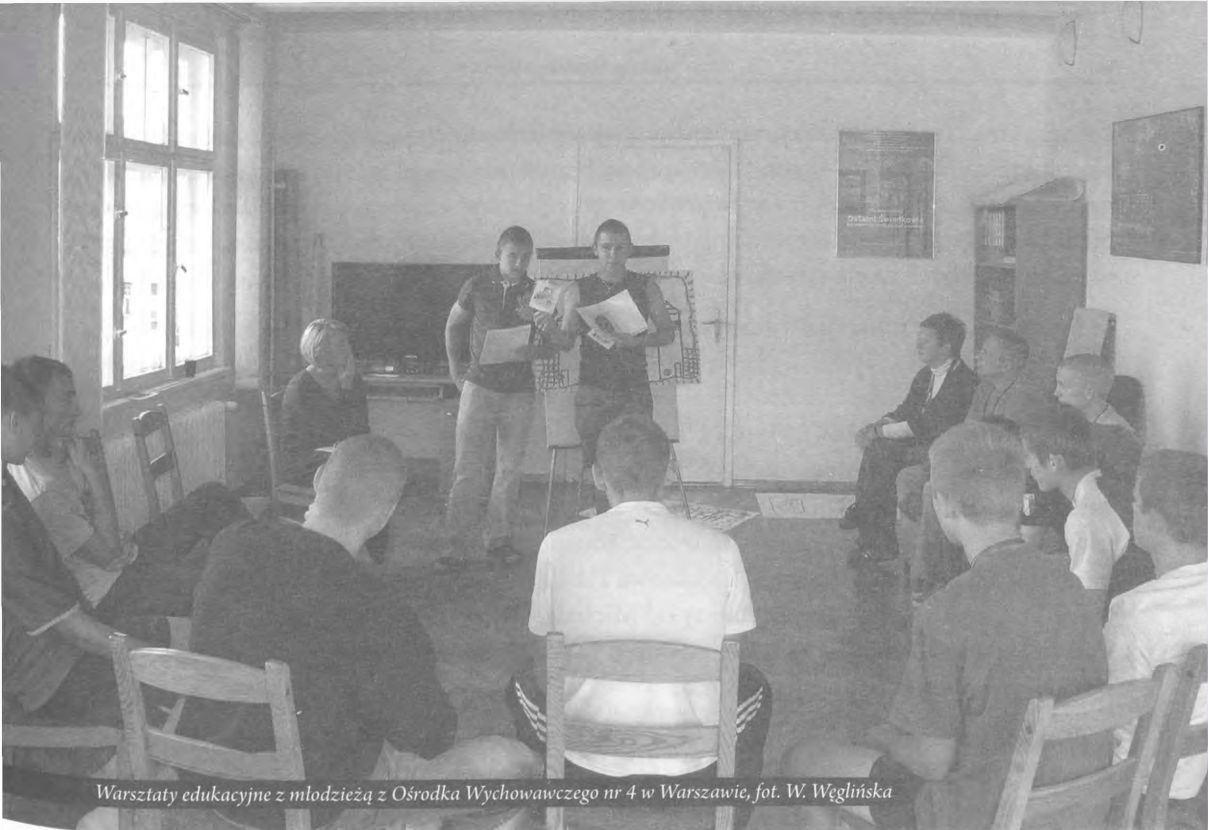
Chyba po raz pierwszy w życiu Michał miał tak ogromną treść. To był drugi dzień pobytu na terenie muzeum. Uczestniczył w zajęciach edukacyjnych. Zadaniem grupy, do której należał, było przedstawienie sytuacji najmłodszych więźniów KL Stutthof. Zbieranie i opracowywanie materiałów trwało długo. Chłopak ma problemy z czytaniem. Chodzi jeszcze do gimnazjum. Wcześniej nauka nie bardzo go interesowała. Dużo wagarował. W ośrodku musi się uczyć, wychowawcy tłumaczą, że to ważne dla jego przyszłości. Zaanżażował się w przydzielone mu zadanie. Rzadko zdarza się, aby musiał coś zaprezentować. Nie chciał pokazać, że się boi. Pozostali powinni czuć do niego respekt. To było dla niego wyzwanie. Dokładnie, krok po kroku, omówił każdą kwestię, pokazywał rysunki, zdjęcia, grafiki. Sumiennie się przygotował. Emocje opadły. Zrobił swoje, koledzy słuchali go z ciekawieniem. Poczul, że to co robi, ma sens.

W trakcie każdego pobytu studyjnego z udziałem trudnej młodzieży rodzą się napięcia i szereg negatywnych emocji. Plan warsztatów musi być ułożony tak, aby je w odpowiednim momencie rozładować. Dlatego w programie znajduje się bardzo dużo pracy fizycznej, zajęcia sportowe oraz odwiedzanie miejsc związanych z kulturą regionu. Chłopcy zwiedzają m. in. Muzeum Zalewu Wiślanego, w którym są dla nich przygotowane specjalne warsztaty. Przebywanie na terenie byłego obozu koncentracyjnego oraz świadomość tragedii, jaka się tu wydarzyła wywołują różne – czasami skrajne – uczucia. Szczególnie intensywne są one u osób, które w swoim krótkim życiu znalazły się w sytuacjach wykraczających poza granice ustalonych norm. We wszystkim należy zachować równowagę. Nie można wywierać na uczestnikach zbyt dużego nacisku. „Naszpikowanie” programu martyrologią mogłoby wywołać zniechęcenie, uczucie strachu, lęku – a nawet agresję.

Trzeciego dnia Michał grabił liście. Był wrzesień, dużo młodzieży odwiedza wówczas muzeum. Wśród zwiedzających znalazła się również grupa młodych Niemców. „Po co oni tu przyjeżdżają? Mało im jeszcze? Tyle zła nam wyrządzili, tyle ludzi tu zabili”. Michał zadawał mnóstwo pytań, krzyknął nawet, że ich wszystkich nienawidzi, bo to są potomkowie Hitlera.

Inni uczestnicy projektu byli zresztą tego samego zdania. Tego wieczora Michała i chłopców czekały warsztaty dotyczące tolerancji oraz długie rozmowy z wychowawcami i pracownikami muzeum. Atmosfera była bardzo napięta. Każdy miał swoje racje. Wymiana zdań, przykładów, argumentów, wyjaśnianie i analizowanie zachowań. Michałowi jednak w dalszym ciągu trudno było zrozumieć, że młodzi Niemcy, których widział, nie mają z nazistami nic wspólnego. Następnego dnia wszystko się uspokoiło. Całą grupę czekały nowe wyzwania. Jechali zwiedzać okolicę. Michał chciał zrobić jak najwięcej zdjęć. Będzie miał co wspominać. Wcześniej niewiele jeździł. A przecież świat jest taki piękny.

Podsumowanie pobytu studyjnego odbywa się w dwóch etapach. Dzień wcześniej uczestnicy otrzymują fotografie, które dokumentują ich obecność w miejscu pamięci. Ich zadaniem jest wykonanie posteru opatrzonego refleksją, konkluzjami w odniesieniu do indywidualnej roli, jaką każdy z nich odegrał podczas projektu. Następnie na forum, w obecności pracowników muzeum oraz zebranych gości, chłopcy prezentują wyniki swojej pracy. Omawiają związane z tym doświadczenia, opowiadają o swoich przeżyciach. Każdy



Warsztaty edukacyjne z młodzieżą z Ośrodka Wychowawczego nr 4 w Warszawie, fot. W. Węglińska

uczestnik otrzymuje imienne podziękowanie z rąk dyrektora. To jeden z najistotniejszych elementów. Pozwala docenić wkład i zaangażowanie oraz motywuje do dalszych działań. Funkcjonuje tak samo, jak mechanizm nagradzania za dobrze wykonaną pracę, utrwała pożądane zachowania, daje poczucie spełnienia.

Każdy z chłopców otrzymał dużą białą kopertę. Michał kilka razy obrócił ją w rękach, na wierzchu napisano jego imię. W środku znalazł kilkanaście zdjęć. Był na każdym z nich. W jednej chwili zobaczył, jak wyglądał, kiedy grabił liście, jak przejęty był podczas zwiedzania, jak aktywnie pracował podczas warsztatów. Uczestniczył we wszystkim. Pracował szybko i ucziwie. Miał zrobić plakat przedstawiający doświadczenia zebrane podczas całego tygodnia. Chciał pokazać się z jak najlepszej strony. Ważne, aby pracownicy muzeum dobrze go zapamiętali. Znowu autoprezentacja na forum. Tym razem stres był jeszcze większy. Tylu ludzi na niego patrzyło. Od dyrektora dostał podziękowania. Potem były uściski rąk i wymiana uśmiechów. Był z siebie dumny. Uświadomił sobie, że to już koniec zajęć. Obiecał, że wróci, może w przyszłym roku. Jeśli nie powinie mu się noga, bo kto wie, co będzie w przyszłości. Jak wyjdzie z ośrodka, nie ma dokąd wrócić – do domu nie chce, a samemu jeszcze trudniej dać sobie radę.

Trzecia faza projektu odbywa się zazwyczaj w młodzieżowym ośrodku wychowawczym. Jest zrealizowana po upływie kilku tygodni od zakończenia pobytu studyjnego. Ma ona na celu ugruntowanie wiedzy oraz odświeżenie wspomnień, uczuć i emocji. Chłopcy spotykają się wówczas ze świadkiem historii – byłym więźniem KL Stutthof. Opowieść osoby, która przeżyła obóz, jest żywą, wyjątkową, pełną emocji narracją, a zarazem spotkaniem generacji, które jak się wydaje, coraz mniej mają ze sobą wspólnego. Byli więźniowie wywierają

ogromny wpływ na młodzież, zmieniają spojrzenie na otaczający ich świat, uczą szacunku, tolerancji i zrozumienia. Przekształcają sposób myślenia ze stereotypowego na metaforyczne tj. poznają i rozumieją rzeczywistość w sposób inny niż dotychczas, odkrywają podobieństwa między różnymi rzeczami, tworzą nowe wartości. Stymuluje to, do podjęcia rozważań związanych z odpowiedzialnością za siebie i swoją przyszłość.

Ponad miesiąc upłynął od zakończenia projektu w „Stutthofie”. Michała zajmowało normalne „ośrodkowe” życie. Tydzień wcześniej dowiedział się, że będzie spotkanie z byłym więźniem. Pojawiło się mnóstwo nowych pytań. Był bardzo podekscytowany. To tak, jakby ośrodek odwiedziła jakaś gwiazda filmowa. Przyszedł. Wysoki, poruszał się równym wojskowym krokiem. Uśmiechnięty, sympatyczny – wcale nie przypominał niedołęznego starszka. Kiedy usiadł w sali, zapadła zupełna cisza. Nazywa się Marek Dunin-Wąsowicz. Jest z Warszawy. Opowiadał o wybuchu wojny, konspiracji, aresztowaniu i o Pawiaku. Jego matką chrestną była Aleksandra Marszałkowska Piłsudska! Kiedy w wieku 18 lat wraz z bratem trafił do obozu, był tylko o rok starszy od Michała. Opowiadając o Stutthofie, nerwowo ścisnął swój nadgarstek. Na początku pracował w Waldkolonie (praca w komandzie leśnym), później w warsztatach zbrojeniowych.

Pan Marek opowiadał o tym, jak niszczone człowieczeństwo w obozie, jak trudno było to wytrzymać, walczyć o swoją godność i życie. Wspominał również o kilku zadziwiających zdarzeniach, m.in. o tym, jak kiedyś przez zupełny przypadek ugotował żurek w obozie. To było niesamowite. Michał znał tę historię, przewodnik w muzeum o niej opowiadał. Kiedy pan Marek skończył mówić chłopak miał łzy w oczach. Wszyscy się wtedy wzruszyli. Chłopcy zaczęli zadawać pytania. Niektóre były bardzo dziwne. Michał powiedział, że nie nawiązywał do wszystkich Niemców za to, co zrobili. Zapytał również, co pan Marek o nich sądzi? Były więzień wcale nie miał do nich żalu. Mówił, że człowiek jest dobry lub zły bez względu na to skąd pochodzi. Wśród Polaków też byli brutalni i okropni ludzie. Wytłumaczył, że młode pokolenie nie może ponosić kary za czyny swoich dziadków. Michał słuchał tego w milczeniu, tym razem nie dyskutował. Chyba powoli docierał do niego sens słów byłego więźnia. Bo przecież, jeśli będzie dyskryminował kogoś za względu na jego narodowość, to będzie taki sam jak naziści. Kiedy pan Marek wychodził, uściśnął każdemu dłoń. Powiedział chłopcom: „Musicie tak żyć, aby mieć szacunek do samych siebie”. Michał na zawsze zapamięta to przesłanie.

Edukacja młodzieży niedostosowanej społecznie w Muzeum Stutthof, rozpoczęła się w 2010 roku z inicjatywy Młodzieżowego Ośrodka Wychowawczego nr 4 w Warszawie. Do tej pory odbyły się cztery edycje projektu, który otrzymał nazwę „Ja w miejscu pamięci”. Łącznie wzięło w nim udział ponad czterdziestu wychowanków młodzieżowych ośrodków wychowawczych. Do podstawowych założeń programu – opracowanego przez pracowników Muzeum Stutthof w Sztutowie – należy wyposażenie uczestników w nowe kompetencje oraz zmiana ich wizerunku społecznego. Rozbudzanie zainteresowań (związanych nie tylko z historią drugiej wojny światowej) umożliwia pozytywny rozwój tożsamości, poczucie przydatności, młodzi ludzie odczuwają satysfakcję, ponieważ robią coś ważnego dla innych i dla samych siebie. Historia Michała jest prawdziwa. Na jej przykładzie doskonale wi-

dać bardzo pozytywne rezultaty projektu „Ja w miejscu pamięci”. Młody człowiek, posiadający багаż negatywnych doświadczeń trafia do zupełnie „innego” świata. Stopniowo odkrywa tragiczną historię miejsca, w którym się znalazł. Poznaje ludzkie losy, skomplikowane zachowania, często stara się je analizować przez pryzmat własnych przeżyć, daje mu to możliwość podróży w „głąb” siebie, chwili autorefleksji. Musi poradzić sobie z różnymi zadaniami, nabywa wiele przydatnych umiejętności. Jest doceniany i nagradzany za dobrą pracę, co wpływa na wzrost jego samooceny. Uczy się szacunku do innych, z czasem przełamuje nawet stereotypowe myślenie. Trudno jest jednak przewidzieć, czy wypracowane i utrwalone podczas projektu kompetencje nie zanikną, kiedy wychowankowie opuszczą ośrodek i wrócą do znanej im rzeczywistości. Wielu z nich nie ma perspektyw na normalne życie. Pochodzą z patologicznych rodzin, są pełnoletni i nie posiadają wykształcenia, bardzo trudno będzie im znaleźć normalną pracę. Mam jednak nadzieję, że Michał dotrzyma swojej obietnicy i wróci, aby opowiedzieć jaki wpływ na jego życie miał udział w projekcie „Ja w miejscu pamięci”.



Spotkanie z Markiem Dunin-Wąsowiczem, fot. W. Węglińska

Piotr Piesik

KONIECWAŁD W SIECI

Dzięki elektronicznej sieci internetu wszystkie zakątki współczesnego świata bardzo zbliżyły się do siebie – takie twierdzenie brzmi już jak truizm, podobnie jak opinia, że dziś ten, kogo nie ma w internecie, niemal nie istnieje w szerokim społecznym odbiorze. Ludziom wychowanym na papierowych książkach i gazetach niełatwo się z tym pogodzić, lecz skoro internet już istnieje, warto wykorzystać go jak najlepiej. Tą drogą poszło kilku mieszkańców Koniecwałdu, niewielkiej wsi w gminie Sztum, którzy postanowili stworzyć stronę internetową swojej Małej Ojczyzny. Tym sposobem część sztumskiej Prowincji znalazła się w internecie i zasięgnąć o niej wieści może każdy.

Wzorów na podobne strony miejscowości jest niewiele. Wystarczy wpisać do najpopularniejszej internetowej wyszukiwarki Google nazwy wsi z powiatu sztumskiego i obejrzeć rezultaty. Owszem, istnieją internetowe witryny poszczególnych samorządów, jednak są to strony oficjalne, tworzone w całkiem inny sposób. Ba, prawo nakazuje samorządom publikowanie w internecie tzw. Biuletynu Informacji Publicznej. Stron przygotowanych i założonych od samego początku przez mieszkańców, stanowiących tzw. oddolną inicjatywę jest jak na lekarstwo. Pozytywnym wyjątkiem służyć może tylko Stary Targ, gdzie wcześniej powstała prywatna strona o miejscowości, niż gmina stworzyła witrynę oficjalną. W Moranach (gmina Dzierzgoń) stronę założył sołtys Grzegorz Murawski, lecz jest to bardziej witryna sołectwa niż lokalnej społeczności.

Skoro przykładów do naśladowania trudno było szukać, trzeba było spróbować samodzielnej drogi. Zachęcam do wpisania adresu internetowego www.koniecwald.pl i zapoznania się z tym, co udało się już opracować. Swoją stronę mieszkańcy wsi, którzy wykupili miejsce na serwerze i dbają o jego utrzymanie (chcą pozostać anonimowi) nazwali - „Koniecwałd. Nasze miejsce na ziemi”. W tekście inicjującym stronę piszą: *„Witamy na stronie internetowej społeczności Koniecwałdu. Miejscowości noszącej w dziejach także inną nazwę – Cunradeswalde, Conradswalde i Konradswalde. Dziś niewielkiej wsi w gminie Sztum, w powiecie sztumskim i województwie pomorskim. Koniecwałd nie pojawia się w historii za sprawą wielkich bitew, dziejowych traktatów, słynnych na cały świat budowli. Nie wywodzą się stąd znani politycy, naukowcy, artyści. Jednak dla ludzi, którzy tu, w Koniecwałdzie przyszli na świat lub tutaj stał ich rodzinny dom, dla tych, których najbliżsi stąd się wywodzą, wreszcie dla tych, którzy postanowili tu się osiedlić i „zapaść korzenie”, to miejsce jest Małą Ojczyzną. Ludzie, związani w jakikolwiek sposób z Koniecwałdem rozproszeni są po całym świecie, choć najwięcej ich mieszka na pewno w Polsce i w Niemczech, za sprawą wydarzeń z XX wieku, szczególnie okresu międzywojennego, II wojny światowej i lat bezpośrednio po niej. Wielu nadal utrzymuje kontakt z Małą Ojczyzną, lecz nie zawsze jest to możliwe i łatwe. Dlatego powstał pomysł założenia tej strony internetowej – jako inicjatywy dla zintegrowania społeczności Koniecwałdu oraz wszystkich, którzy są z naszą miejscowością związani. Podkreślamy, że to strona naszej Małej Ojczyzny, niezależnie od wyznawanego światopoglądu, wyznania religijnego, politycznych przekonań. To zarazem inicjatywa całkowicie niekomercyjna.”*

Powyższe słowa mówią właściwie wszystko. Od ich napisania upłynął rok. W tym czasie na stronie Koniecwałdu pojawiło się zaskakująco dużo materiałów o tej wsi. Przyznam się, że na-



Pożar młyna w Koniecwałdzie w 1994 roku, fot. archiwum

wet nie oczekiwałem, że uda się znaleźć tak wiele informacji o niewielkiej w końcu miejscowości, która jakby niczym specjalnym w historii się nie zapisała. Na razie dominują wśród nich materiały na temat historii Koniecwałdu, wyszukane w sporej części na łamach kwartalnika „Provincja” oraz książek z serii „Biblioteczki Sztumskiej”. Na dobrą sprawę, gdyby pojawił się dziś pomysł przygotowania książeczki na temat dziejów tej wsi, większość treści historycznych byłaby już gotowa.

Tak, jak liczyli założyciele strony, odezwali się pierwsi ludzie, którzy po zapoznaniu się z internetową witryną Koniecwałdu zapragnęli podzielić się swoimi wspomnieniami. Obszerną, niezwykle ciekawą relację opowiedziała Marta Domeracka, prowadząca wspólnie z mężem przez wiele lat zabytkowy młyn nad jeziorem Kaniewo.

– Młyn był państwowym. Należał do Gminnej Spółdzielni w Sztumie – mówiła pani Marta. – Ostatnim niemieckim właścicielem był Alfred Stockhaus. Potem kierował młynem pan Jan Iwiczki oraz Jerzy Nasiński. Jak wyglądał wtedy Koniecwałd? Na pewno inaczej niż dziś. Pracowała szkoła, droga była oczywiście gorszej jakości, budynki też inne. Bardzo ładne było otoczenie jeziora. Mąż był dobrym fachowcem. Chociaż w okolicy były inne młyny, mieliśmy dobrą markę, ludzie woleli przyjeżdżać do nas. Pamiętam, jakie długie kolejki furmanek stały. Młyn był poruszany siłą wody, dlatego mąż musiał często regulować poziom wody w jeziorze. Sporo było cząsteczek z tym kłopotu. Kiedy woda była za niska, młyn ciężko chodził. Kiedy za wysoka, wylewała rzeczka na pola.

– Pamiętam, kiedy w lipcu 1994 roku młyn się spalił – dodaje Marta Domeracka. – Prokurator stwierdził, że nie można jednoznacznie ustalić przyczyny pożaru. Może zwarcie w instalacji elektrycznej? Tylko, że instalacja była całkiem nowa. Młyn był zabytkowy, suchy, drewniany, w środku mnóstwo ziarna i mąki. Palił się błyskawicznie. Bardzo mi jego żal...

Po zabudowaniach młyna w Koniecwałdzie nie ma już dzisiaj śladu, choć pozostało ujście rzeczki z jeziora Kaniewo, tam, gdzie kiedyś woda poruszała cały mechanizm mielenia. Brzegi jeziora to z kolei miejsce ulubione przez wędkarzy. Pewnie mało który zdaje sobie sprawę, że to

sztucznie powstałe jezioro, za sprawą inżynierskiego kunsztu Krzyżaków przed wiekami.

Poszukując dokumentów i materiałów dotyczących Koniecwałdu, w archiwalnych zasobach Zespołu Szkół w Gościszewie udało się odnaleźć pierwszy dziennik lekcyjny szkoły w Kaniewie (taką nazwę nosił wtedy Koniecwałd) z roku 1945 oraz książkę inwentarzową tej szkoły z roku 1946. Na kartach tych dokumentów znajduje się całe mnóstwo ciekawostek. Książka inwentarza, wypełniana pięknym kaligraficznym pismem, w dziale I (grunty i budynki) mówi, że majątek szkoły obejmował budynek dydaktyczny, budynek mieszkalny oraz stodołę, do tego dwie betonowe skrzynie na śmieci. To wszystko na powierzchni 1,98 ha gruntu – nadane w 1945 roku „od Państwa”, jak zapisano. W dziale II - sprzęt i urządzenia – pod numerem 1 widnieje krzyż, pod numerem 2 godło państwowe. Co dalej? Wymieńmy dokładnie tak, jak zapisano w księdze – katedra brązowa, 2 tabliceienne, 3 szafy żółte, 30 stolików dla uczniów, 10 krzeseł, 8 dwuosobowych ławek. Wyposażenie uzupełniały wieszaki, miednica, dzbanek, ręczniki, umywalki, sprzęt do gimnastyki oraz termometr.

Interesujące, że szkoła dysponowała wtedy zaledwie jednym egzemplarzem „Arytmetyki kl. I” autorstwa Rusieckiego. Jednak uczono i w takich warunkach... Uśmiech na twarzy budzi porównanie wartości poszczególnych przedmiotów, co też znalazło swoje miejsce w księdze. „Elementarz” Mariana Falskiego był wart 150 zł, szkolny cyrkiel aż 785 zł, natomiast książka J. Stalina „W sprawie marksizmu” 300 zł. Jakoś dziwnie mało, zważywszy na panujące wtedy względy ideologiczne. „Zadania partii” B. Bieruta kosztowały tyle samo, co „dzieło” sowieckiego dyktatora.

Założyciele strony Koniecwałdu nie ukrywają, że liczą na odkrycie jeszcze bardzo, bardzo wielu podobnych unikatowych dokumentów. Chcą pójść tropem informacji, pojawiających się w opowieściach, czasem brzmiących jak legenda. Choćby tej, że istniejący niegdyś w Konie-



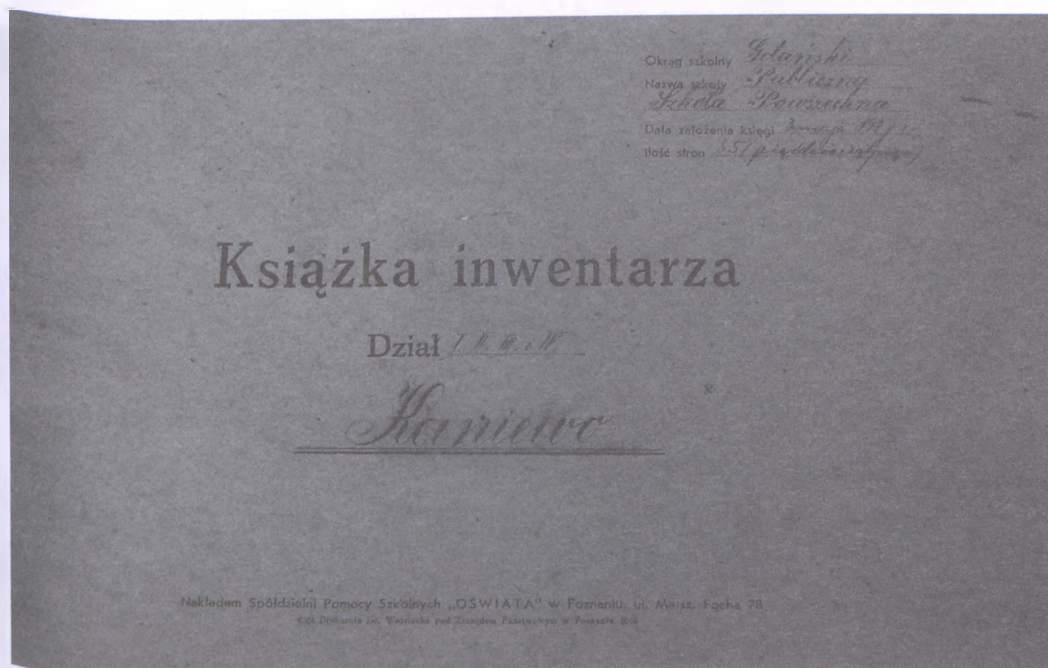
Bezimienna mogiła, wspomnienie po nieistniejącym cmentarzu w Koniecwałdzie, fot. P.Piesik

cwałdzie kościół (dziś już nikt nie wie, gdzie dokładnie świątynia się znajdowała) został rozebrany i zbudowany od nowa w Dąbrówce Malborskiej. Pragną ocalić od całkowitej dewastacji dawny cmentarzyk na wzgórzu, porośniętym obecnie wysokimi drzewami. Ostatnie pochówki odbywały się jakoby jeszcze po wojnie. Pełno tu krzaków i chaszczy, jednak prowadzi między nimi wąska ścieżynka. W samym środku gąszczu pozostała jedna mogiła. Nie udało mi się dotąd ustalić, kto w niej spoczywa. Widać, że nagrobkiem ktoś się opiekuje, choć nikt z mieszkańców nie chciał się do tego przyznać.

Z myślą o ludziach związanych z Koniecwałdem, a mieszkających dziś daleko stąd, materiały na stronie tej miejscowości są też przekładane na język niemiecki. Ciekawym pomysłem jest na pewno propozycja tras turystyczno-krajoznawczych po okolicy Koniecwałdu. Możliwość wyznaczenia takiej marszruty jest nieskończenie wiele.

W zamyśle założycieli strony internetowej Koniecwałdu ma ona integrować ze sobą ludzi, którzy pojawili się tutaj z różnych stron świata, nieraz z bardzo daleka. Dzięki ich wspólnemu wysiłkowi może uda się ocalić przed zapomnieniem historię tej Małej Ojczyzny i jej dawnych mieszkańców.

Przygotowanie, opracowanie i założenie podobnej strony internetowej nie wymaga dużych nakładów finansowych oraz kosztownego oprogramowania komputerowego. Wydatki na utrzymanie domeny internetowej na serwerze również są niewielkie. Najważniejsze są chęci i konsekwentne poszukiwanie materiałów. Czyli warto pokusić się o podjęcie takiej samej inicjatywy również w innych miejscowościach, wtedy nasza powiślańska Prowincja stanie się szeroko znana daleko poza granicami Dolnego Powiśla i Żuław.



Bezimienna mogiła, wspomnienie po nieistniejącym cmentarzu w Koniecwałdzie, fot. P.Piesik

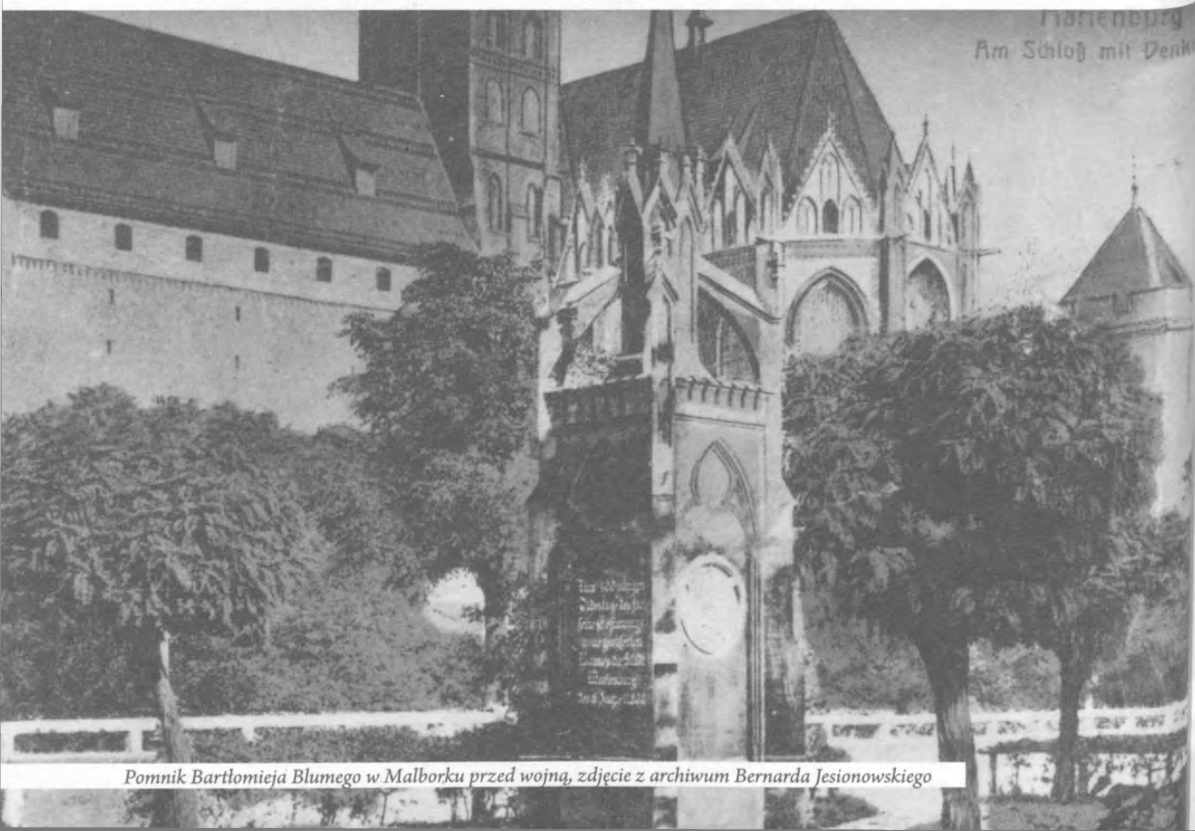
Przemysław Dorszewski

POMNIK DLA POĆWIARTOWANEGO BURMISTRZA

GENEZA I POWSTANIE POMNIKA BARTŁOMIEJA BLUMEGO W MALBORKU

Przedwojenna historia Malborka kryje w sobie wiele ciekawych wątków dla badaczy dziejów dawnej stolicy krzyżackiej. Jednym z nich są dzieje powstania pomnika burmistrza malborskiego Bartłomieja Blumego. W literaturze naukowej, ale także i popularno-naukowej, znaleźć można wiele nieścisłości dotyczących nieistniejącego już dziś zabytku. Celem niniejszej analizy będzie przedstawienie postaci Blumego, porównanie dostępnych przekazów na temat pomnika oraz określenie jego daty powstania.

Osoba Bartłomieja Blumego, burmistrza Malborka podczas wojny trzynastoletniej (1454-1466), była ogólnie znana znawcom dziejów miasta. Zapisał się on na kartach historii jako ten, który w nocy z 27 na 28 września 1457 roku otworzył bramy miasta dla zaciężnych wojsk krzyżackich i przez prawie 3 lata bronił interesów zakonu w Malborku. Część rady miejskiej nie podzielała jego działań i porozumiała się ze stroną polską, co skutkowa-



Pomnik Bartłomieja Blumego w Malborku przed wojną, zdjęcie z archiwum Bernarda Jesionowskiego

to tym, że 6 sierpnia 1460 roku oddziały polskie (gdańskie) zajęły miasto. Burmistrz Blume został uwięziony w wieży, którą w następnych wiekach nazwano wieżą Blumego (turrus Blumii). Dwa dni później został on skazany przez ścięcie mieczem i poćwiartowany. Poszczególne członki jego ciała powieszono na bramach miasta i zamku. Miała to być kara za to, że przysiągł on w 1457 roku posłuszeństwo wobec króla Kazimierza Jagiellończyka, a następnie wpuścił wrogie oddziały krzyżackie do miasta. Historiografia polska zgodnie oceniła działalność Blumego nazywając go zdrajcą i zawziętym stronnikiem zakonu¹.

Więcej światła na temat działalności tej postaci dał nam artykuł Wiesława Długokęckiego, który od dawna prowadzi badania nad elitą miast w dawnej Polsce. Wysunął on tezę, którą sugerowali już wcześniej mediewiści polscy, jakoby burmistrz Bartłomiej Blume, występujący w źródłach także jako Blumenaw, był identyczny z burmistrzem Bartłomiejem Kreczemerem. Przeprowadzona analiza źródeł pisanych, m. in. testamentów, listów, wykazów mieszczan Malborka, wykazała identyczność postaci Kreczemera i Blumenawa. W. Długokęcki szczegółowo prześledził działalność malborskiego włodarza, co pozwoliło na dokładniejsze uchwycenie przebiegu jego kariery oraz wyjaśnienie poszczególnych wątków biograficznych².

Idea postawienia pomnika burmistrza Blumego wiąże się pośrednio z oceną jego działań w historiografii niemieckiej. Pierwszym historykiem, który opisał i przybliżył szerszej rzeszy odbiorców tę postać był królewiecki profesor Johannes Voigt (1786-1863). W swoim dziele „Geschichte Marienburgs, der Stadt und des Haupthauses des deutschen Ritter Ordens in Preussen” wysławiał burmistrza, nazywając go szlachetnym i dzielnym mężem, który pozostał wierny zakonowi. Następnie w 1838 roku napisał o nim, że był to ostatni bohater Malborka zanim miasto przeszło na ponad 300 lat w ręce polskie.

Poglądy J. Voigta należy rozpatrywać w kontekście panującego rozwoju uczuć patriotyczno-narodowych w XIX wieku w Europie. Jak podkreśla Christian Pletzing, w tym czasie (w XIX wieku) dochodzi do pewnej nacjonalizacji historii regionalnej Prus Wschodnich i Zachodnich, która oddziaływała także na kulturę upamiętniania, w którą wpisywało się również wystawianie pomników. Od połowy XIX wieku Malborka nie postrzegano już jako symbolu staropruskiej świadomości, lecz jako monument niemieckiej trwałości i niemieckich rządów na ziemiach wschodnich³. Wierność Blumego wobec zakonu miała w pierwszej połowie XIX wieku podkreślać narodowy, patrz niemiecki, charakter okolicznych ziem. Można śmiało stwierdzić, że J. Voigt rozślawił postać burmistrza i stworzył swego rodzaju mit bohaterskiej śmierci za niemieckość.

Większość późniejszych badaczy niemieckich XIX i pierwszej połowy XX wieku posiłkowała się interpretacjami J. Voigta przy ocenie osoby Blumego. Konrad Metzler w 1912 roku pisał o „Heldentod” (bohaterskiej śmierci) i wierności burmistrza wobec zakonu. W tym samym roku autor przewodnika po mieście pod tytułem „Marienburg. Schloss und

¹ K. Górski, *Dzieje Malborka*, wyd. 1, Gdańsk 1960, s. 92; tenże, *Starostowie malborscy w latach 1457-1510. Pierwsze półwiecze polskiego Malborka*, Toruń 1960, s. 29.

² W. Długokęcki, Bartłomiej Kreczemer-Blume(naw), burmistrz Malborka z czasów Związku Pruskiego i wojny trzynastoletniej. Przyczynek do jego biografii, „Zapiski Historyczne”, t. 67 (2002), z. 2, s. 17-26.

³ C. Pletzing, *Vom Völkerfrühling zum nationalen Konflikt. Deutscher und polnischer Nationalismus in Ost- und Westpreussen 1830-1871*, Wiesbaden 2003, s. 429.

Stadt in Preussen” pisał o niemieckiej wierności („deutsche Treue”) burmistrza oraz o tym, że „w czasach zagrożenia pozostał wierny zakonowi i przez swoją wspaniałą obronę miasta Malborka w roku 1457 zyskał nieprzemijającą chwałę”⁴. Mit ten był także często wykorzystywany w okresie międzywojennym do wzbudzania patriotyczno-narodowych uczuć. Bernhard Schmid pisał, że „wszyscy potrzebujemy wierności wobec ojczyzny, tak jak potwierdził ją swoim czynem Blume”⁵.

Postać znalazła swoje miejsce również w ówczesnej kulturze niemieckiej. Józef von Eichendorff, śląsko-niemiecki poeta, napisał w 1830 roku tragedię pod tytułem „Der letzte Held von Marienburg” (*Ostatni bohater Malborka*), która w oczywisty sposób nawiązywała do wydarzeń malborskich z wojny trzynastoletniej. W 1858 roku F. Lubojatzky wydał historyczną nowelę „Der Bürgermeister von Marienburg” (*Burmistrz Malborka*). W 1879 roku W. Grothe opublikował powieść historyczną „Bartholomäus Blume, der Bürgermeister von Marienburg” (*Bartłomiej Blume, burmistrz Malborka*). W 1899 roku W. Homburg, nauczyciel malborski, napisał pięcioaktową sztukę teatralną pod tym samym tytułem. Latem 1928 roku zorganizowano przed ratuszem malborskim wystąpienia teatralne, gdzie odegrano sztukę „Bartholomäus Blume”. Miała ona jasny, patriotyczno-narodowy wydźwięk. W taki właśnie sposób osoba dawnego burmistrza malborskiego została wpleciona w historię nacjonalizmu niemieckiego XIX i XX wieku.

Popularyzacja i pozytywna ocena postaci Blumego przez Voigta wpłynęła na R. Treschera, nauczyciela z Malborka, który już w 1857 roku apelował o uczczenie pamięci byłego burmistrza z okazji zbliżającej się 400-setnej rocznicy jego śmierci, przypadającej na 1860 rok. Nie ma żadnych wątpliwości, że R. Trescher był jedną z osób, która bezpośrednio wpłynęła na powstanie pomnika Blumego w Malborku, jednak podkreślimy, że nie jedyną. Drugą z nich był rządzący Malborkiem od 1858 roku burmistrz C. Horn. To właśnie on wspominał nauczyciela Treschera i jego postulat wystawienia tablicy upamiętniającej Blumego w ratuszu. Sprawa powstania tablicy jednak upadła, gdyż Trescher w międzyczasie opuścił Malbork. Dopiero burmistrz Horn podjął ponowne starania, aby w jakiś sposób upamiętnić Blumego. Władze miejskie zobowiązały się do wystawienia „szczególnego pomnika z piaskowca” przed ratuszem oraz zorganizowanie oficjalnych uroczystości 8 sierpnia 1860 roku.

W literaturze naukowej i popularno-naukowej nagromadziło się wiele nieścisłości dotyczących czasu powstania pomnika Blumego w Malborku. Na podstawie inskrypcji na nieistniejącym już pomniku, która wskazywała datę 8 sierpnia 1860 roku, większość badaczy sądziła, że zabytek odsłonięto właśnie tego dnia. R. Rząd w artykule „Pomniki malborskie. Rys historyczny” pisał: „efektem tego listu [R. Treschera – P. Dorszewski] było wystawienie przez miasto w 1860 r. pomnika w pobliżu Zamku Wysokiego”⁶. Jak wykażę dalej, odsłonięcie pomnika nastąpiło znacznie później.

Burmistrz Horn w artykule na temat swojej uroczystej przemowy, którą wygłosił 8 sierpnia 1860 roku, dodał kilka słów komentarza do wydarzeń towarzyszących powstaniu pomnika. Już fakt, że opublikował przemowę w 1865 roku daje powód sądzić, że między ro-

⁴ W. Schwandt, *Marienburg. Schloss und Stadt in Preussen*, Danzig 1912, s. 82.

⁵ B. Schmid, *Bartholomäus Blume*, „Ostdeutsche Monatshefte”, r. 12 (1931), z. 3, s. 164.

⁶ R. Rząd, *Pomniki malborskie. Rys historyczny*, „Rocznik Gdański”, t. 53 (1993), z. 1, s. 95.

kiem 1860 a 1865 musiało dojść do jakiś wydarzeń, które opóźniły powstanie pomnika. Narracja przytoczona przez Horna utwierdza w tym przekonaniu. Uroczystości 400-setnej rocznicy śmierci B. Blumego odbyły się 8 sierpnia 1860 roku, jednak pomnika jeszcze wtedy nie było. W uroczystej przemowie burmistrz Horn nakreślił zgromadzonym historię Blumego, zwracając szczególną uwagę na jego działalność dla miasta w latach 1457-1460. Nie zabrakło też wzmianek o walce dawnego „bohatera” o niemieckie prawo i niemieckie obyczaje w Malborku oraz odniesień do dzieł J. Voigta. Najważniejsze dla naszej sprawy były ostatnie zdania przemówienia. Według nich, pomnik miał powstać z piaskowca i zostać postawiony przed głównym wejściem do ratusza. Jego odsłonięcie burmistrz Horn zapowiedział na początek następnego roku. Mamy więc jasny przekaz, że pomnik B. Blumego w 1860 roku jeszcze nie istniał, zaś jego odsłonięcie, zgodnie ze słowami wóldarza, planowano dopiero na początek 1861 roku. Jak się okazało później, tego terminu nie dotrzymano.

Burmistrz Horn wskazał dodatkowo, że doszło do pewnych kłopotów, które zaważyły na tym, że podjęte przez miasto zobowiązanie wystawienia pomnika nie zostało zrealizowane. Napisał on wprost, że zrodził się długo trwający spór o lokalizację. Pierwotnie miał on stać przed wejściem do ratusza, jednak pojawiły się głosy, aby wybrać wolny plac przed zamkiem. Bardziej enigmatycznie o przyczynach niewywiązania się miasta z budowy pomnika wyraził się dr F. W. Marschall. Wspomnił on o „braku odpowiedniego miejsca w obrębie Starego Miasta” oraz „różnych okolicznościach”, które miały przeszkadzać temu przedsięwzięciu. Ostatecznie wygrała opcja ulokowania pomnika na nowo utworzonym placu między Zamkiem Wysokim a miastem (okolice dzisiejszego skrzyżowania ulic Starościńskiej i Piastowskiej).

Pomnik Bartłomieja Blume w Malborku został odsłonięty na nowo utworzonym placu dopiero 15 czerwca 1864 roku. Relacja z tej drugiej uroczystości na cześć byłego burmistrza miasta znalazła się w „Gazecie Gdańskiej” („Danziger Zeitung”) z 20 czerwca wspomnianego roku. Uroczystość odsłonięcia odbyła się popołudniu i zebrała przed pomnikiem tłumy. Z ważnych osobistości warto wymienić wóldarza miasta C. Horna, który wygłosił (kolejną) uroczystą przemowę, radnych miejskich, starostę malborskiego Pareya oraz wysoko postawionych urzędników państwowych. W swoim przemówieniu burmistrz Horn pominął ponowne nakreślenie sylwetki B. Blume. Skupił się na pochwale jego poświęcenia i wierności wobec zakonu oraz wspomnił, że walczył on o to, aby miasto utrzymało niemieckich wóldców („deutschen Herrschern”) oraz niemieckie obyczaje („deutsche Gesittung”)⁷. Wątki o charakterze narodowym w przesłaniu burmistrza były czytelne.

Sam pomnik B. Blumego miał 18 stóp, czyli mierzył ponad 5,5 metra. Jego projektantem był inspektor budowlany Assmann z Berlina, którego matka mieszkała w Malborku. Wykonany został z czerwonego piaskowca w zakładzie kamieniarskim mistrza Merckela w Halle. Składał się z części środkowej, która stała na dwóch kwadratowych cokołach o średnicy około 10,5 i 7 stóp, zaś na górze zakończony był neogotycką sterczyną z czterema ażurowymi przyporami. Pomnik posiadał następujące inskrypcje. Na przedniej stronie zapisało: „Dem Andenken des Bürgermeisters Bartholomäus Blume, gest. 8 August 1460”, z lewej „Dem kühnen und treuen Kämpfer für deutsches Recht und deutsche Herrschaft wider

⁷ Zob. „Danziger Zeitung” z 20 czerwca 1864 roku.

fremde Willkür und Landesverrath", z prawej "Zum 400jährigen Todestage des für seine Gesinnungstreue geopfertten Mannes, die Stadt Marienburg. 8 August 1860". Tylna strona pomnika pozostała podczas odsłonięcia pusta, gdyż planowano uzupełnić ją herbem miasta Malborka, co później stało się faktem. Koszty budowy pomnika i placu, na którym stał, wyniosły około 1000 talarów.

Jak więc widać, odsłonięcie pomnika B. Blumego w Malborku nastąpiło dopiero 4 lata później niż to pierwotnie planowano. Wielu badaczy kierowało się samymi inskrypcjami zabytku, wskazując błędną datę jego powstania. Co więcej, można wskazać pewien paradoks, który występuje w dwóch przekazach pochodzących od tego samego autora. W 1865 roku dr F. W. Marschall opublikował artykuł na temat pomnika, w którym wskazał poprawną datę jego odsłonięcia (mimo że pomylił czerwiec z lipcem). Następnie 27 kwietnia 1876 roku podczas uroczystości z okazji 600-lecia istnienia miasta Malborka wygłosił on uroczystą przemowę, w której wspomniiał, że miasto „w roku 1860-tym, a więc 400 lat po powieszeniu [B. Blumego – P. Dorszewski], na placu między zamkiem a miastem [...] postawiło pomnik na miarę środków miasta”⁸. Pomyłka ta mogła utwierdzać późniejszych badaczy w błędnej dacie powstania zabytku.

⁸ *Kurzgefasste Darstellung der geschichtlichen Verhältnisse der Stadt Marienburg, Marienburg 1876, s. 20.*



Pomnik Bartłomieja Blumego w Malborku przed wojną, zdjęcie z archiwum Bernarda Jesionowskiego

Cezary Tryk

KRZYŻACKA SZKOŁA SOKOŁÓW

Sokolnictwo, rozumiane jako sztuka układania ptaków drapieżnych oraz łowy przy ich użyciu, towarzyszyło człowiekowi co najmniej od II tysiąclecia p.n.e. Do Europy łowy tego rodzaju dotarły wraz z ludami germańskimi ok. IV wieku. W szybkim czasie polowania

z sokołami stały się przywilejem możnych i władców. Łowy z ptakami łowczymi nie miały dostarczać pożywienia, lecz rozrywki i świadczyć o statusie społecznym właściciela ptaków. Sokolnictwo szczególnie rozwinęło się w okresie krucjat, podczas których arabskie wzory tej sztuki zostały przeszczepione na grunt Europy i równocześnie łowy z sokołami wpisały się w kanon kultury dworskiej. Niepoślednia rola w rozwoju sokolnictwa w Europie przypadła zakonowi krzyżackiemu, który od połowy XIV wieku dostarczał do wielu krajów Europy środkowo-zachodniej te poszukiwane ptaki.

Na połowę XIV stulecia (1354) przypada moment podporządkowania sokolnictwa

w Prusach Zakonnych celom politycznym, czego dowodem było zarządzenie wielkiego mistrza Winrycha von Kniprode, w którym ten zabraniał wysyłania sokołów poza granice wszystkim członkom zakonu za wyjątkiem wielkich mistrzów. O znaczeniu sokolich prezentów w dyplomacji zakonu krzyżackiego pisali już historycy pruscy i polscy w XIX w. Na kwestię tę zwracał uwagę J. Voigt, czy K. Szajnocha. Ten ostatni uważał, że wśród różnych upominków, które Krzyżacy przesyłali dla poparcia „swoich spraw” najbardziej poszukiwanym były właśnie sokoły: (...) *Najpowszedniejszą przesyłkę, której cały świat się domagał od Krzyżaków stanowiły sokoły – sława ziem pruskich, obfitujące niegdyś w nadzwyczajnie liczne i cenne ptactwo tego rodzaju. Szły te starannie w sokolarniach krzyżackich ułożone sokoły, białozory, jastrzębie, w suknie albo płótnem obitych klatkach, z obfitym zapasem drobiowego żeru na drogę, corocznymi dary do wszystkich dworów europejskich.*

Wysyłanie prezentów z sokołów było swoistym symbolem bogactwa i atrakcyjności zakonu dla ochotników, których Krzyżacy wciąż potrzebowali do walki z Litwą czy Polską. Niewątpliwie sokoły, jako najbardziej typowe symbole bogactwa, szlachectwa czy wysmakowanej rozrywki były swoistym szyldem czy też reklamą przyciągającą do Prus ochotników. Pamiętać też należy, że w drugiej połowie XIV wieku, kiedy rozpoznawalny jest wzrost znaczenia i rozwój sokolnictwa w zakonie, następowało ciągle zeświecczenie obyczajów rycerzy-zakonników. Sokole prezenty przynosiły konkretne korzyści w wymiarze politycznym (zdobywanie sojuszników i zbrojnego zaplecza) oraz ekonomicznym (uzyskiwanie wolnego cła na wino).

Pierwsza sokolarnia istniała w Królewcu i funkcjonowała już w latach siedemdziesiątych

XIV wieku. Kolejna powstała pod koniec wieku w Malborku i przejęła rolę centrum sokolniczego, do którego trafiały sokoły z pozostałych regionów państwa zakonnego w Prusach i skąd były później ekspediowane do licznych odbiorców w Europie Środkowej i Zachodniej.

W drugiej połowie XIV wieku zakon rozpoczął systematyczne rozsyłania darów z sokołów. Tylko w ciągu 10 lat (1399-1409) dostarczono do Malborka z różnych terenów, głównie Prus i Inflant około 1,5 tys. sokołów. Na podstawie księgi wydatków malborskiego podskarbiego można stwierdzić, że w latach 1398-1409 zakon krzyżacki w Prusach wysyłał sokoły do ponad trzydziestu księstw i królestw.

Wielkość i kierunek wysyłek stały się odzwierciedleniem politycznych układów zakonu. Interesująco na tym tle przedstawiają się relacje z Władysławem Jagiełłą, którego słabość do łowów wykorzystywał skrzętnie Konrad von Jungingen i jego następcy, posyłając mu systematyczne dary z ptaków łowczych, które zwiększały się w okresach poprzedzających prowadzenie układów czy traktatów.

Wysoce rozwinięte sokolnictwo w Prusach Krzyżackich wymagało też znacznych nakładów finansowych. Wielki mistrz pokrywał koszty zakupu sokołów, ich transport, wyżywienie, wynagrodzenie sokolników i łowców sokołów. W latach 1398-1409 wydatki na sokolnictwo wyniosły 3 322 grzywny, z czego 2 231 przeznaczono na kupno sokołów.

Po zsumowaniu wszystkich wydatków z tego okresu i ich uśrednieniu Zakon wydawał ok. 306 grzywien rocznie na sokolnictwo. Stanowiło to ok. 10 proc. wszystkich rocznych wydatków związanych z dyplomacją zakonu.

Pod koniec XIV wieku założona została szkoła sokołów (*falkenschule*) w Malborku, która później stała się słynna w całej Europie. Należy przyjąć, że była to sokolarnia, w których ptaki drapieżne układano do celów łowieckich. Właściwym twórcą malborskiej sokolarni był wielki mistrz Konrad von Jungingen, który w roku 1396 nadał dziedzicznie swojemu sokolnikowi Piotrowi (*Petir unserem falkener*) kupione przez niego budy z ogrodem, położone przed Malborkiem, obok *molegrabin* (młynówki). W nadaniu znalazło się zastrzeżenie, że po śmierci posiadłość ma przyspaść następcy na stanowisku sokolnika, który miał prawo odkupienia jej od spadkobierców Piotra. Umiejętności sokolników z Prus wysoko cenił M. Cygański, skoro w swym dziele pisał, iż aby poznać ich technikę połowu sokołów trzeba ją zobaczyć, gdyż przez sam opis nie da się jej prawidłowo wyjaśnić. W przypadku krzyżackich szkół sokolich należy chyba dodać, że poza przetrzymywaniem sokołów, zajmowano się tam ich karmieniem, leczeniem, a przede wszystkim szkoleniem, czyli układaniem do łowów, a także wysyłaniem do zagranicznych odbiorców. Określanie krzyżackich sokolarni, jako *Falkenschule*, narodziło się zapewne poza granicami Prus. Także prawie nie spotyka się używania tego zwrotu z czasów współczesnych tym instytucjom. Jedynie T. Bielawski wspominał o nich w swym *Myśliwcu*, który został wydany w 1595 roku. Z kontekstu wypowiedzi wynikało, że służyły one do chwywania sokołów, które można było tam nabyć: (*Kanie, wrony, jastrzęby, rarogi, sokoł /Łacno pobić, nie chodząc po mistrza do szkoły*).

Średnio do Malborka trafiało od 60 do 120 sokołów rocznie. Można tylko przypuszczać, iż część ptaków dostarczanych do malborskiej szkoły była ułożona i były to uprzednio wy-



Izba sokolnika (źródło: Amman Jost, *Künstliche wolgerissene new Figuren von allerlai Jagd und Weidwerck, darzu mit artl. lat. Versen u. wolgestellten teutschem Reimen, erkl. und gezieret, Frankfurt am Mayn, 1592, BSB [VD 16 ZV 526]*)

jęte z gniazd piskłeta, tzw. gniazdowniki, drugą część stanowiły osobniki dorosłe (dziczki), które trafiały do stolicy Zakonu nieułożone, a ich tresura odbywała się dopiero pod okiem malborskich sokolników.

Nie wiemy jak wyglądała sokolarnia czy też *Falkenschule* w Malborku. Wydatki na remont domu sokolnika wskazują, że był on murowany. Nie wiadomo jednak, czy w budynku mieszkalnym znajdowało się oddzielne pomieszczenie z ptakami łowczymi, czy przebywały one w zupełnie innym budynku czy też budynkach. M. Cygański, autor współczesny Batoremu pisał, iż należy je chować w wieży, aby nawykły wysoko się wzbijać. Wydawałoby się, że ten anachroniczny pogląd nie miał w rzeczywistości pokrycia, jednak na uwagę zasługuje fakt, że na ilustracjach z dzieła Fryderyka II widzimy również sokolarnie umieszczone w wieżach. Podobnie w niektórych krajach o ciepłym klimacie ptaki łowcze trzymano w odpowiednio przygotowanych wieżach pałacowych i w wyższych kondygnacjach budynków gospodarczych. Do dzisiaj zachowała się sokolarnia chanów krymskich w Bachczysaraju. Według opisu S. Milczarka była to duża dwukondygnacyjna budowla, przylegająca do muru otaczającego rezydencję, której górną część stanowiła drewniana wieża, gdzie znajdowały się rzędy bereł (siedzisk dla ptaków łowczych), utensylia i obierz sokolnicza.

Sokoły były trzymane w innych pomieszczeniach latem i innych zimą. Zwracał na to uwagę M. Cygański. Uważał, iż zimą porą ptaki należy przetrzymywać w ciepłych

i suchych izbach, gdzie nie można ich niepokoić. Rarogów nawet w ostre mrozy nie należało trzymać w zbyt nagrzanym pomieszczeniu, jastrzębiom nie była potrzebna dodatkowa komnata, ale musiały mieć zapewnioną ciszę, krogulce wymagały ciepła, a drzemliki dodatkowo większej komory lub komnaty by mogły swobodnie w niej latać. Znaczące wydatki na dachówki czy budowę pieca w domu sokolnika w Malborku, jakie odnotowano w księdze komtura zamkowego w latach 1416-1417 mogą pośrednio wskazywać, że sokoły trzymano w jednym budynku, który pełnił funkcję mieszkalną i zarazem był sokolarnią. Być może naprawa pieca w pomieszczeniu sołownika (*felkeners stobe*) wiązała się z koniecznością zapewnienia wspomnianego przez Cygańskiego ciepła dla sokołów w okresie zimowym. Wydatki na pokrycie dachu mogą wskazywać, że część sokołów była trzymana na poddaszu.

Nie wiadomo, jaka liczba ptaków mogła jednocześnie przebywać w malborskiej szkole. Wydaje się, iż przez okres wiosny do później jesieni sokoły były chowane na zewnątrz, zapewne w jakichś specjalnych wolierych. Z powodu ich dużej ilości sokolarnia musiała obejmować znaczny teren. Stąd też chyba nieprzypadkowo w dożywotnim nadaniu dla sokolnika Piotra znajduje się informacja o nabyciu *buden mit dem garten* położonych przed miastem Malborkiem, koło młynówki. Wzmiankowany ogród a być może także owe budeny miały najwyraźniej służyć, jako miejsce trzymania i szkolenia sokołów. Nie wiemy, jak mogły wyglądać ówczesne woliery dla ptaków łowczych. Obecnie w sokolnictwie nie ma specjalnych norm dotyczących ich budowy. Mogą mieć różnoraki kształt i wielkość. Niemniej typowa współczesna woliery dla jastrzębia winna mieć ok. 7 m długości, 4 szerokości i ok. 2 m. wysokości. Natomiast mniejsze są woliery pierzeniowe. Pewne wytyczne mogą wiązać się z usytuowaniem woliery, co wiąże się z koniecznością zapewnienia ptakom łowczym spo-



Ilustracja z traktatu sokolniczego Fryderyka II (źródło: Biblioteca Apostolica Vaticana, Cod. Pal. lat. 1071, Südtalien/Sizilien 1258-1266)

koju, a zwłaszcza jastrzębiom, dlatego należy je umiejscawiać z dala od źródeł hałasu. „Szkoła sokołów” sokolnika Piotra, o której była mowa, również była położona nieco na uboczu w stosunku do zamku i malborskiego przedzamcza (nad kanałem Młynówka). Z pewnością musiały istnieć jakieś drewniane konstrukcje, które służyły ptakom przez czas pierzenia. W tym szczególnym okresie, jak podawał K. Wodzicki należało ptaki dobrze karmić i trzymać w cieple. J. Szytler, a zanim W. Kozłowski, przekazywał, że sokoły należy utrzymywać: *w altanie, czyli sokolarni, umyślnie dla nich zbudowanej ze dwiema obszernymi oknami dla wpuszczenia słońca*. Z rycin zawartych w traktacie Fryderyka II widzimy, iż ptaki na czas karmienia, czy pielęgnacji sokolnicy sadzali na długich drążkach, które umieszczano między sokolarniami w formie baszt.

Wspominany wyżej J. Szytler pisał, że w środku sokolarni (altany) mają się znajdować *balczki dla siedzenia ptakom*, natomiast jastrzębie zalecał trzymać latem w klatkach na dworze. Co ciekawe P. Krescentyn uważał, że: *nie godzi się sokoła sadzać na drewnianej żerdzi, ale na kamieniu obłym a podługowatym, gdyż natura i zwyczaj ich siadania w tym się kocha*. Prawdopodobnie tak, jak i dziś, tak i dawniej, ptaki musiały mieć osobne woliery czy pomieszczenia. Stąd w malborskiej „szkole” musiała być ich znaczna ilość, co najmniej kilkadziesiąt. K. Wodzicki, niestety nie podając źródeł swych informacji, pisze, że szkoła sokołów w „Marienbergu” była czworobokiem na kilkaset łokci, wokół którego ustawionych było 200 klatek, a każda z nich miała dodatkowo pomieszczenie na zimę (każda z zimowym pokojem z tyłu). Największa liczba ptaków dostarczana była zwykle w październiku, a w listopadzie i grudniu były one już ekspediowane za granicę.

Ciekawe informacje dotyczą samego domu sokolnika w Malborku. Pochodzą one z wydatków komtura zamkowego związanych z jego re-



Konrad Młodszy (1252 – 1268) król Jerozolimy, Sycylii i ksiączę Szwabii podczas łowów z sokołami, prawdopodobnie białozorami, rycina pochodzi z tzw. Kodeksu Mannejskiego z XIV w. (źródło: Cod. Man., BU Heidelberg, cpg 848, s. 7r)

montem, który trwał w latach 1416-1417. Był to dość gruntowny zakres prac, który objął remont dachu i pomieszczeń w środku. Prawdopodobnie został wymieniony cały dach łącznie z nowym obelkowaniem, gdyż poza kosztami związanymi z dachówką opłacono cieśle za wykonanie lat i belek. Na pokrycie dachu zużyto 15 tys. dachówek. W pomieszczeniu sokołnika postawiono nowy piec kaflowy, wykonano nowe schody i przeprowadzono jakies prace z użyciem zaprawy z gliny. Także jakies prace zostały wykonane przy ramach okiennych. W roku 1418 w izbie sokołnika wstawiono dwa szklane okna nie wiadomo czy wcześniej też takie były. Dom sokołnika otoczony był płotem i posiadał wrota, które wykonał w 1417 roku cieśla Oppermann. Powyższe wydatki pozwalają stwierdzić, że dom sokołnika musiał mieć znaczne rozmiary. Pokryty był dachówką, miał szklane okna, piece kaflowe i był chyba murowany.

W roku 1458 znajdujemy kolejną wzmiankę, jak można sądzić dotyczącą domu sokołnika w Malborku, określanego tu, jako *falkenhoff*. Jest to kolejne dożywotnie nadanie. Dwór miejski (*hoffstadt*) zwany *falkenhoffe* zostaje nadany przez Ludwika von Erlichshausen sokołnikowi Łukaszowi Neuman i jego żonie Elżbiecie. Sokolnik ów został przyjęty do prawa miejskiego w 1451 roku i posiadał działkę w mieście. Nadanie zostało wydane w Królewcu i obowiązywało dożywotnio, po czym „sokoli dwór” miał powrócić do zakonu. Być może jednak sokołnik pozostał w mieście po opuszczeniu zamku przez wielkiego mistrza. Dalsze losy dworu sokołników nie są znane. Zapewne po zajęciu Malborka przez polską administrację utrzymywano nadal sokołnika. Świadczyłoby o tym, pismo starosty Malborka Piotra Szafranca z 1504 roku do wielkiego komtura o uwolnienie jego sokołnika.

Sokolnicy posiadali też swoje konie, a w Malborku znajdowała się stajnia sokołnika. Informują nas o tym wydatki komtura zamkowego w Malborku, jakie pojawiają się w roku 1417. Także wówczas poprawiono dach stajni, na co wydano 10 skojców. Wyraźne wzmianki o stajni sokołnika pozwalają sądzić, iż był to oddzielny obiekt, a więc konie sokołników nie znajdowały się na obszarze innych licznych stajni zamku malborskiego. Trudno powiedzieć, gdzie mogła się znajdować. Większość stajni była usytuowana według J. Trupindy i S. Józwiaka na terenie przedzamcza.

Wiadomości o miejscach zdobywania czy skupowania przez Zakon sokołów dostarczają przede wszystkim rachunki z *Tresslerbuch*. Pozwalają również dokonać szacunkowych obliczeń ilości skupowanych przez Zakon sokołów. Jednak dokładne wyliczenia nie są możliwe, ponieważ nie zawsze wymieniano ich liczbę i często poprzestawano tylko na zapisaniu samej kwoty wypłacanej za sokoły. Na podstawie moich ustaleń było ich ok. 1513, co dawałoby średnią ok. 137 sokołów rocznie. Są to jednak dane szacunkowe.

Największą część kosztów związanych z sokolnictwem pochłaniał zakup sokołów. Opierając się na danych z *Tresslerbuch* można stwierdzić, iż wydatki na ten cel stanowiły w latach 1398-1409, ok. $\frac{3}{4}$ całości kosztów związanych z sokolnictwem. Ceny sokołów, które w początkach XV wieku nabywał Zakon wahały się zwykle między 1 a 2 grzywnami srebra. Im sokoły pochodziły z odleglejszych stron (Windawa, Grobin, Ozylia), tym ich cena była wyższa, pomimo tego, że koszty transportu opłacano oddzielnie. Być może za cenniejsze uchodziły ptaki zdobyte w północnej części państwa zakonnego. Najmniej kosztowały ptaki

przesyłane do Malborka przez komtura Królewca – zazwyczaj 1 grzywnę. Cenę 1,5 grzywny osiągały z reguły ptaki kupowane w biskupstwie warmińskim. Natomiast za sokoły z biskupstwa sambijskiego, terenu Inflant, czy biskupstwa Ozylii oraz Gotlandii płacono najczęściej 2 grzywny od sztuki. Ceny zależały też od gatunku sokołów. W przypadku najczęściej spotykanych w źródłach *falcken*, czyli sokołów wędrownych płacono 1-2 grzywny za ptaka w zależności od terenu, z jakiego pochodził. Najdroższe były sokoły islandzkie (*Gerfalken*), za które dawano po 4 grzywny od sztuki. Choć zdarzały się od tego odstępstwa, na przykład w roku 1409 za jednego *gerfalken* zapłacono tylko 1,5 grzywny. Cena tych ptaków gwałtownie rosła w krajach oddalonych od miejsc ich pozyskania (poza Zakonem Krzyżackim białozory w średniowieczu wysyłali lub sprzedawali władcy Danii i Norwegii). Jak podaje S. Milczarek w Polsce (kraju pośredniczącym) w XIV i XV wieku za białozora płacono od 2 do 5 grzywien, a w kraju docelowym jego wartość wzrastała trzykrotnie, na przykład w Syrii cena dochodziła do 15 polskich grzywien. W XVI i XVII wieku za nieułożonego do polowań białozora, w Europie Zachodniej należało zapłacić 9 talarów (wartość trzech dobrych wołów), w krajach Maghrebu dwa razy tyle, a w Turcji nawet 1000 talarów. J. Bujack pisał, że gdy królowi Filipowi Augustowi podczas oblężenia Akki uciekł bardzo piękny biały sokół, prosił Turków o oddanie go, za co oferował 1000 sztuk złota. Natomiast Bajazid I po zwycięstwie pod Nikopolis w 1396 roku za wziętych do niewoli rycerzy francuskich żądał białych sokołów – sokół za rycerza.

Godnym podkreślenia jest fakt, że pruskie sokoły uznawano w Europie XV i XVI wieku za doskonałe do łowów. Na długiej liście osób proszących o pruskie sokoły znalazł się na przykład cesarz Maksymiliana I (w 1502 roku, pisał do wielkiego mistrza, iż brakuje mu pruskich sokołów. Sława pruskich sokołów dotarła też do Hiszpanii, gdzie już w XIV wieku Pero López'a de Ayala autor traktatu pod nazwą *Libro de la caza de las aves* stwierdzał, iż będąc we Francji widział u królewskiego szafarza sokoła podarowanego przez maestro de Pruza, który był najlepszy na świecie (*el mejor garcero del mundo*). Tak, więc sokoły pruskie przynajmniej od XIV do XVII wieku były znane i poszukiwane w całej Europie, a ich właściciele wykorzystywali ten fakt dla swoich celów - przede wszystkim dyplomatycznych.

Janusz Namenanik

KLASZTOR REFORMATÓW W DZIERZGONIU

Zespół obiektów klasztornych, jaki pozostawili nam Ojcowie Reformaci jest już prawie od 300 lat wkomponowany w pejzaż Dzierzgonia. Początki obiektu należy wiązać z datą 10 czerwca 1678 roku, kiedy to wojewoda malborski i zarazem starosta dzierzgoński Jan Ignacy Bąkowski podjął próbę osadzenia zakonników w mieście. Użytkowano na to pozwolenie sejmiku pruskiego w Grudziądzu. Następnym istotnym wydarzeniem było podjęcie w dniu 23 września 1684 roku uchwały przez prowincję wielkopolską dotyczącą organizacji placówki w Dzierzgoniu.

Istnieje dokument z dnia 27 sierpnia 1693 roku, będący protokołem z posiedzenia, w którym brali udział między innymi Klemens Wasierski, Atanazy Atyński, Ludwik Borzewski, Bonawentura Klein oraz brat Chrystian (przełożony klasztoru w Dzierzgoniu). Na posiedzeniu tym ustalono parametry dotyczące wyglądu tych budowli. Dokument ten o nazwie: *Decretum in ordine ad formandum conventum Christburgensem, 1693* jest własnością prywatną i dostęp do niego (przynajmniej dla mnie) jest niemożliwy. Korzystał z niego ks. prof. Alojzy Szorc, ale zainteresował go tylko fragment dotyczący tego, iż zaplanowano w klasztorze mały karcer dla niepokornych, a cela ta była dla większego umartwienia usytuowana obok *locum secretum*.

Budynek klasztoru wznoszono w latach 1709 – 1716 w miejscu, gdzie kiedyś był szpital Zakonu Świętego Ducha, głównie z materiałów pozyskiwanych z rozbiórki resztek zamku. Zakonnicy uzyskali pozwolenie na korzystanie z tego budulca, niemniej miejscowa ludność nie pozwoliła rozbierać ruin, w związku z tym odbywały się procesy sądowe w Sztumie.

Pewne przesłanki wskazują na to, że z ruin zamku pobrano nie tylko cegły i kamienie do budowy klasztoru, ale również kamienną figurę Potrymposa, która do schyłku XIX wieku wmurowana była w północną ścianę klasztoru, jak również tablicę będącą epitafium Stanisława Konarskiego, która to do dzisiaj tkwi w wschodniej ścianie budynku. Istnieje również granitowa kropielnica (punkt pobierania święconej wody) wystająca z południowej ściany, która być może pochodzi z zamku.

Wygląd franciszkańskich klasztorów nie jest dziełem przypadku ani swobodnej twórczości architekta, ale ściśle wynika z prawa statutowego franciszkanów reformatów, będących wewnętrzną frakcją Zakonu Braci Mniejszych. Reformaci byli zwolennikami surowego ubóstwa, przejawiającego się m.in. w architekturze budowanych przez nich obiektów.

Statuty Generalne Reformatów, zatwierdzone przez papieża Urbana III w 1642 roku, określały styl i sposób budowania kościołów i klasztorów. Szczegółowe wytyczne tam zawarte dotyczyły, m.in. budownictwa reformackiego na ziemiach polskich w XVII wieku. Dlatego też wszystkie obiekty reformackie z tego okresu są do siebie podobne.

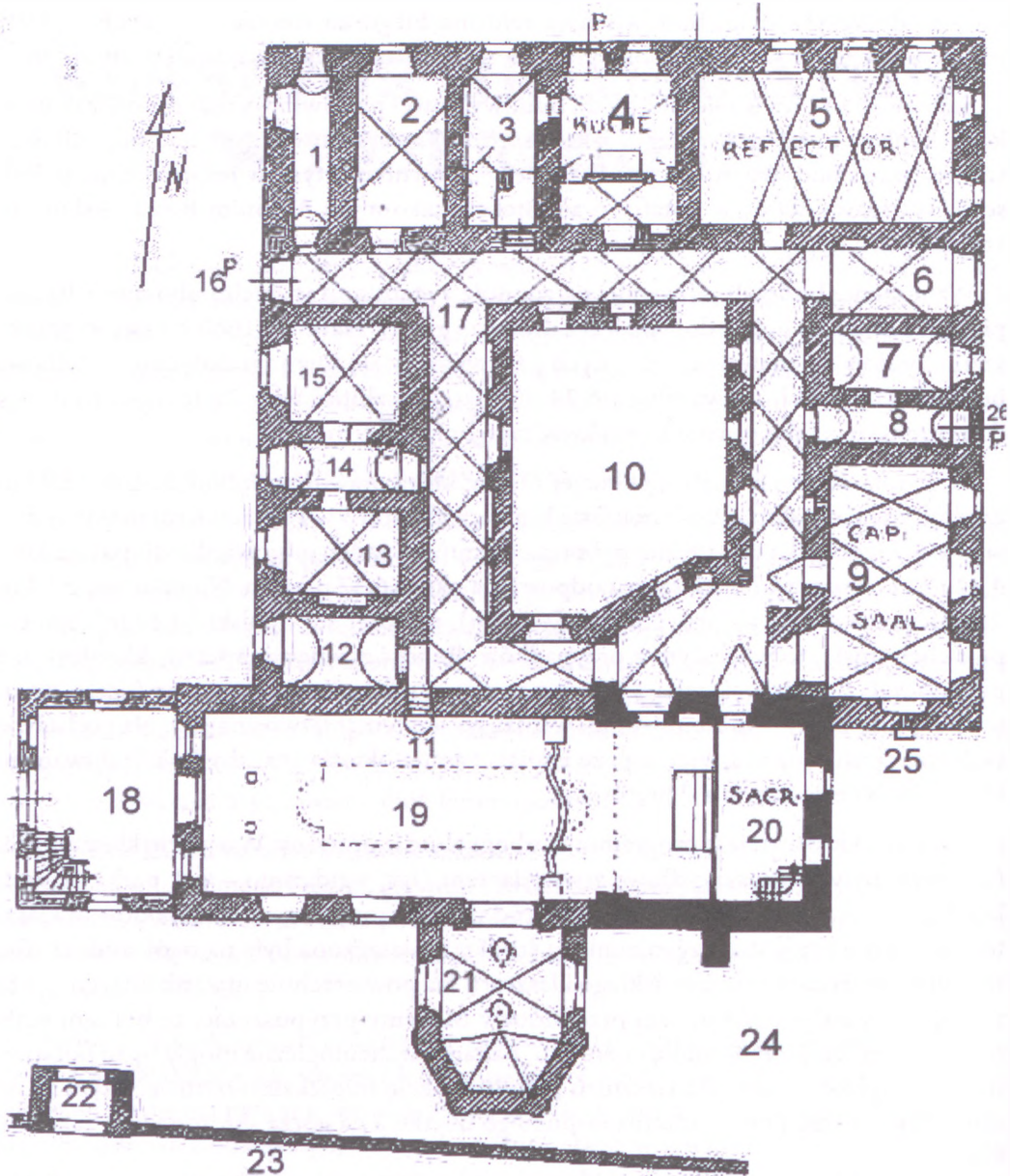
Statuty z 1642 roku zalecały, by do budowy nowej placówki wyznaczono 2 zakonników (kapłana i brata zakonnego) jako *inspector fabrcae*, czuwających nad prawidłowością realizacji budowy. Adam Jan Błachut w „Słowniku artystów reformackich w Polsce” (Warszawa 2006) w notatce o architekcie zakonnym Antonim Raszkowskim pisze, że był on *inspector fabrcae* klasztoru w Dzierzgoniu.

Wznoszenie budowli odbywało się zgodnie z statutami w duchu ubóstwa (dlatego pierwsze kościoły były z drewna lub z drewna i gliny). Statuty z 1663 r. zalecały wznoszenie budowli z materiałów trwałych i tu pojawiły się wymogi dotyczące wielkości budowli sakralnych (nawa długość 24-30 łokci, prezbiterium - 22 łokcie). Budynek dzierzgońskiego klasztoru stanowi kwadrat o boku 27,5 m.

W wymiarach tych upatruję pewnej zasady, którą prawdopodobnie zastosowali budowniczo wie obiektu. Otóż w okresie budowy klasztoru w Prusach Królewskich obowiązującą jednostką metryczną był pręt chełmiński, który odpowiadał długości około 4,32 m, co w przypadku klasztoru odpowiada około 6,37 prętom. Niezależnie, czy budowniczo wie stosowali pręt gdański (4,26 m), czy pręt staropolski (4,47 m), lub też pręt chełmiński, to w każdym z przypadków długość zewnętrzna ściany klasztoru nie przekraczała 7 prętów. Liczba 7 jest w pewnym stopniu liczbą magiczną (czego omówienie pominiemy, a zainteresowani wiedzę na ten temat łatwo znajdą). Na podstawie tych rozważań można stwierdzić, że istniała zasada określająca, aby bok budowanego klasztoru był mniejszy niż 7 prętów.

Budynek klasztoru jest programowo ubogi choć murowany. Wszystkie klasztory reformatów były czteroskrzydłowe z wirydarzem (łac. *viridarium* – gaj, park) pośrodku. Ten kwadratowy lub prostokątny ogród umieszczony wewnątrz zabudowań klasztornych otoczony jest krużgankiem. Na środku umieszczona była na ogół studnia albo fontanna. Wirydarz dzierzgońskiego klasztoru ma powierzchnię utwardzoną, co jest to zapewne wynikiem późniejszej przebudowy. Możemy przypuszczać, że był tam mały ogródek z np. ziołami i studnią pośrodku. Badania archeologiczne mogły by to potwierdzić. Trzy główne skrzydła klasztoru pełniły funkcję mieszkalno-bytowe, z tym że na dole były głównie pomieszczenia wspólnego użytku a na górze skromne cele zakonników.

Czwarte, południowe skrzydło do którego przylega kościół, jest bardzo wąskie - tylko z krużgankiem komunikacyjnym. Wewnątrz trzech skrzydeł biegnie wokół krużganek od strony wirydarza o szerokości 1,95 m i jest on zwieńczony sklepieniem krzyżowym. W okresie prawie 300 lat swego istnienia budynek klasztoru był przystosowywany do różnych funkcji, które dane mu było pełnić. Adaptacje te na ogół powiązane były z przebudową wnętrza, dlatego też jego obecny wewnętrzny wygląd różni się od pierwotnego.



Plan klasztoru i kościoła reformatów w Dzierzgoniu wg B. Schmida:

1. stróżówka (portiernia), 2. spiżarnia, 3. klatka schodowa (pod schodami spiżarnia), 4. kuchnia z wyjściem na ogród, 5. refektarz (9,6 m x 6,25 m), 6. WC, 7. cela (karcer), 8. przedsionek z wyjściem na ogród, 9. kapitułarz (4,7 m x 9 m), 10. wirydarz (11,3 m x 7,9 m), 11. schody, wejście z zakrystii do kościoła, 12. zakrystia, 13. cela Kaznodziei, 14. przedpokój, 15. cela Superiora, 16. wejście główne do klasztoru, 17. krużganek o szerokości 1,95 m, 18. przedsionek kościoła (ganek 2-kondygnacyjny), 19. nawa główna kościoła (22,7 m x 7 m), 20. zakrystia + chór na piętrze (7 m x 3,3 m), 21. kaplica Zawadzkich (6,25 m x 4,5 m), 22. brama do kościoła (portal barokowy), 23. mur, 24. cmentarz, 25. kropielnica (miejsce pobierania wody święconej), 26. drzwi na ogród.

Dość dobrze przedstawiony jest stan pierwotny na planie sporządzonym przez B. Schmida na przełomie XIX i XX wieku.

Prof. dr Bernard Schmid (1872-1947), pełniący funkcję Konserwatora Zabytków Prowincji Prusy Zachodnie dokonał dokładnych a jednocześnie fachowych oględzin dzierzgońskich zabytków co opisał szczegółowo w pracy zatytułowanej: „Bau- Und Kunstdenkmal der Pomesaniens 3. Kreis Stuhm” wydanej w Gdańsku w 1909 roku. Na s. 270 tak między innymi opisuje dzierzgoński klasztor: *Budynek klasztoru stanowi kwadrat. Południową ścianę stanowi kościół, a pozostałe trzy skrzydła są częścią mieszkalną. Główne wejście zlokalizowane jest w zachodniej ścianie i jest wykorzystywane do dzisiaj. W lewo od wejścia w północno-zachodnim rogu była stróżówka. W skrzydle zachodnim, po przekroczeniu przedpokoju istnieją dwa salony prawdopodobnie dla strażników domu (gwardianów). Mały pokój przy schodach ambony służył jako zakrystia. Kuchnia wraz z przylegającą spiżarnią znajdowała się w północnej części klasztoru. Obok był refektarz. Z kuchni było również bezpośrednie przejście na podwórze. W skrzydle wschodnim obok kościoła jest wielka sala. Obok dwa małe pokoje. Z korytarza wyjście na ogród. Wszystkie pokoje w tym samym stylu, większe ze sklepieniem beczkowym inne z płaskim lub krzyżowym.* (tłum. JM).

Dość ciekawą konstrukcją stanowił system ogrzewania klasztoru. W klasztorach reformatów na ogół cele zakonników nie były ogrzewane. Wszystko wskazuje na to, że w dzierzgońskim klasztorze było podobnie. Cele braci zakonnych mieściły się na piętrze. Schmid natomiast natrafił na relikty ogrzewania tylko na parterze. I to było typowe dla tego typu budownictwa. Ogrzewano jedynie pomieszczenia wspólnego użytku jak i cele przełożonych klasztoru. Na s. 270 Schmid pisze: *Ogrzewanie zostało przeprowadzone najwyraźniej z pieca poprzez korytarze (krużganki) do sal systemem podłogowym. Ten system jest nadal widoczny. Kanały doprowadzały ogrzane powietrze i ogrzewały kafelki podłogowe. Nad budowlą wystawał kiedyś jeden duży komin. Schmid zauważa, że jest to podobna konstrukcja do istniejącej w zamku malborskim. Piec stał w piwnicy w której sufit był szerniały od dymu. Ten opis jest dokonywany w okresie gdy właścicielem budynku klasztorowego była gmina, która umieściła w nim szkołę katolicką i protestancką.*

W tym czasie dwie sale na parterze służyły jako sale lekcyjne. Był to kapitularz i refektarz. Schmid stwierdza, że jedna z izb w skrzydle wschodnim pełniła rolę więzienia dla miejscowej policji. (Dwie funkcje w jednym budynku: szkoła i areszt!), a w drugiej izbie był skład opału dla miejscowej szkoły. Obok kuchni istniała komora do przechowywania owoców. Piwnica z pochyłym wejściem jest celowo umieszczona obok kuchennego wyjścia. Wejście na górę jest możliwe poprzez dwa ciągi schodów, jedne drewniane a drugie betonowe. Na piętrze zlokalizowane były trzy sale lekcyjne, biblioteka szkolna i mieszkanie pracownika szkoły. Z wyjątkiem dwóch starych dzwońców i zegara z napisem: Thorn Anno 1760, nie stwierdził innych zabytkowych przedmiotów. Zauważył natomiast, że ściany klasztoru są w stanie złym z licznymi miejscami rozpadu i wykruszenia. Zewnętrzna powierzchnia ścian wymazana. Ogród przyklas-

torny zarośnięty i zaniedbany, a oddzielony budynek gospodarczy jest obecnie zdewastowany. Znaczenie przyklasztornego ogrodu dla zakonników było bardzo istotne. Reformaci utrzymywali się samodzielnie przede wszystkim z pracy rąk własnych, w tym w znacznym stopniu z uprawy ogrodu. Nie było natomiast u reformatów skarbon kościelnych i nie zbierano pieniędzy na tacę.

Ogród dzierzgońskich reformatów był dość duży, co wynika z pierwszego wydanego w 1810 roku planu miasta sporządzonego przez Vogta. Istnieją dość mocne przesłanki wskazujące na to, że był to napoleoński kartograf, który sporządzał plany i mapy terenów zajętych przez wojska napoleońskie. W roku 20 stycznia 1807 roku Francuzi pod wodzą majora Rauquette zajęli miasto i w klasztorze utworzyli szpital.

Z ówczesnego planu miasta wynika, że ogród posiadał obszar o powierzchni znacznie przekraczającej hektar i prawdopodobnie był ogrodzony murem, przecinały go dwie prostopadłe krzyżujące się w środku drogi. Jedna z dróg wybiegała z drzwi bocznych usytuowanych do dzisiaj w ścianie wschodniej klasztoru. Drzwi te obecnie nie mogą funkcjonować ponieważ równoległe do wschodniej ściany budynku utworzono ulicę, której poziom leży znacznie wyżej niż posiadał go dawny ogród. Gdybyśmy chcieli dokonać współczesnej lokalizacji tego ogrodu, to możemy określić, że rozpoczął się przy ścianie wschodniej klasztoru i sięgał do końca obecnego boiska piłkarskiego (wszystkie obiekty sportowe są współczesne), a ze strony północnej obejmował w pewnym stopniu obecne tereny szkoły, a ze strony południowej sięgał do obecnej ulicy Żurawiej. Tak znaczny obszar powstał dzięki długoletniemu dorobkowi braci zakonnych, którzy otrzymywali nadania, darowizny, jak i dokonywali wykupu ziemi.

W otaczającym klasztor murze istnieje brama (portal barokowy), która zachowała się do dzisiaj wraz z fragmentem klasztornej mury. Obiekt ten obecnie jest bardzo mocno podniszczony, lecz posiada zarysy dawnej świetności.

Nad drzwiami bramy umieszczone były płaskorzeźby dwóch aniołów podtrzymujących napis: *VERBUM DOMINI MANET IN AETERNUM*, czyli: Słowo Pana trwa na wieki (I List Piotra 1,25). Do dzisiaj czytelne jest tylko pierwsze słowo napisu. Z obydwu stron były pilastry stanowiące jakby podstawy dwóch płaskorzeźb przedstawiających dwie głowy (w chwili obecnej bardzo zniszczone). Z lewej strony jest to głowa kobiety (Zawadzka ?), z prawej strony jest to być może głowa kobiety lub głowa barania. Ta druga możliwość też by była uzasadniona, ponieważ głowa barana jako herb, to Junosza będący herbem jednej z gałęzi rodowych Zawadzkich. Pisząc te słowa w lutym 2012 roku, wiem, że ks. Piotr Gaborczak czyni intensywne starania, aby obiekt ten powrócił do dawnej świetności.

Stojąc przed portalem i patrząc na południową ścianę przedsionka kościelnego widzimy w tej ścianie trzy intrygujące nisze. Są to miejscach w których stały kiedyś figury. Na załączonym poniżej zdjęciu z 1903 roku widoczne są zarysy tych figur. Kogo one przedstawiały? Według moich dociekań, figura na górze przedstawiała Matkę Bożą (co można dostrzec na powiększeniu fragmentu zdjęcia). Do 1750 roku Reformaci dzierzgońscy należeli do prowincji wielkopolskiej mającej za patrona św. Antoniego, a potem

do prowincji pruskiej zwanej Mariańską, której orędownikiem była Matka Boża Wniebowzięta.

Dwie pozostałe figury umieszczone po bokach, nieco niżej przedstawiały prawdopodobnie św. Franciszka (patron zakonu) oraz św. Antoniego (patron pierwszej prowincji).

Kolejnym ciekawym elementem jest kropielnica granitowa umieszczona tuż przy powierzchni gruntu w południowej ścianie budynku klasztornego. Kiedyś umieszczona była znacznie wyżej, ale w trakcie prac przy budowie nawierzchni ulicy poziom gruntu został znacznie podniesiony. Kropielnica ta miała dopływ wody z wnętrza budynku (z kapitulacza) w którym to była wnęka w ścianie (co jest zaznaczone na planie klasztoru). W kapitulaczu uzupełniano zawsze zapas wody święconej w tym celu, aby w dostępnym dla wszystkich zewnętrznym miejscu można ją było zawsze pobierać. Wśród społeczeństwa istniało głębokie przekonanie co do użyteczności tej wody (np. do celów leczniczych), dlatego całodobowy dostęp do niej był uzasadniony. Być może to granitowe urządzenie jest zabrane z kaplicy zamkowej, gdy dokonywano jej rozbiórki, w celu pozyskania materiału na budowę klasztoru i kościoła.

Wschodnia ściana klasztoru zawiera wejście, które prowadziło kiedyś do przyklasztornego ogrodu. Obok wmurowana jest tablica będąca epitafium dla Stanisława Konarskiego, byłego wojewody malborskiego a zarazem starosty dzierzgońskiego, która pochodzi również z kaplicy zamkowej. W północno-wschodnim rogu klasztoru była wmurowana granitowa rzeźba, którą można by objąć typologią „bab pruskich”. Nosiła ona nazwę Portymposa, natomiast wątpliwe jest, czy przedstawiała tego bożka Prusów. Jedno jest natomiast pewne, posiadała ona dużą wartość jako zabytek. W 1896 roku zabrano z Dzierzgonia ten posąg i umieszczono go w Muzeum Prowincjonalnym Prus w Gdańsku, niestety w czasie wojny zaginął. Jestem na tropie kopii tego posągu. Ślad prowadzi do Berlina. Być może kiedyś ktoś sporządzi kopię posągu i wróci on na swe stare miejsce.

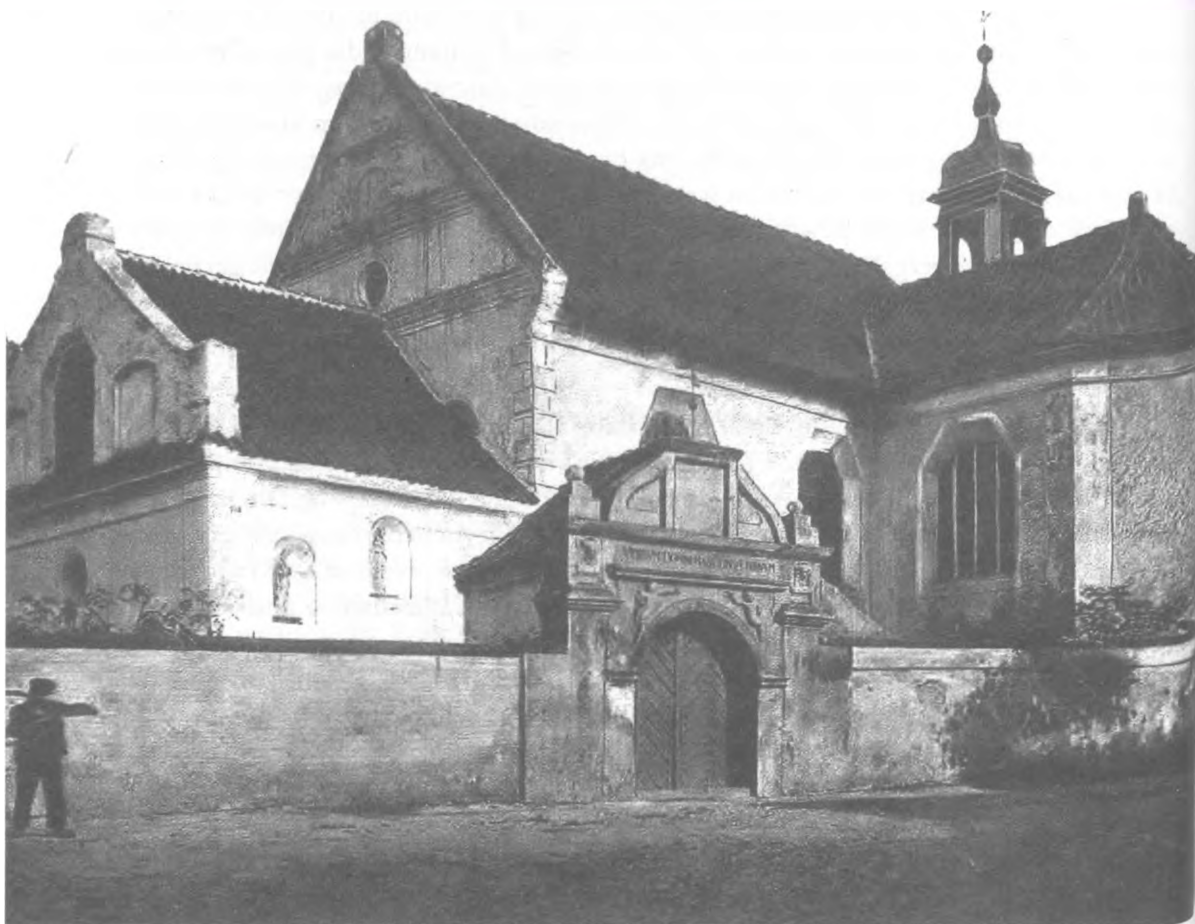
Istnieje jeszcze jeden dawny opis, tym razem adaptacji obiektu. Dokonał go były mieszkaniec naszego miasta Otto Piepkorn w „Die Heimatchronik der westpreußischen Stadt Christburg und des Landes am Sorgefluß”, Detmold 1962. Pisze on tam na s.182, że w 1920 roku dziekan Poschmann nabył klasztor, w którym przeprowadził remont za sumę 130 000 RM. Główne prace murarskie wykonał miejscowy murarz Krüger, który musiał się uporać między innymi z blokami kamiennymi i ścianami o grubości około 2 metrów (sądzę, że maksymalnie 1,2 m). Po przeprowadzonej adaptacji powstał nowoczesny 120 miejscowy obiekt dla starszych ludzi. Cele klasztorne przystosowano na pomieszczenia, w których było od 2 do 5 miejsc. Ponadto obiekt wyposażono umywalnię, łaźnię, sale konferencyjną, salę modlitwy oraz apartamenty siostr opiekunek. Kierownikiem obiektu została pani Babińska, zatrudniona była również osoba do spraw gospodarczych (intendentka). Kuchnia wyposażona była w kuchnie elektryczne oraz elektryczne windy do transportu żywności. Ten Dom Opieki był zarządzany przez radę nadzorczą, której przewodniczył dyrektor zarządzający. W skład Rady wchodził, mię-

dzy innymi burmistrz i osoby duchowne. Na 120 pensjonariuszy, 12 z nich sami płacili za swój pobyt, byli to emeryci. Miasto miało prawo do 50 % obsadzania wakujących miejsc w Domu Opieki.

W specjalnie wybudowanym budynku gospodarczym mieszkał dozorca Kutschkowski. Ten Dom Opieki funkcjonował do końca wojny.

Po wojnie przeznaczenie obiektu było bardzo różne. Mieściły się tam w różnym okresie między innymi: biblioteka szkolna, jadalnia, kasa ORS, Prezydium Miejskiej Rady Narodowej, mieszkania prywatne. W lipcu 1965 roku wyładowanie atmosferyczne spowodowało pożar dachu północno-wschodniego rogu budynku. Po prowizorycznym remoncie dachu, obiekt przez ćwierć wieku stał bezużytecznie i w sumie niszczał. W 1990 roku dokonano kapitalnego remontu obiektu i w 1991 roku umieszczono w nim Dzierzgoński Ośrodek Kultury.

Kompleks klasztorny obejmuje również kościół klasztorny pod wezwaniem Świętego Ducha wraz z kaplicą Zawadzkich, lecz ze względu na znaczne rozmiary tego zagadnienia wymagają one osobnego opisu.



Klasztorny kościół św. Ducha w Dzierżgoniu. Zdjęcie w 1903 roku wykonał O. Ziegler z Królewca (zbiory własne autora)

Janusz Ryszkowski

TARCZA ZE SKÓRY SŁONIA, ALBO NOSOROŻCA¹

Po domu Morawskich na sztumskim Przedzamczu zostały dziś tylko fundamenty. Tu znajdowała się siedziba polskiego Banku Ludowego (założonego w 1910 roku), którym doktor Feliks Morawski kierował przez 19 lat. Tu wychowało się siedmioro dzieci. Zabrzmiał banalnie – losy każdego z nich to gotowy scenariusz filmowy.

1.

Idą ulicą uśmiechnięci. Wiedzą, że są akurat fotografowani. Kapitan Morawski – widać to dopiero, gdy lepiej przyjrzymy się zdjęciu – dyskretnie trzyma w lewej dłoni papierosa. W prawej zwinięta gazeta. Pewnie nie spodziewa się, że napotka zaraz żołnierza i będzie musiał oddać honory. A zatem miasto z małym garnizonem, albo wcale.

Kolejne, tym razem mocne, przybliżenie: można zobaczyć, że ma bliznę na nosie. To pamiątka z pierwszej wojny, z Francji, albo Belgii. Żona Melania (urodzona w Łodzi w 1900 r., ma korzenie niemieckie, jest ewangeliczką, przejdzie na katolicyzm kilka lat przed śmiercią w Sztumie w 1982 r.) po jego prawej stronie. Nieco wyższa. Morawscy nie należeli do postawnych. Obok niej NN, rosły mężczyzna, energicznie stawiający kroki.

Patrzę na tę fotografię pozbawioną opisu. Znajdowała się w albumie, jaki pozostał po pani Melanii. Jakaż to pokusa, by w faktograficzne luki wepchnąć trochę fikcji. Coś podkolorować, udramatyzować, przyspieszyć akcję. Może za kilka miesięcy wybuchnie kolejna wojna? 46-letni Morawski pójdzie na front wschodni. Nie wróci z sowieckiej niewoli.

2.

„Panie kapitanie, dojeżdżamy do Łodzi. Chciał pan, żeby go obudzić...”

Wstał z lekkim wysiłkiem i odruchowo poprawił na sobie mundur. Nie czuł się najlepiej. Kilkumiesięczna kuracja, prowadzona także w sławnym zakopiańskim sanatorium Czerwonego Krzyża, wcześniej należącego do doktora Andrzeja Chramca, miała postawić go na nogi, ale jej dobroczynne skutki, bo takie zauważył, nie trwały zbyt długo. W każdym razie po tym pobycie pozostało mu kilka pięknych wspomnień i fotografia pod pomnikiem Tytusa Chałubińskiego, stojącego niedaleko wejścia do budynku sanatorium. On pozował w mundurze podparty ciupagą. Trochę wahał się, czy wypada tak oficerowi, ale ostatecznie fotograf go przekonał, że wcześniej i generałowie nie pogardzili takim rekwizytem.

Zajmował pokój na przedostatnim, trzecim piętrze. Zaaplikowano mu procedury hydropa-

¹ Fragment większej całości poświęconej losom rodziny Morawskich

tyczne, kąpiele słoneczne i powietrzne. Życie sanatoryjne miało własny rytm, który szybko mu się udzielił. Nie przepadał specjalnie za towarzystwem, ale i nie stronił od niego.

Któregoś dnia w hollu dostrzegł afisz zapraszający na koncert Karola Szymanowskiego. Od kąd pamięta, muzyka rozbrzmiewała w jego rodzinnym domu położonym na przesmyku między dwoma jeziorami. Ojciec prowadził znane w okolicy towarzystwo śpiewacze.

Nie mógł zmarnować okazji, by posłuchać głośnego kompozytowa. Sala była wypełniona po brzegi nie tylko kuracjuszami, ale i artystyczną bohemą. Wszyscy opatuleni w palta, bo zimno przeszływało do kości. Niezrażony tym mistrz grał jak natchniony prawie trzy godziny. Jak Bolesław przeczytał potem w gazecie, *okazało się, że wysokogórskie fortepiano jest zaziębione, rozjęczone i że tylko cztery klawisze cierpią na reumatyzm i zgoła nie wydają głosu.*

Od jakiegoś czasu Morawski zmagał się z chorobą piersiową. Często odzywały się też uporczywe bóle głowy. Martwił się, czy dalsza służba w pułku liniowym będzie możliwa. Gdy skierowano go na komisję, lekarz w randze majora był ostrożny w rokowaniach.

- Był pan ranny - zapytał, nie zagłębiając się specjalnie w leżące przed nim papiery.

- W 14. pod Łodzią, potem dwukrotnie pod Sommą, w 16. i 17 - odpowiedział.

- No tak. Kiedyś to musiało się wszystko odezwać... - rzucił doktor, uzupełniając coś pośpiesznie w dokumentacji. - Chciałby pan kapitan dłużej wypocząć, czy może pożegnać się z mundurem? Studiował pan, wyczytałem w aktach...

- W Breslau medycynę, to prawie rodzinna tradycja. Niecałe dwa lata, bo wybuchła wojna - dodał Morawski.



Melania i Bolesław (w mundurze) Morawski, fot. archiwum

To było przed kilkoma miesiącami. Teraz kapitan miał w kieszeni nominację na komendanta poligonu Barycz.

Pociąg dojeżdżał do peryferii Łodzi. – Pierwszy raz tu jestem – młody podporucznik, który wcześniej obudził Morawskiego, z ciekawością wpatrywał się w okno, jakby zza mgły poranka miała wyłonić się czekająca na niego przewodniczka. – Pan kapitan zapewne zna to miasto?

Morawski nie miał specjalnej ochoty na dłuższą rozmowę, ale nie chciał zbyt obcesowo potraktować młodszego kolegi.

– Niewiele pamiętam z pierwszego pobytu na początku wojny – powiedział. – Tu był jeden wielki szpital, a ja jednym z wielu rannych.

Z porannej mgły wyłaniał się majestatycznie budynek dworca Łódź Kaliska. Morawski dogaszał papierosa.

3.

Na front trafił świeżo po przeszkoleniu w 61 pułku piechoty im. von der Marwitz, stacjonującego w Toruniu. Razem z innymi nieopierzonymi wojakami dostał przydział do 224 pułku zapasowego. Kadra w większości została ściągnięta z głębokiej rezerwy. Nie wyglądało to wszystko najlepiej. W połowie października 1914 r. jego pułk wraz z macierzystą 48 Rezerwową Dywizją Piechoty został wysłany na front zachodni. Stacjonował w pobliżu Metz, a następnie Artois. Po walkach pod Ypres, w listopadzie został nagle odwołany i skierowany w stronę przeciwną - na front wschodni. Niemcy musieli wzmocnić siły, zorientowawszy się, że Rosjanie przygotowują potężne uderzenie. Tak wynikało z rozszyfrowanych tajnych depeesz, które przechwycili. Operacja nosiła kryptonim „Walec parowy” i miała zdecydować o rychłym końcu wojny. Rosyjski sztab zaplanował uderzenia na dwóch kierunkach: Poznań – Berlin i Śląsk – Wiedeń. Dowództwo niemieckie postanowiło zastosować wyprzedzające kontruderzenie.

Jak piszą historycy, w centrum tego wojennego cyklonu znalazła się Łódź, miasto stanowiące ważny ośrodek przemysłowy i komunikacyjny, będące wówczas - przypomnijmy - pod zaborem rosyjskim. 21-letni gefraiter (szeregowy) Bolesław Morawski ze Sztumu stanął naprzeciw rosyjskiego „walca parowego”. I mało brakowało, by został przezeń zmiażdżony. 6 grudnia, gdy walki toczyły się pod Łodzią, pada od kuli. Długo czekał na sanitariusza. – Będziesz żył, to tylko noga – słyszy wreszcie.

4.

Prasa codzienna publikuje relacje z frontu. „Gazeta Toruńska” zamieszcza oficjalne komunikaty nie tylko sztabu niemieckiego, choć te w pierwszej kolejności, ale i rosyjskiego, austro-węgierskiego, francuskiego, odgłosy prasy angielskiej, włoskiej, szwajcarskiej. Można odnieść wrażenie, że oddając głos różnym stronom konfliktu, redakcja daje do zrozumienia polskiemu czytelnikowi w Prusach Zachodnich, że to jednak nie nasza, czyli nie-polska wojna. A przecież większość rodzin czytelników gazety doświadczała dotkliwie, jak bardzo nasza. Gazety zamieszczały listy rannych i poległych, „Torunianka” wybierała z urzędowych komunikatów na-

zwiska o polskim brzmieniu. Czasem brzmią niezwykle. 159 pułk piechoty z Piły. Polegli na Zachodzie: Paweł Bartłomek z Malborskiego, chorąży Brzytwa; 157 pułk piechoty – Jan Huj z Panewnik, rezerwista Antoni Jedurny.

Niemiecka cenzura nie próżnowała. Egzemplarze z tego okresu - z białymi szpaltami po konfiskacie tekstów - nie należały do rzadkości. Ale fakt, że oprócz komunikatów wojskowych niemieckich, można było znaleźć strony przeciwnej, mniejsza nawet o to, czy były okaleczone i zmanipulowane, chyba jednak nie najgorzej świadczą o prasie tamtych czasów?

Redaktorzy „Gazety Toruńskiej” starali się na bieżąco relacjonować wypadki frontowe. Pozbawieni własnych relacji, korespondentów wojennych, posiłkowali się głównie tym, co pisali inni. Nie zrażali się faktem, że nie nadążają za biegiem spraw, słowem, że podają mocno odgrzewane i przypalone kotlety.

Sięgnijmy po numer 268 z 13 grudnia. Niemiecka armia od 6 grudnia znajdowała się w Łodzi. Tymczasem na pierwszej stronie gazeta zamieszcza takie przedruki.

Korespondent Nowego Wremieni donosi, że dnia 30 listopada Niemcy rozpoczęli bombardować Łódź. Z pola bitwy strasznie było patrzeć. Całe miasto było w płomieniach. W środek wojska niemieckie wyszły ze Zgierza, by Łódź wziąć szturmem. Od dwóch miesięcy miasto było zupełnie odcięte od świata. Fabryki stoją beczynnie, a ludność cierpi wskutek braku żywności.

(...) Według doniesień Petersburskiej Agencji Telegraficznej w Łodzi wiele domów w najlepszych częściach miasta jest zburzonych. Górne pietra hotelu Savoy runęły wskutek ognia szrapnelowego. Granat zniszczył gazownie, wskutek czego miasto jest pogrążone w ciemnościach. Brak środków żywności, szczególnie mleka. Cukru nie ma wcale, używa się miodu. Ceny mięsa i chleba podrożały w trójnasób.

A Daily Telegraph: Każda wieś zajęta przez Niemców, w kilka godzin zamienia się w twierdzę. Straszna ta bitwa zmienia całą okolicę w jedno morze płomieni. Najdrobniejszy pagórek bywa dwadzieścia razy brany i tracony i znika ostatecznie w morzu krwi, ognia, granatów i bagnietów. Od sześciu dni drży ziemia w okolicy Łodzi jak podczas straszliwego trzęsienia ziemi i przypomina straszliwą rzeźnię”.

Kolejny numer przynosi niemiecki Komunikat wielkiej głównej kwatery z 12 grudnia: *Opróżnienia Łodzi Moskale dokonali potajemnie, wobec tego bez walki i pierwotnie niepostrzeżenie. Było to tylko wynikiem poprzedniej trzydniowej bitwy, w której Rosyjanie ponieśli okropne straty, zadane szczególnie naszą ciężką artylerią. Rosyjskie rowy strzelnicze napełnione były formalnie trupami. Nigdy jeszcze we wszystkich walkach armii wschodniej, nawet pod Sztymbarkiem (Tannenbergiem), wojska nasze nie kroczyły po tyłu trupach rosyjskich, jak w walkach o Łódź, Łowicz i w ogóle między Pabianicami a Wisłą.*

Pomimo tego, że byliśmy atakującymi, straty nasze pozostały daleko wstecz poza rosyjskimi. I tak w przeciwieństwie do Moskali, straciliśmy stosunkowo mało poległych. Podczas znanego przebiecia naszego 25 korpusu rezerwy, poległo z tej części armii tylko 120 chłopca. (...) Znamiennie wobec tego na stosunek nieprzyjaciela przemawia, że na jedynym wzgórzu, na południe Złutomierza i zachód Łodzi, znaleziono i pogrzebano nie mniej jak 887 zabitych.

Warto przytoczyć z tego samego numeru to, co rosyjski sztab generalny miał do powiedzenia o zajęciu Łodzi. Niemiecki urzędowy komunikat powiada, że Rosyjscy opuścili Łódź poniesli straszne straty. Wiarygodność tego komunikatu wynika choćby z tego, że wojska rosyjskie opuściły Łódź dnia 6 grudnia, a wojska niemieckie czekały przez godzin 15 przed opróżnionymi naszymi okopami. Nasze ataki oplacili Niemcy tak silnymi stratami, że stracili animusz do dalszego postępowania. Niemcy przekonawszy się, że nie mają nieprzyjaciela przed sobą, wkroczyli do miasta. Przy zmianie naszych pozycji nie straciliśmy ani jednego żołnierza. Manewry wykonaliśmy osiągnąwszy pewność, że Niemcy w tym rejonie nie będą atakować. Nasz manewr odbył się szczęśliwie bez wszelkich przeszkód ze strony nieprzyjaciela.

Jeśli ktoś zdołał się przedrzeć przez ten gąszcz cytatów, nie gubiąc przy tym ich zasadniczego sensu, musi dojść do słusznego wniosku, że operacja łódzka zakończyła się remisem ze wskazaniem na Niemców. Front zatrzymał się do maja roku następnego.

Operacja łódzka była jedną z największych bitew I wojny. I pozostała na bardzo długie lata „białą plamą”. Bitwa u czterech rzek – Pilicy, Warty, Bzury i Rawki – zgromadziła łącznie około 600 tys. żołnierzy. Zginął co trzeci... To tu po raz pierwszy w froncie wschodnim zastosowano samochody pancerne, a pod Bolimowem Niemcy użyli broni gazowej.

Ranny w nogę szeregowy Bolesław Morawski przebywał prawie dwa miesiące w łódzkim szpitalu. W tym czasie jego dywizja stoczyła kilkunastodniowy krwawy bój pod Rawką. Po tem została odesłana do Galicji.

Po rekonwalescencji dostał przydział do batalionu zapasowego 61 pułku piechoty i awansowany na kaprala. Wojnę kończy jako podporucznik niemieckiej armii. Od sierpnia 1920 roku służy w tym samym stopniu w Wojsku Polskim.

5.

Od 1931 roku do wybuchu wojny kapitan Bolesław Morawski był zastępcą komendanta Powiatowej Komendy Uzupelnień (po 1938 r. Komendy Rejonu Uzupelnień) i zarazem garnizonu Wierzbnik. Obecnie to część Starachowic. Wydawało się, że poszukiwanie jego śladów po ponad 70 latach bezcelowe. Jednak mam szczęście.

Trafiam do Szymona Snopczyńskiego. Z rozmowy telefonicznej przeprowadzonej 26 lutego 2012.

Miałem trzy lata, gdy wybuchła wojna. Kapitana Morawskiego nie pamiętam, to co o nim wiem, pochodzi z opowieści rodziców i pamiętnika ojca.

Morawski z żoną wynajmował pokoje w domu, będącym własnością moich rodziców, przy ówczesnej ulicy Słowackiego, w czasie okupacji Północnej, a dziś Armii Krajowej. Budynek był duży, 180 m kw. powierzchni użytkowej, a kupił go od nadleśnictwa mój dziadek. W sumie Morawscy zajmowali ponad połowę domu.

Jako zastępca komendanta na powiat ilżecki pan Morawski miał do dyspozycji ordynansa i adiutanta, którzy z nim mieszkali. Adiutant dbał o mundur, nosił za oficerem teczkę z dokumentami,

bo ten musiał mieć możliwość oddawania honorów. Ordynans palił w piecu, etc.

Morawski poszedł na wojnę i nie wrócił. Podobno zginął w Kozielsku.

Bardzo zaintrygowała mnie dalsza opowieść pana Szymona: *Kiedy po skończonych działaniach wojennych mieliśmy możliwość powrotu do naszego domu, oglądałem gabinet kapitana. Miał swój pokój na poddaszu. Moją uwagę zwróciło to, że były tam pamiątki pochodzące prawdopodobnie z Afryki. Tarcza wyrobiona z grubej skóry, może słonia lub nosorożca, dzida, rogi antylopy i luk. Ten był niekompletny, bo pozbawiony cięciwy.*

Skąd to egzotyczne wyposażenie gabinetu? Może trop prowadzi do siostry Stefanii, która z mężem Horstem przebywała w latach 30. w Indiach? Przed wybuchem wojny przyjechała z mężem na wakacje do Polski. Ale zdaniem pana Szymona, te przedmioty były charakterystyczne dla Afryki. Czy obraz zapamiętany przez kilkuletniego chłopca może być dowodem? A dlaczego by nie...

Do dziś przechowuję kilka rzeczy, jakie pozostały po kapitanie – dodaje pan Szymon. - To prawidła do butów oficerskich; urządzenie służące do rozciągania czapki, prawdopodobnie zrobione dla Morawskiego przez mojego ojca; i jeszcze tzw. pies, do ściągania butów oficerskich. I zdjęcie Morawskiego w mundurze przed jakimś pomnikiem. Pan rozszyfrował, że to w Zakopanem, w sanatorium?

6.

7 czerwca 1938 roku major Lucjan Jan Trzebiński, komendant Powiatowej Komendy Uzupełnień w Wierzbniku, składa wniosek o nadanie swojemu zastępcy, kapitanowi Morawskiemu, Srebrnego Krzyża Zasługi. Współpracują ze sobą od 5,5 roku. Major tak scharakteryzował kapitana: *odznacza się bardzo dużą pracowitością, inicjatywą, a poza tym dużym taktem i lojalnością wobec przełożonych.* Można powiedzieć, nic nadzwyczajnego. Typowe uzasadnienie. Ale jest coś jeszcze. Major dodał, że Morawski po zdemobilizowaniu z armii niemieckiej w listopadzie 1918 roku, wrócił w rodzinne strony, czyli na Powiśle. Działal w *polskich organizacjach w Prusach Wschodnich* oraz brał udział w akcjach plebiscytowych po stronie polskiej w powiatach sztumskim, malborskim i kwidzyńskim. Po przegranym plebiscycie - na skutek szykan niemieckich związanych z tą działalnością - wyjechał do Polski. 18 sierpnia 1920 r. został przyjęty do 361 Pułku Piechoty w Poznaniu.

Szczegółów zaangażowania Bolesława Morawskiego w działania plebiscytowe nie znamy. Do tej pory nikt nawet nie wspominał o tej jego roli, choć wiadomo było, że ojciec Feliks oraz siostry Aleksandra i Stefania były członkiniami Warmińskiego Komitetu Plebiscytowego, mającego siedzibę w Kwidzynie.

Udział Bolesława w agitacji po stronie polskiej miał - prawdopodobnie - wymiar militarny. Być może należał do Lotnych Oddziałów Bojowych, polskich bojówek, stworzonych i kierowanych przez oficerów wywiadu, popularnej „dwójki”, czyli Oddziału II Sztabu Generalnego. Dlatego on, zdemobilizowany podporucznik armii niemieckiej, po przegranym przez polską stronę głosowaniu, mógł obawiać się procesu o zdradę stanu, jaki wytoczą mu triumfują

ce władze niemieckie.

Po przegranych plebiscycie wielu polskich działaczy obawiając się niemieckich represji postanowiło wyemigrować do Polski – pisze Adam Szymanowicz. Znaczna część z nich zasilila szeregi powstałego w lipcu 1920 roku ochotniczego pułku mazursko-warmińskiego. Został on utworzony na podstawie rozkazu Ministra Spraw Wojskowych i składał się wyłącznie z żołnierzy pochodzących z terenów plebiscytowych. Jego dowódcą został kapitan Jan Niemiński. Pułk ten nie przetrwał jednak nawet do końca 1920 roku.

Bolesław Morawski wyjechał do Polski, do Poznania. Nie uczyniła tego reszta rodziny, zaangażowana w plebiscyt, a w następnych latach podpora ruchu polonijnego.

Fakt, iż Morawski szybko znalazł się w Wojsku Polskim, potem w ciągu dwóch lat awansował do stopnia kapitana, wydaje się znaczący.



Bolesław Morawski w Zakopanem, fot. archiwum

Jan Chłosta

SZKOŁĘ TĘ WIDZIAŁ UŻYTECZNĄ...

Nikt nie może temu zaprzeczyć, że doktor Władysław Gębik był twórcą Polskiego Gimnazjum w Kwidzynie. Najpierw w gronie nauczycieli takiej samej szkoły w Bytomiu brał udział w długich rozmowach o kształcie polskiej szkoły średniej w Niemczech, a w połowie lat trzydziestych został mianowany dyrektorem mającego powstać w Prusach Wschodnich gimnazjum. Uczestniczył więc we wszystkich etapach powstawania tej niezwyklej szkoły. Jej budowa raz po raz była przerywana. Władze niemieckie wciąż wprowadzały różnego rodzaju utrudnienia. Żądały niekiedy wykluczających się ekspertyz budowlanych. Czyniły wszystko, nawet po wzniesieniu gmachu, aby nie doszło do jej otwarcia. Jednak twarde i nieprzejednane stanowisko hitlerowców można było skruszyć przez zastosowanie retorsji wobec istniejących niemieckich szkół średnich w Polsce. Stąd groźba zamknięcia dwóch gimnazjów: w Bydgoszczy i Grudziądzu, otworzyła przed 75 laty, 10 listopada 1937 roku Polskie Gimnazjum w Kwidzynie¹. Od początku gimnazjum było „solą oku” Niemców. Próbowali różnymi sposobami ograniczać oddziaływanie szkoły na miejscowych Polaków.



dr Władysław Gębik, fot. arch.rodzinne

1

Obejmując kierownictwo szkoły w Kwidzynie Władysław Gębik był więc do tej roli wszechstronnie przygotowany. Należał obok Edwarda Szweda, Stanisława Olejniczaka, Jana Smolenia, Witolda Przybylskiego, Edmunda Maćkowiaka i Jerzego Luboisa do najbardziej aktywnych bytomskich nauczycieli w rozmowach o modelu polskiej szkoły średniej w Niemczech. Miał za sobą pracę w katowickim gimnazjum oraz krótkie zastępcze dyrektorowanie w otwartej jeszcze w 1932 roku polskiej szkole średniej w Bytomiu². Wiedział na pewno o kształceniu młodzieży na obczyźnie więcej niż działacze berlińskiej centrali Związku Polaków w Niemczech oraz urzędnicy Poselstwa Polskiego w Berlinie. Przez to do przedstawionych założeń i celów polskiej szkoły pod szyldem Koła Polskich Profesorów z Bytomia na konferencji 8 października 1935 roku w Opolu urzędnicy nie wiele mogli dodać. Tamte propozycje sprowadzały się one do:

1. Przygotowania kadr inteligencji i wartościowych pracowników w służbie społeczeństwa

¹ J. Chłosta, *Ideale wychowawcze polskiej szkoły średniej w Niemczech na przykładzie Polskiego Gimnazjum w Kwidzynie (1937-1939)*, w: *Świadomość i edukacja historyczna. Studia i Materiały Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Olsztynie* nr 28, 1991, s. 107-108.

² Tenże, *Warmiak z Podhala, Władysław Gębik pedagog, folklorysta, literat, Olsztyn, 2006*, s. 30.

- polskiego;
2. Przygotowania obrońców i krzewicieli języka i kultury polskiej, godnych reprezentantów polskości wśród Niemców przez zaprawianie młodzieży do systematycznej i bezkompromisowej walki o prawa mniejszości polskiej;
 3. Wychowania typu Polaka – o ugruntowanej idei jedności narodowej, która nie zna granic, tępiąc dzielnicowość i uprzedzenia, rozwijając dumę narodową i honor polski. Inicjatywa, zmysł organizatorski, energia, silna wola, ofiarność, rzetelność, umiejętność i zamiłowanie do pracy, zdyscyplinowanie i karność wewnętrzna – stają się podstawami życia społecznego;
 4. Kształcenia szlachetnych uczuć rodzinnych, dając możliwość częstego zetknięcia się uczniów z domem, zespolenie Polskiego Gimnazjum z rodziną i z całym społeczeństwem, budząc w nim troskę o dalszy rozwój szkolnictwa polskiego i oświaty polskiej w Niemczech.

Cele te zamierzano osiągnąć przez: dbanie o należyty dobór uczniów, przysposabianie młodzieży do czekających ją zadań i praktycznych funkcji w życiu późniejszym oraz nauki, otoczenie specjalną opieką nielicznej grupy przywódców; przepojenie całego życia gimnazjum i bursy zasadami polskiego wychowanie ideowo-politycznego³.

Początkowo zarówno centrala Związku Polaków, ani Poselstwo w Berlinie nie chciały je uznać za wiążące. Przypuszczam, że chodziło w tym wypadku bardziej o sprawy prestiżowe, bo tamtą konferencję w Opolu zwołano wszak z inspiracji nauczycieli z Bytomia w uzgodnieniu z konsulem RP w Opolu. a nie przez instancje do tego jakby z urzędu uprawnione. W końcu jednak przychyliły się do tych zasad, podkreślając, że na wszystkich nauczycielach szkoły ciążył obowiązek realizowania tych celów.

2

Trzy lata przed otwarciem nowej szkoły w bytomskim gimnazjum były przygotowywane dwie klasy do przeniesienia do Kwidzyna. Utworzono je w tajemnicy przed Niemcami, lecz potocznie określano jako „kwidzyńskie”. Chociaż bytomskie gimnazjum miało profil staroklasyczny, natomiast kwidzyńskie przyjęło matematyczno-przyrodniczy, to programowo pierwsze lata nie różniły się między sobą. Tak więc dwa dni przed otwarciem szkoły: „osiemdziesięciu „kwidzyniaków” załadowało się do specjalnych wagonów, które zawiozły ich do Kwidzyna. Towarzyszyło im dwóch profesorów bytomskiego gimnazjum: Alfons Ratajczak – romanista, obywatel niemiecki, pochodzący z emigracji westfalskiej oraz Wincenty Kowal – filolog, obywatel polski, urodzony na Górnym Śląsku. Obaj jechali z Bytomia na nowe stanowiska, jako pierwsza załoga nauczycielska polskiego gimnazjum w Kwidzynie.”⁴

Nowo zbudowany gmach Polskiego Gimnazjum w Kwidzynie prezentował się okazałe. Stanowił w tamtym czasie jeden z najlepiej wyposażonych zakładów wychowawczych

³ Archiwum Archidiecezji Warmińskiej w Olsztynie [dalej AAWO], sygn. AB H 309 1/3/27/1a. A. Borowik [W. Gębik], Pamiętnik wychowawcy [maszynopis], s. 27. Por. W. Gębik, *Burzom dziejów nie dali się zgnieść*, Gdynia, 1967, s. 95.

⁴ W. Gębik, *Burzom dziejów*, op. cit. s. 73.

w Prusach Wschodnich. Koszt budowy i wyposażenia sięgnął miliona marek. Wzniesiono go w kształcie podkowy. Skrzydło budynku, znajdujące się przy obecnej ulicy Gimnazjalnej (wtedy Zitzlafstrasse) przeznaczone było na dziewięć sal wykładowych, drugie – od ulicy noszącej dziś imię ks. Konarskiego (wówczas Dousstrasse) – na internat, a trzecie skrzydło podkowy skierowane w głąb ogrodu i podwórza zawierało pomieszczenia pomocnicze jak: kuchnia, jadalnia umywalnia, sale gimnastyczne. Tam też znajdowała się z oddzielnym wejściem sala Rodła, stanowiąca jednocześnie salę teatralną i kinową. W gimnazjum nie było kaplicy. Dyrektor szkoły nie chciał uczynić ze szkoły polskiej zamkniętego getta, przeznaczonego wyłącznie dla Polaków. Z tego powodu władze niemieckie musiały zezwolić na przemarsz młodzieży w każdą niedzielę do kościoła katolickiego, znajdującego się w drugim końcu miasta, co przynosiło dodatkowe wartości wychowawcze.

A sama uroczystość otwarcia szkoły rozpoczęła się mszą świętą, odprawioną przez prezesa Związku Polaków w Niemczech ks. dr. Bolesława Domańskiego z Zakrzewa w asyście księży: Waclawa Osinińskiego z Olsztyna i Józefa Styp-Rekowskiego pierwszego katechety gimnazjum. Następnie w Sali Rodła zebrali się goście i młodzież. Wówczas ks. Domański powiedział: *Gimnazjum nasze jest dziełem ludu polskiego. Ale jest zarazem dumą całego narodu polskiego. Starzy i młodzi, bogaci i ubodzy, robotnicy i rzemieślnicy, wszyscy kładli cegielkę do cegielki, aż ten gmach mógł wznieść na malborskiej ziemi. Dziełem miłości narodowej, pomnikiem wzajemnej miłości jest ten gmach*⁵. Ważne też były słowa wypowiedziane przez dyrektora szkoły W. Gębik: *Do was zaś uczniowie, pragnę zwrócić się w tej uroczystej chwili z apelem, abyście swych zachowaniem postęпами w nauce przynieśli temu zakładowi zaszczyt i honor. Macie pracę i tylko pracą udowodnić, iż jesteście godnymi reprezentantami tej nowej uczelni. Pamiętajcie o troskach swych rodziców, którzy często odejmując sobie od ust, aby dopomóc wam do zdobycia wykształcenia, macie zachować dla nich miłość i szacunek na całe życie. Społeczeństwu polskiemu, które umożliwiło wam kształcenie się w tym zakładzie, macie być wdzięczni i ten dług wdzięczności spłacić w przyszłości swą pracą, świecąc przykładem dla wszystkich pokoleń.*⁶

Obowiązujące w Prusach Wschodnich ustawodawstwo szkolne sytuowało Władysława Gębika zarówno jako dyrektora oraz koncesjonariusza szkoły. Na Śląsku koncesjonariuszem była instytucja, a więc Związek Polskich Towarzystw Szkolnych w Niemczech, a tutaj osoba fizyczna. Ta odmienna sytuacja wymagała od dyrektora nadzwyczajnej ostrożności i umiejętności w prowadzeniu szkoły. W razie cofnięcia Gębikowi koncesji, władze niemieckie mogły od razu zamknąć szkołę. Łączenie tych dwóch funkcji sprzyjało jednak w wypracowaniu jednolitego programu wychowawczo-dydaktycznego. Uczestniczyli w nim zarówno nauczyciele jak i personel pomocniczy. Dotyczyło to umiejętności opanowania i wykorzystania nieprzeciętnych zdolności zespołu nauczycieli w pracy pozalekcyjnej, zacieśniania związków szkoły z domem rodzicielskim uczniów, przyjęcie jednolitego sposobu postępowania nauczycieli i uczniów w zetknięciu z przedstawicielami władz niemieckich, stworzenia poczucia odpowiedzialności za szkołę, nade wszystko godnego reprezentowania kultury polskiej w kontaktach ze społeczeństwem niemieckim, wreszcie ułożenia współpracy gimnazjum z organizacjami polskimi w Niemczech, takimi jak Związek Polaków w Niem-

⁵ Pomnik wzajemnej miłości. Polskie Gimnazjum w Kwidzynie. Przemówienie księdza Patrona Bolesława Domańskiego, Olsztyn, 1938, s. 6.

⁶ Tamże, s. 7.

czech, Polsko-Katolickie Towarzystwo Szkolne na Warmię i oddzielnie na Powiśle oraz z miejscowym Konsulatem RP. Doktor Gębik miał rozległe plany kulturalnego promieniowania szkoły na okolice, jak m. in. stworzenie szatni wypożyczającej stroje teatralne miejscowym zespołom, organizowania wspólnych wieczornic, przedstawień teatralnych, odbywania praktyk w okresie wakacji w instytucjach polskich jak wydawnictwo „Gazety Olsztyńskiej”, Bankach Ludowych, Spółdzielni Rolniczo-Handlowej „Rolnik”.

Warunki do pracy i nauki były w Kwidzynie idealne. Szkoła została wyposażona w najbardziej nowoczesne urządzenia i pomoce naukowe, które pozwalały na prowadzenie nauczania na najwyższym poziomie, ale pozwalały także na budzenie zainteresowań uczniów, wykraczających poza program szkolny. Wszyscy uczniowie mieszkali w internacie, co eliminowało uboczne i niekontrolowane wpływy z zewnątrz. Jeden tor biegł przez pomieszczenia szkoły, podlegający kontroli niemieckiego wizytatora, a drugi – nie wychodził poza budynek internatu. Internat był traktowany jako prywatny dom i zgodnie z konstytucją III Rzeszy wkroczenie do niego wymagało, nawet od policji, nakazu prokuratora. Już 8 lutego 1938 roku doszło do utworzenia towarzystwa pod nazwą „Bursa”, którego celem było „utrzymanie i prowadzenie na zasadach użyteczności publicznej bursy dla uczniów prywatnej szkoły z planem wyższej uczelni i polskim językiem nauczania.” W skład towarzystwa weszli działacze spod znaku Rodła z terenu Prus Wschodnich: Kazimierz Donimirski, Józef Zblewski, Franciszek Wojciechowski, Alfons Ratajczak, Feliks Nowakowski, Stefan Różycki, Juliusz Malewski, Stefan Szczepaniak, Bolesław Osiński, Jan Fischer, dr Franciszek Gabriel, Leon Kaczor, Jan Lewandowski, Kazimierz Pietrzak.⁷

Uczniowie gimnazjum pochodzili ze wszystkich pięciu dzielnic Związku Polaków w Niemczech. Ponad 90 procent chłopców wywodziło się ze sfer raczej ubogich, a więc robotniczych i małorolnych. Na 162 uczniów w drugim roku nauki tylko dwóch było synami właścicieli ziemskich, ośmiu pochodziło z rodzin urzędniczych. Rozpiętość wieku sięgała od 9 do 20 lat. Do Kwidzyna, jak napisałem, przybyła też grupa Ślązaków. Chociaż na miejscu mieli Bytom, ale kierownictwu szkoły chodziło o wypełnienie założeń wychowawczych w zakresie integracji kulturalnej i jednolitego wychowania Polaków bez uprzedzeń dzielnicowych. Ze Śląska było 16 uczniów, z Berlina i okolic – 17, z Westfalii – 38, z Prus Wschodnich – 26 i Pogranicza aż 66 uczniów⁸. Natomiast grono nauczycielskie składało się z 13 osób. Aż pięciu z nich posiadało obywatelstwo niemieckie. Dwaj nauczyciele mieli domy rodzinne w Westfalii, jeden na Pograniczu, trzech wywodziło się ze Śląska, z Pomorza, z Małopolski i jeden z Warszawy. Zakładano, że ich pochodzenie sprzyjać będzie w prawidłowym przebiegu procesów integracyjnych młodzieży.

3

Od początku w Kwidzynie przesłanie o wychowaniu Polaka mądrego przed szkodą miało nadzwyczaj ważne konotacje. Łączyło się ono z obecnością Polaków w III Rzeszy, z ich trwaniem w kulturze i obyczaju przodków, mimo wciąż postępującej germanizacji. Z tego powodu w założeniach pojawiało się wciąż nawiązanie do Pięciu Prawd Polaków, uchwalo-

⁷ Archiwum Akt Nowych w Warszawie [dalej AAN] Konsulat RP w Kwidzynie, sygn. 3670, k. 73 Utworzenie „Bursy”.

⁸ W. Gębik, *Burzom dziejów*, op. cit. s. 103; Por. AAN. Sygn. 3760, k.236 Pismo Konsulatu RP w Kwidzynie do Ambasady RP w Berlinie z 30 IV 1938 r. stwierdzające, że w gimnazjum znajduje się 162 chłopców.

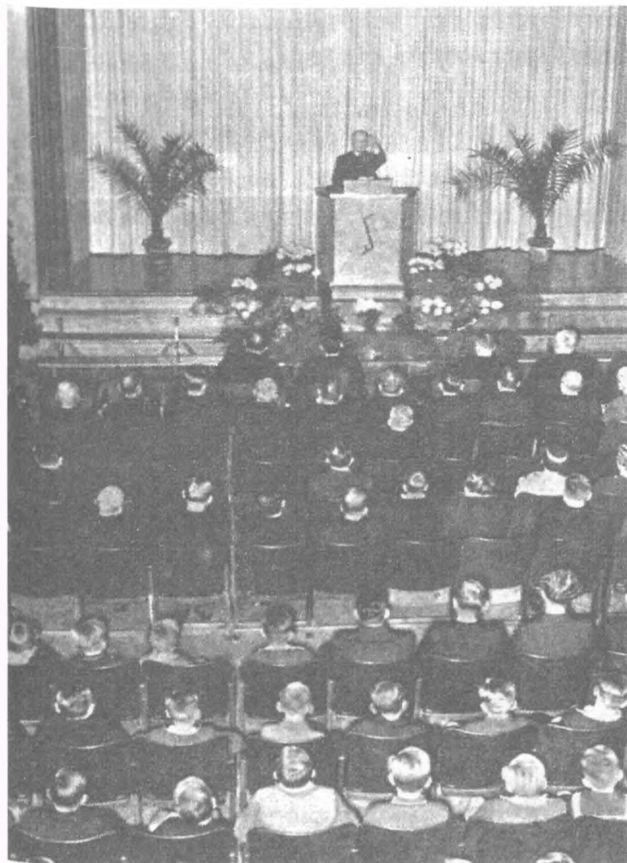
nych na pamiętnym Kongresie w Berlinie. A zawołanie o Polaku mądrym przed szkodą pojawiło się w związku z tylko co wydanym opracowaniem Niemca Kurta Luecka „Der Mythos vom Deutschen In der Volkslieferung und Literatur”, w którym wiele razy zostało wyeksponowane stwierdzenie, że Polak przed szkodą i po szkodzie jest głupi... Jak mi po latach Władysław Gębik opowiadał: *Bardzo mocno przeżyłem to obraźliwe dla nas spostrzeżenie i postanowiłem odwołać się do Jana Kochanowskiego, który cztery wieki przed tym w „Pieśni o pustoszeniu Podola” zawarł ostrzeżenie:*

*Cieszy mnie rytm ten,
Polak mądry po szkodzie,
Lecz jeśli prawda i z tego nas zbodzie
Nową przypowieść Polak sobie kupi,
Że i przed szkoda i po szkodzie głupi.*

Właściwie nikt z Polaków nie wyciągnął z tego żadnych wniosków. Jedynie Niemcy wykorzystali ją przeciwko nam. Stąd Gębik wskazując na potrzeby wychowania „Polaka mądrego przed szkodą” dokonywał najpierw analizy pierwszego ogniwa tego procesu, jaką była przeszłość. Postrzegał, że szkoła wówczas, a niekiedy jeszcze i teraz, mało przygotowywała uczniów do życia w społeczeństwie i wyposażenia młodych ludzi w umiejętności oraz sprawności niezbędnych w dorosłym życiu, poruszania się w kontaktach z innymi. W sytuacji Polaków w Niemczech kwestia ta była jeszcze bardziej złożona. Brakowało tu przede wszystkim wykształconych Polaków. Pisał Gębik: *pragnęliśmy bowiem dać w miarę możliwości społeczeństwu polskiemu w Niemczech absolwentów dobrze przygotowanych do trudnych zadań, jakie postawi przed nimi życie po opuszczeniu szkoły.*⁹ Polska szkoła w Niemczech nie mogła być gorsza od niemieckiej. Szkołę tę widział zawsze użyteczną. Miała ona zapewnić uczniom więcej korzyści niż jakakolwiek inna. Często powtarzano nie tylko na lekcjach opinię, że uczymy się dla szkoły, lecz dla siebie. Wypełnianie jednak kwidzyńskich założeń nie ograniczało się do nauczania. Obejmowało ono także zajęcia pozalekcyjne. W Kwidzynie właśnie działalność wszystkich organizacji młodzieżowych została potraktowana jako szkoła przysposobienia życiowego. Trzeba było zadbać o ich harmonijnie współdziałanie oraz podporządkowanie ogólnemu planowi wychowawczemu. Szczególna rola przypadła trzem organizacjom uczniowskim: Spółdzielni Kwidzyniaków, harcerstwu i Związkowi Kwidzyniaków.

Podstawowym założeniem Spółdzielni Kwidzyniaków było wprowadzenie uczniów w zasady spółdzielczości. Założenie spółdzielca jest służą swego społeczeństwa zyskało tutaj wyjątkowe potwierdzenie. Na początku spółdzielnia zaopatrywała uczniów w przybory szkolne. Miała dwa wydziały: towarowy i bankowy. Pierwszy z nich, podobnie jak w gimnazjum bytomskim, ograniczył się do prowadzenia sklepiku szkolnego, a drugi stanowił namiastkę banku, w którym zarejestrowane zostały oszczędności uczniowskie i wszelkie pieniądze, jakie uczniom przekazywali rodzice do Kwidzyna na ich własne potrzeby. Wypełniano tym samym jeden z celów szkoły o współdziałaniu z domem rodzicielskim, a poza

⁹ AAWO. AB H 309 H 309 1/3/27/1a, Andrzej Borowik [W. Gębik], *Z pamiętnika wychowawcy*, op. cit. s. 29.



Uroczystość otwarcia gimnazjum w Sali Rodła

pożyczek, ale wszystko odbywało się tak jak w prawdziwym banku, a zatem oparte było na prawie wekslowym. Bardzo skrupulatnie przestrzegano terminy płatności. Odmienne były tylko formy podejmowania gotówki, bo uczeń musiał uzyskać zgodę wychowawcy na zamierzony zakup. Po jakimś czasie wprowadzono w Banku Kwidzyniaków obrót bezgotówkowy. Związane to było z utworzeniem nowych agend uczniowskiej spółdzielni. Powstały więc wydziały: księgarski i zakładania bibliotek, filatelistyczny z wymianą znaczków nawet z zagranicą, wydziały pracy podzielone na sekcje: warsztatową i fotograficzną, intrologatorką, drukarską, wydawniczą i prac artystycznych, fryzjerską oraz sekcje maszyn do pisania. Prowadzone przez uczniów wydziały świadczyły usługi swoim kolegom za stosunkowo niewielkie opłaty. Uruchomiona została też wypożyczalnia rowerów, łyżew, aparatów fotograficznych. Po upływie jakiegoś czasu sprzęt sprzedawano uczniom na dogodnych ratach.

Nośnikiem treści ideowo-patriotycznych było harcerstwo. Miało ono ważny wpływ moralno-wychowawczy na życie szkoły, zwłaszcza, że każdy uczeń kwidzyńskiego gimnazjum był członkiem Związku Harcerstwa Polskiego w Niemczech. Dzięki temu można było w sposób naturalny rozwijać m. in. na zajęciach pozalekcyjnych rozumienie znaczenia Pięciu Prawd Związku Polaków w Niemczech. W przypadku pierwszej Prawdy: „Jesteśmy Polakami! – przypomniano Kwidzyniakom, że samo przyznanie się do polskości lub jedynie

¹⁰ W. Brzeziński, *O ojców mowę*, Kolobrzeg, 2003, s. 78.

tym każdy uczeń został wprowadzony w system w miarę rozsądnej gospodarki posiadanymi środkami. Bank Kwidzyniaków stanowił jednostkę podporządkowaną Bankowi Ludowemu, prowadzonemu w Sztumie i Kwidzynie przez Jana Fischera. Stał się obok samego gimnazjum, podstawowym klientem zespołowym i filarem Banku Ludowego w Kwidzynie. Wypowiadał się na ten temat na sejmiku spółdzielni polskich w Niemczech, który odbył się 15 grudnia 1938 roku we Wrocławiu wówczas kierujący Bankiem Kwidzyniaków uczeń Władysław Brzeziński¹⁰. Wówczas też kwidzyńską placówkę uczniowską przyjęto w poczet Związku Spółdzielni Polski w Niemczech. Z czasem w Banku Kwidzyniaków wyodrębniono dwa oddziały: kredytowy i oszczędnościowy. Bank udzielał z reguły tylko krótkoterminowych

posługiwanie się językiem polskim nie wystarczy; prawda ta zachęcała do jeszcze głębszego poznawania polskiej kultury i historii, rozumienia pojęcia ojczyzny.

Jeszcze szersze uzasadnienia pozyskała w Kwidzynie Prawda druga: „Wiara Ojców naszych jest wiarą naszych dzieci!” – W tym przypadku W. Gębik jako autor opracowania „Wiara Ojców”, rozwinął cztery elementy tej wiary. Dotyczyły one: wiary świętej religijnej, ale też wiary w ideały społeczne i narodowe z podkreśleniem wierności treściom pomieszczonym w pieśniach, legendach o ziemi rodzimej, w zwyczajach i obyczajach przekazywanych z pokolenia na pokolenie i wzbogacanych stale własną twórczością, poza tym również – wiary we własne siły i ily narodu.¹¹

W Kwidzynie często przypominano o świadomej obecności Polaków w państwie niemieckim, udziale w wyborach parlamentarnych, w walce o utrzymanie języka polskiego w kościele, obronie polskich szkół, otwartych w 1929 roku, podkreślano potrzebę tworzenia wspólnoty, podtrzymania zgody narodowej, ale też kształtowania dbałości w pielęgnowaniu pieśni i zwyczajów, wyróżniających Polaków od innych narodowości, poszerzenie wiadomości o Polsce i języku ojczystym, zwłaszcza, że cześć uczniów niekiedy posługiwała się gwarą.

Kwidziniacy mieli swój hymn. Ze słowami W. Gębika i muzyką nauczyciela tego przedmiotu Leona Kaczora. Pierwsza zwrotka tej trzyzwrotkowej pieśni brzmiała:

*Przeminęły wieki, a myśmy ostali,
Burzom dziejów nie dali się zgnieść,
Sztandar walki, co w ręce Ojcowie nam dali,
To honor i wiara, to cześć.*

Po każdej zwrotce powtarzany był refren:

*Bo takie jest nasze hasło:
Wierzyć w czyn, a nigdy w słowo,
Choćby nam i słońce zgaśło,
Zapalimy je na nowo.*

Uczniowie w różnych formach odtwarzali w Kwidzynie obrzędy ludowe, wywodzące się z różnych regionów. Na wiosnę urządzono topienia Marzanny, potem obchód Sobótki, odbywało się to w przeniesionych z Bytomia godach wiosennych. Wprowadzono osobliwy sąd nad Smętkiem, złym duchem, rzekomo nieprzyjazny Polakom. Zawsze radośnie odtwarzana była Szopka Kwidzyniaków, stwarzającą okazję do zwrócenia uwagi na polski charakter Świąt Bożego Narodzenia, na piękne polskie kolędy. Wystawiono także „Betlejem polskie” Lucjana Rydla oraz „Zemstę” Aleksandra Fredry. Akcentami regionalnymi był wypełniony „Chrzest kwidzyniaków”, któremu podlegał każdy nowy uczeń. Było to nadzwyczaj uroczyste przyjęcie nowych członków do społeczności szkolnej. Odbywał się on w październiku i zawierał w sobie elementy zabawowo-edukacyjne. Przed obliczem Wielkiego Kwidyńa nowi żaczkowie musieli odsiać na pytania z historii Polski i najbliższej okolicy,

¹¹ A. Borowik [W. Gębik] Wiara Ojców, wyd. II, Opole, 1935, s. 3.

następnie zostali pokropieni wodą, przyniesioną z królowej polskich rzek - Wisły. A ci, którzy odpowiadali nie zadawalająco, skazywani byli na pocałunek osła w nos. Uczniowie składali ślubowanie, w którym na zapytanie: jakie są prawdy waszego życia? Przyszli: „Wierzyć w czyn, a nigdy w słowo!” Wszystko miało niezwykłą oprawę. Chłopcy podchodzili trójkami, a Wielki Kwidyń, dotykając ramienia każdego z uczniów ćwiekiem wypowiadał: „Powierzam ci honor i dobre imię Kwidyńianka na całe życie. Bądź mu wierny aż do śmierci!”

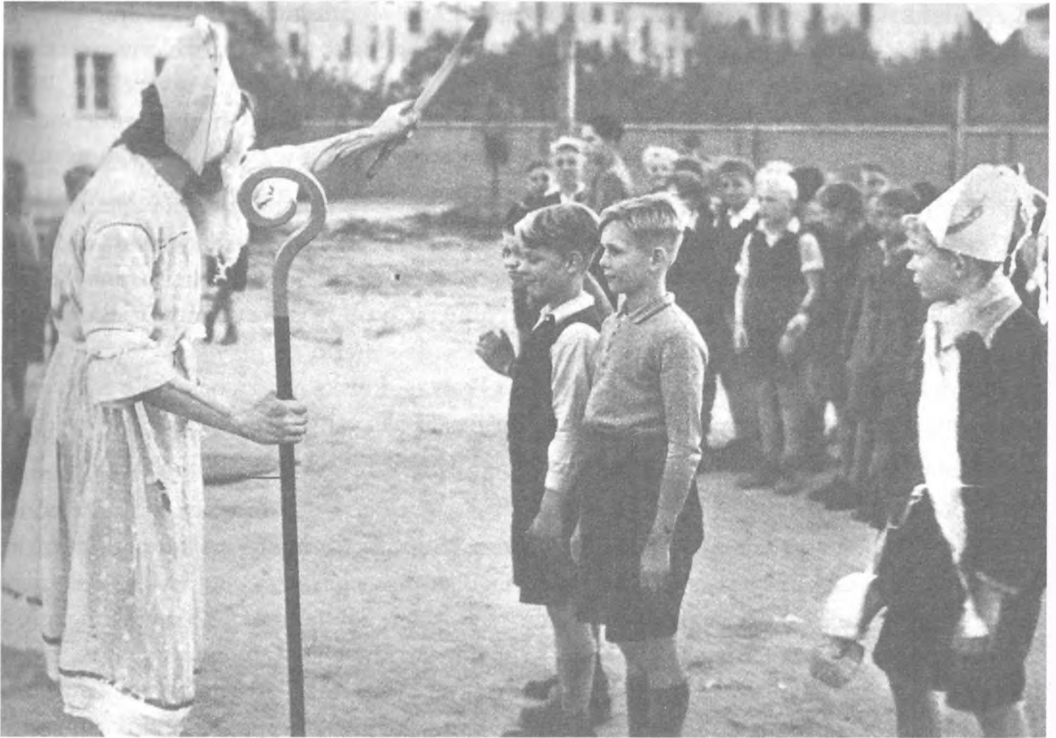
Czwarta Prawda Polaków w Niemczech: Co dzień Polak narodowi służy! została wpisana w obowiązek czynienia dobrych uczynków, tak wyraźnie przecież obecne w prawie harcerskim. Kwidyńiak miał nie tylko od święta pamiętać o obowiązku służby Polakowi, być na co dzień drugiemu Polakowi bratem. W Kwidyńie starano się utrwaląć potrzebę braterstwa między uczniami szkoły. Wreszcie Piąta Prawda: Polska Matką naszą – o Matce nie należy mówić źle! Skłaniała ona do pewnej idealizacji ojczyzny, jako wartości nadrzędnej, której większość uczniów prawie nie znała, ale traktowała Polskę jako rzecz świętą, jak własną Matkę.

Trzeci składnik w procesie wychowawczym kwidyńskiego gimnazjum stanowił Związek Kwidyńiaków. Organizacja ta miała do pewnego stopnia charakter elitarny. Jej zadaniem było przygotowanie kadry przyszłych działaczy polskich w Niemczech. Skupiała uczniów wyróżniających się zaletami takimi jak: bystrość umysłu i szybka orientacja, duża zręczność fizyczna i odwaga, zdolność dochowania tajemnicy, pracowitość, ofiarność i prawdomówność, zamiłowanie do nauki, ale też sprawność organizacyjna i okazywane praktyczne zainteresowanie społeczne. W tych ramach powołane zostały dwa kręgi: pierwszy poufny, ale nie chroniony żadną tajemnicą, nazwany Kręgiem Przyjaciół Pracy, skupiający blisko pół setki uczniów oraz drugi, ściśle tajny, Krąg Przyjaciół Czynu, obejmujący chłopców starszych, właściwie kierowników organizacji uczniowskich.

Zadania członków Kręgu Przyjaciół Pracy sprowadzały się do głębszego poznawania dziejów Polski, jej kultury, wszystkiego co zbliżało młodych do polskości, było zatem ukie-



Bank w Polskim Gimnazjum



Chrzest Kwidziniaków

runkowane na kształcenie patriotyczne. W Kręgu Przyjaciół Czynu natomiast opiekunowie starali się rozwijać samokształcenie oraz organizowanie pomocy młodszym w nauce, udział w przygotowaniu imprez o charakterze ogólnoszkolnym, urządzaniu wycieczek krajoznawczych. Z tego kręgu mieli wyrastać przyszli działacze polskich organizacji w Niemczech.

X

Gimnazjum Polskie w Kwidzynie istniało zaledwie 22 miesiące. Przez to nie wszystko co było konkretnym zapisem udało się zrealizować. Jeszcze przed wybuchem II wojny światowej, 25 sierpnia 1939 roku hitlerowcy przerwali w nim naukę. Tego dnia gmach szkoły otoczyło gestapo. Młodzież i nauczyciele wraz z personelem pomocniczym zostali przetransportowani pod eskortą do zakładu dla psychicznie chorych w Tapiawie [obecnie Gwardesk w Obwodzie Kaliningradzkim]. Potem umieszczono ich w niewielkich wsiach Grünhof i Strohbienen bliżej Mierzei Kurońskiej.

Idealy Kwidzyna pozostały w postawach uczniów. Po zwolnieniu z internowania część z nich została wcielona do Wehrmachtu. Zostali zmuszeni do włożenia niemieckiego munduru. O Kwidzynie nie zapomniał Feliks Włodarczak, który po przejściu na stronę aliantów i walczył z Niemcami jako Feliks Kwidyń. Zginął w Normandii¹². Nauczyciele z gimnazjum zostali wtrąceni do obozów koncentracyjnych. Nie wszyscy przetrwali. Ginęli tak jak Polacy z innych ziem.

¹² W. Gębik, Kwidziniacy. Opowieść o młodzieży walczącej, Gdynia, 1965, s. 58.

Marta Chmieleńska

HIERONIM ŻBIKOWSKI - „BANDYTA” Z KRZYŻEM WALECZNYCH

Jak jest zostać wdową w wieku dwudziestu pięciu lat, Janina wie doskonale. To ciężki los, tym bardziej, że mąż nie zginął w wypadku, ale został zabity w wyniku intrygi pracowników Urzędu Bezpieczeństwa. Mając dwadzieścia pięć lat i będąc u progu życia, Janina została wdową i żoną wroga ludu, a wraz z nią „przeklęty” los dzieliły dwie małe córki. Dziś Janina mieszka w Malborku i po 58 latach od tamtych wydarzeń niechętnie mówi o swoich przeżyciach. - *Ja już tak wiele doświadczyłam, że nawet myśleć o tym nie chcę* - mówi. Przez długi czas o mężu – Hieronimie Żbikowskim mówić nie mogła, teraz wymieniają go w książkach historycznych.

WOJENNY ŻYCIORYS

Hieronim Żbikowski urodził się we wsi Bogusze pod Grajewem w ówczesnym województwie białostockim. Gdy wybuchła wojna miał czternaście lat, po pewnym czasie wstąpił do konspiracji, w której pod pseudonimem „Klucz” działał jego ojciec. Ten, kto myśli, że Związek Walki Zbrojnej, a później Armia Krajowa działały tylko w dużych miastach i na Wileńszczyźnie, bardzo mija się z prawdą – ruch oporu powstawał w każdej nawet małej osadzie, gdzie żyli ludzie niegodzący się z życiem pod okupacją. Znane są przypadki aresztowań wśród uczniów małych podlaskich osad za organizowanie się w grupy niepodległościowe. Zapewne podobnie było w okolicach Grajewa. Z czasem w powiecie grajewskim rozpoczęła działalność Związek Walki Zbrojnej pod dowództwem Władysława Świackiego ps. „Sęp”. Nie jest to mały oddziałek, ale silna grupa licząca około 500 ludzi podzielonych na czternaście plutonów, w tym jeden młodzieżowy. Hieronim Żbikowski przyjmuje pseudonim „Celownik” i z czasem werbuje do pracy konspiracyjnej kolejne osoby. W zabudowaniach Żbikowskich w kolonii Łękowo znajduje się magazyn broni i amunicji, z dokumentów sporządzonych przez Urząd Bezpieczeństwa, a znajdujących się w materiałach sprawy Żbikowskiego wiadomo, że zgromadzono tam 1 ckm, 2 rkm, 11 kb dziesięcioprzelotowych, 23 kb, 2 pm, 6 pistoletów, 16 granatów i 2500 sztuk amunicji. Informacje te potwierdzają również zaświadczenia współtowarzyszy broni, które trafiły do Komisji Likwidacyjnej w procesie ujawniania się przez Hieronima w 1947 roku. Hieronim Żbikowski pełni ko-



Hieronim Żbikowski, fot. archiwum rodzinne

lejno funkcje: magazyniera broni w sztabie obwodu, partyzanta w oddziale „Błyskawicy”, a następnie dowódcy drużyny Kedywu w plutonie „Błyskawicy”. W czasie Akcji Burza jest dowódcą drużyny w 5 szwadronie konspiracyjnego 9 Pułku Strzelców Konnych. W tym też czasie brał udział w bitwach rejonie Lisich Nor i Osowa. Odznaczony brązowym Krzyżem Zasługi z Mieczami (maj 1943) i Krzyżem Walecznych (sierpień 1944). W sierpniu 1942 roku awansowany został do stopnia starszego strzelca i ukończył Konspiracyjną Szkołę Podchorążych Inspektoratu III Łomżyńskiego w stopniu kaprała podchorążego.

Gdy w całym kraju trwają aresztowania żołnierzy Armii Krajowej i Żbikowski również zostaje zatrzymany przez Urząd Bezpieczeństwa Publicznego. Po intensywnym śledztwie, prowadzonym między innymi przez funkcjonariuszy NKWD, zostaje wysłany transportem do więzienia w Rawiczu, jednak wraz z kilkoma aresztantami ucieka z konwoju i ukrywa się. Kiedy zostaje ogłoszona amnestia, ujawnia się przed Komisją Likwidacyjną. Mając jednak w pamięci doświadczenia z UB, zataja większość faktów ze swego konspiracyjnego życia i wyjeżdża na Śląsk, gdzie dla zamaskowania swojej działalności wstępuje do Polskiej Partii Robotniczej. 1 listopada 1946 dostaje się do szkoły oficerskiej Wojska Polskiego i uczy się tam do 12 października 1948 r., jednak UB prowadzi już śledztwo w jego sprawie i zostaje ponownie aresztowany w 1948 roku. Wyrokiem Wojskowego Sądu Rejonowego z 12 grudnia 1949 r. zostaje skazany na 8 lat więzienia, wyrok skrócono do 4 lat. Żbikowski osadzony zostaje w więzieniu w Ełku.

„Tak go męczyli w śledztwie, że miał odbite płuco” - wspomina Janina. - „Wypuścili go więc w celu podleczenia się. Dostał przerwę w odbywaniu kary na dwa lata, to był 1950 rok i wtedy poznałam mojego przyszłego męża”.

JANINA BYŁA NAUCZYCIELKĄ

Spotkanie późniejszych małżonków Żbikowskich było zupełnie przypadkowe – Janina uczyła w szkole, a Hieronim pewnego dnia przyszedł usprawiedliwić nieobecność członka rodziny na zajęciach. I to był początek.

„Heniek, bo tak na niego mówiliśmy, był dobrym człowiekiem, oboje byliśmy młodzi on miał dwadzieścia pięć lat, ja - dwadzieścia jeden”.

Trudno się dziwić, że młodzi ludzie postanowili rozpocząć wspólne życie i w 1951 roku zawarli związek małżeński. Niełatwe to były początki, na świat przyszła już pierwsza córka Żbikowskich. Był rok 1952.

Hieronim nie wrócił do więzienia w obawie o swoje zdrowie i życie („Na przesłuchaniach bardzo go skatowali i od razu mówił, że do więzienia nie wróci.”), zaczął się ukrywać w lesie, a z czasem stworzył „grupę przetrwania” złożoną z takich jak on, ludzi poszukiwanych przez Bezpiekę za działalność niepodległościową. Żyli w bunkrach jeszcze z czasów okupacji niemieckiej, a Janina spotykała się z mężem w ścisłej konspiracji.

„Wtedy wszyscy myśleli, że ta nowa władza nie będzie długo, że wybuchnie wojna i Polacy wywalczą sobie niepodległość”.

Grajewo w 1939 znalazło się pod okupacją sowiecką i mieszkającym tam ludziom nikt nie musiał wyjaśniać, jaka jest „czerwona władza”, okolice te zostały zaanektowane przez Związek Radziecki i włączone do Białoruskiej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej. Hieronim i Janina pamiętali sąsiadów wywożonych na Syberię i represje po 1939, nie mieli powodów by uwierzyć w zapewnienia amnestyjne.

SPOTKANIA W LESIE I ŻYCIE W STRACHU

Janina spotykała męża w lesie, jechała pociągiem do umówionej stacji w ustalonym dniu i godzinie, a Hieronim obserwował, czy nikt za nią nie idzie. Krótkie były te wspólne chwile wykradzione ukradkiem okrutnemu losowi. Dziś trudno nam wyobrazić sobie rzeczywistość, w jakiej oboje żyli. My mamy prawników, Konstytucję, paragrafy, a w tamtym powojennym czasie niczego nie można było być pewnym. Dopiero po wielu latach, gdy syn Janiny z drugiego małżeństwa dotarł do dokumentów w Instytucie Pamięci Narodowej okazało się, że wrogów miała Janina nawet wśród najbliższej rodziny. W tych samych dokumentach są informacje o tym, że Bezpieka bardzo obawiała się grupy Żbikowskiego i podjęła zakrojone na szeroką skalę czynności operacyjne. W tym czasie podziemie niepodległościowe było już w zasadzie zlikwidowane, więzienia pękały w szwach, zamordowani zostali dowódcy oddziałów leśnych, w takiej sytuacji informacje o istniejącej w terenie grupie mocno zaniepokoiły „władzę ludową”. Grupa Żbikowskiego przyjęła nazwę Polska Armia Wyzwoleńcza. Miało to zapewne związek z organizacją o tej samej nazwie, która funkcjonowała w okresie od jesieni 1939 do 1940 r. jeszcze pod okupacją sowiecką na tych terenach. Od wiosny 1952 r. do połowy 1954 r., liczący około 10 osób oddział, dokonuje wielokrotnych rekwizycji pieniędzy w instytucjach państwowych oraz zdobywa broń. W celu wysledzenia i zlikwidowania oddziału Hieronima Żbikowskiego w Wojewódzkim Urzędzie Bezpieczeństwa Publicznego w Białymstoku powołano międzyresortową grupę złożoną z milicjantów i funkcjonariuszy UB. W takich warunkach żyła młoda mężatka z małym dzieckiem, a wkrótce na świat przyszła druga córka.

Kiedyś przyjechał mój brat z Pomorza, był wysoki i wydawał się chyba podobny do Heńka. UB zablokowało całą ulicę i zrobiło oblawę. Weszli w nocy do mieszkania, nocowała u mnie mama, bo miałam niedługo rodzić” – wspomina Janina. - „Otworzyłam oczy i zobaczyłam łeb psa stojącego nade mną, tak bardzo się wystraszyłam, że zaczęłam się trząść... to ten ubek mnie uspokajał, a ja nie mogłam dojść do siebie... Na szczęście udało się wszystko wyjaśnić i nic złego nikomu się nie stało, ale przesiedzieliśmy na posterunku kilka godzin.

Oczywiście o jakiegokolwiek pracy nie było już mowy, Janina została wyrzucona z pracy i nie miała z czego żyć. Pomagali jej rodzice i rodzeństwo, tuż po urodzeniu najmłodszej córki „władza” chciała wyrzucić ją z mieszkania. Przyszedł milicjant i zaczął się ze mna szarpać, a ja miałam małe dziecko, zaczęłam krwawić i mnie zostawili w spokoju. Później udało mi się zostać w tym mieszkaniu, dostałam na nie przydział - mówi kobieta.

Kiedy represje były bardzo silne, Hieronim zaproponował żonie fikcyjny rozwód po to, aby UB dało spokój Janinie i dzieciom.

Heniek miał rodzinę w Ameryce i liczył na to, że przejdzie przez zieloną granicę i wyjedzie na Za-

Warszawa, dnia 30.XII.1965 r.

Z A Ś W I A D C Z E N I E

Niniejszym stwierdzam, że s.p. ŻBIKOWSKI HIERONIM, s. Władysława, ur. 3.I.1925r., pseudonim "CELOWNIK", wykształcenie tajny kurs w zakresie szkoły średniej, był żołnierzem w szeregach Armii Krajowej w okresie okupacji hitlerowskiej, na terenie Okręgu Białostockiego, obwód grajewski, pełniąc stopniowo funkcję:

- magazyniera broni w sztabie obwodu,
- partyzanta w oddziale partyzanckim "BŁYSKAWICY",
- d-cy drużyny "KEDIW",
- d-cy plutonu w oddziale partyzanckim "BŁYSKAWICY",
- d-cy drużyny w 5 szwadronie konspiracyjnego 9 p.s.k. w okresie akcji "BURZA".

W okresie akcji "BURZA" brał udział w bitwach kompanii "BŁYSKAWICY", oraz w bitwach konspiracyjnego 9 p.s.k. w rejonie Lisich Ner i Osowa, gdzie wyróżnił się swoją odwagą.

Za wyróżniającą się służbę żołnierską w szeregach Wojska w Konspiracji, nieugiętą postawę i bojową odwagę w walce z ekupantem hitlerowskim został:

odznaczony

- Brązowym Krzyżem Zasługi z Mieczami - maj 1943r.,
- Krzyżem Walecznych po raz pierwszy - sierpień 1944r.,

awansowany

- do stopnia starszego strzelca - sierpień 1942r.,
- ukończył Konspiracyjną Szkołę Podchorążych Inspektoratu III Łódzkiego w stopniu kaprała podchorążego.

b. Dowódca Białostockiego Okręgu AK

"Mącisław"

Liniański Władysław płk.

godność podpisu
- stwierdzam

dn 30.XII 1965r.

Warszawa, Al. Ujazdowski

chód, a później nas zabierze do siebie.

Żbikowska pojechała więc do prokuratora w Białymstoku i powiedziała, że nie wie, gdzie jest mąż i chciałaby rozwieść się, bo ma dzieci do wychowania. Zanim jednak doszło do rozwodu, pewnego dnia rano przyjechało do Żbikowskiej UB.

Przyprowadzili moją mamę żeby została z dziećmi, a mnie wsadzili do samochodu i zawieźli pod Rajgród do lasu – opowiada Janina. - Kazali mi usiąść pod drzewem i czekać, a sami pojechali wykopać Heńka z grobu, bo on już wtedy nie żył, ale chcieli mieć pewność, że to on i musiałam go zidentyfikować. Przyniesli go wreszcie... od pasa w górę był nagi, nie wiem czy miał buty... Po lewej stronie twarzy miał wyrwaną dziurę... Byłam tak wystraszona, że nawet nie zapłakałam, widząc go martwego. To mi pewnie pomogło, bo jeden z ubeków zwrócił na to uwagę mówiąc, że widocznie mąż dał mi się nieźle we znaki, skoro nie płaczę. Dopiero jak wracaliśmy to łzy same mi popłynęły... A co z ciałem Heńka się stało? Nigdy się nie dowiedziałam... Leży gdzieś pewnie, choć mówili mi, że spalili go razem z bunkrem..."

Śmierć Żbikowskiego nie była śmiercią w walce, 6 sierpnia 1954 roku w czasie kłótni został zastrzelony przez Zygmunta Kotowskiego, członka oddziału. Kłótnia dotyczyła odmowy wykonania rozkazu przez Kotowskiego, który nie chciał wziąć udziału w planowanej akcji rozbrojenia posterunku MO w miejscowości Różanystok. Przypuszczalnie był on w zмовie z funkcjonariuszami Urzędu Bezpieczeństwa, choć nie ma tego w żadnych dokumentach, to zaprzeczający pracownik resortu mówił rodzinie, że Kotowski dostał od UB 10 tysięcy złotych za zabicie Żbikowskiego. O jego przypuszczalnej współpracy z resortem mówili również żyjący jeszcze członkowie tego oddziału, twierdzili oni po latach, że trafił do grupy najpóźniej podając się za dezertera z Ludowego Wojska Polskiego i byli przekonani o jego współpracy. Kotowski obawiając się zemsty ze strony pozostałych członków grupy uciekł i kilka dni później został aresztowany w Ełku w czasie próby napadu na pocztę. Wydał on lokalizację schronu oraz kontakty grupy. W ten sposób w krótkim czasie aresztowani zostali wszyscy konspiratorzy. Wszyscy, w tym Kotowski, za udział w „kontrewolucyjnej bandzie PAW” zostali skazani na kary od 8 do 12 lat.

Wyrokiem Wojskowego Sądu Rejonowego w Białymstoku z dnia 5 kwietnia 1955 roku za „Przynależność do kontrewolucyjnej organizacji Polska Armia Wyzwoleńcza PAW” skazanych zostało trzynaście osób - jedenaście na kary więzienia, a dwie otrzymały wyroki w zawieszeniu.

Janina wspomina, że zabroniono jej mówienia o tym, co widziała w lesie. *Grozili, że zabiorą mi dzieci* - mówi. Nie mogło być też mowy o jakiegokolwiek żalobie, czy oznakach smutku po śmierci męża – miała żyć jakby nigdy nic się nie stało. Po kilku latach ponownie wyszła za mąż i wyjechała z Grajewa na Pomorze, w 1968 roku przyjechała do Malborka.

Kilka lat temu mąż jednej z córek wraz z synem Janiny z drugiego małżeństwa podjęli próbę zlokalizowania bunkra, w którym zginął Żbikowski – niestety nie udało im się nic znaleźć. Teraz, gdy powoli przywracana jest pamięć o żołnierzach podziemia niepodległościowego Janina czuje radość, że Heniek nie będzie już nazywany bandytą, a na skwerze Żołnierzy Wyklętych w Malborku jest miejsce, gdzie może zapalić świeczkę w rocznicę jego śmierci.

Leszek Sarnowski

„SZTUMSKA SOLIDARNOŚĆ”, CZYLI PIONIERZY LOKALNYCH MEDIÓW

Druki ulotne znane były od czasu Oświecenia, choć wówczas zdecydowanie inną, bardziej ku ucieście i radości pełniły funkcję. W czasach komunistycznych tworząca się niezależna prasa miała przełamywać monopol władzy na informację. Monopol informacyjny władza PRL-owska usiłowała trzymać do końca i na każdym z dziejowych zakrętów. I to zarówno w Warszawie, Gdańsku, Elblągu, czy Sztumie. Stąd walka z tym monopołem była dla opozycji najważniejsza.

SZTUMSKA SOLIDARNOŚĆ
Biuletyn Informacyjny

NSZZ „SOLIDARNOŚĆ” w Sztumie
82-400 Sztum, ul. Mickiewicza 9

Pieczęć Sztumskiej Solidarności

Gazeta związkowa w Sztumie to był ewenement na skalę co najmniej regionu, czyli województw gdańskiego i elbląskiego. O ile w województwie gdańskim, poza Trójmiastem funkcjonowało kilka lokalnych pism, o tyle w elbląskim „Sztumska Solidarność” była jedynym związkowym biuletynem regularnie wydawanym poza Elblągiem. Było to pierwsze pismo wydawane w Sztumie po polsku po 60 latach. Przed wojną była „Gazeta Polska dla powiatów nadwiślańskich” wydawana w Kwidzynie oraz „Gazeta Sztumska” drukowana w Gdańsku w 1919 roku. W 1920 r. tuż przez plebiscytem ukazało się nakładem drukarni Albrechta w Sztumie kilka numerów „Orędownika Powiatowego” z tekstami po polsku i niemiecku.

„Sztumska Solidarność” była wprawdzie biuletynem związkowym, ale tematyka w niej poruszana wskazywała, że redaktorzy mają większe niż tylko związkowe ambicje. Wydawcy przedwojenni dysponowali jednak profesjonalnymi maszynami drukarskimi, a pasjonaci z 1980 roku mieli jedynie zdobyty cudem prymitywny powielacz. I to był niewątpliwie namacalny dowód wyższości przedwojennego kapitalizmu nad ustrojem socjalistycznym, którego istotną cechą była cenzura, a także reglamentacja papieru i dostępu do środków powszechnego komunikowania się ze społeczeństwem. Redaktorzy z 1980 roku nie ustępowali jednak swoim poprzednikom ambicjami i przygotowaniem merytorycznym. Wynikało to przede wszystkim z faktu, że właśnie w Sztumie w działalność związkową zaangażowało się bardzo wiele osób z wyższym wykształceniem - nauczyciele, historycy, prawnicy, a nawet filolog klasyczny, w znacznej części absolwenci UMK w Toruniu. To właśnie taki potencjał intelektualny decydował o tym, że przedsięwzięcie wydawnicze musiało się udać.

Pierwszy numer niezależnej prasy sztumskiej ukazał się 10 października 1980 roku. Był to wówczas trzystronnicowy „Biuletyn Informacyjny Międzyzakładowego Komitetu

Sztumska

Solidarność

BIULETYN INFORMACYJNY

Terenowej Komisji Porozumiewawczej NSZZ Solidarność w Sztumie
Sztum - Ryjewo - Stary Iarg - Mikołajki Polarskie

Nr 45 Rok II środa 9 grudnia 1981 r. Do użytku swopętrznego
Redaguje kolegia. Adres redakcji: 82-400 Sztum, ul. Mickiewicza 9

Uchwały II Walnego Zebrańia NSZZ Solidarność
Nauczycieli i Pracowników Oświaty i Wychowania w
Sztumie z dnia 7 grudnia 1981 r.

I - w sprawie Statusu Nauczycieli:

Popieramy stanowisko Krajowej Sekcji Pracowników Oświaty i Wychowania w sprawie samorządności szkoły, niezależności i autonomii nauczycieli, podjęciu i programów szkolnych, przestrzegania zasady pluralizmu w wychowaniu.

II - w sprawie podjęcia gotowości strajkowej:

Podjęliśmy gotowość strajkową od dnia 7 grudnia 1981 r. do czasu ostatecznego uchwalenia przez Sejm PRL Statusu Nauczyciela z uwzględnieniem poprawek wniesionych przez NSZZ Solidarność. Zajęcia w szkołach i placówkach oświatowych odbywają się normalnie, na budynek zawieszamy flagi, nosimy opaski strajkowe i plakietki zwiazkowe. Przewodniczący kół informują o podjęciu gotowości strajkowej dyrekcje swoich placówek na piśmie, przewodniczący Komisji Zakładowej informuje inspektora oświaty, kuratorium i władze regionu.

III - w sprawie aktywnej sytuacji społecznej w kraju:

Zdecydowanie sprzeciwiamy się metodzie konfrontacji jako sposobowi rozwiązywania konfliktów społecznych; wzdamy porozumienia kszuła z KK Solidarność. Uważamy, że wszelkie użycie siły godzi w interes członków naszego związku i jest niezgodne z poprzednią deklaracją władz.

IV - w sprawie informacji wewnętrznyzwiązkowej:

Zobowiązujemy Komisję Zakładową w terminie do końca bieżącego roku, do:

1. Przekazanie jednemu z przewodniczących Komisji Zakładowej wszystkich spraw związanych z informacją wewnątrzwiązkową.

Założycielskiego NSZZ „Solidarność” w Sztumie”. Informowano w nim o ukonstytuowaniu się sztumskiego Międzyzakładowego Komitetu Założycielskiego i powołaniu Ośrodka Informacyjno-Prawnego. Ośrodek działał w Sztumskim Ośrodku Kultury, a jego ważnym organem miał być właśnie biuletyn.

Od 13 numeru, czyli od 15 stycznia 1981 roku, biuletyn przyjął nazwę „Sztumska Solidarność” Biuletyn Informacyjny Terenowej Komisji Porozumiewawczej NSZZ „Solidarność” w Sztumie. Redakcja Biuletynu była częścią powołanego Ośrodka Społeczno-Informacyjnego. Redaktorem naczelnym został Waclaw Bielecki. Oprócz niego w skład kolegium redakcyjnego wchodził - Krystyna Muszyńska, Mirosław Melerski i Józef Tymiec. Stałym współpracownikiem był Marian Szarmach. Pisywali także - Irena Wesołowska, Bogdan Szpojda, Halina Stabelska, Inga Murawska, Janusz Baranowicz, Jan Chojnacki, Zdzisław Breszka, Waldemar Pawski, Stanisława Kamińska, Jerzy Wesołowski, Leszek Michalik, Andrzej Lubiński.

Redakcyjny sprzęt drukarski był bardzo prymitywny. Na początku był to powielacz denaturatowy. Niemal każdy zakład pracy miał wówczas taki powielacz. Redakcja „Sztumskiej Solidarności” używała powielacza z Poradni Wychowawczo - Zawodowej, bo szef redakcji Waclaw Bielecki był wtedy jej dyrektorem. Teksty pisało się na maszynie, na specjalnej kalce hektograficznej, którą później montowało się na metalowym bębnie, dolewało się denaturat, wkładało papier i drukowało. Trzeba było to robić ręcznie używając specjalnej korbki. Jednorazowo można było wydrukować 15 stron, więc najczęściej druk każdego numeru trwał kilka godzin, w zależności od nakładu. Papier załatwiał Mirosław Melerski u Andrzeja Grześkowa, kierownika sztumskiej księgarni. Grześkow nie mógł jednak oficjalnie sprzedawać większej ilości papieru, bo był to towar pod ścisłym nadzorem. Dlatego oficjalnie wystawiał fakturę Sztumskiemu Ośrodkowi Kultury na papier toaletowy, który też był wtedy rarytasem. Redakcja miała zatem papier do drukowania gazety, a w toaletach wieszano pocięte egzemplarze oficjalnej partyjnej prasy, co też pokazywało stosunek związkowych redaktorów do ówczesnej władzy i było najdalej idącym gestem protestu i wprowadzeniem w życie hasła - „Prasa kłamie”.

Pierwsze numery biuletynu drukowano w nakładzie ok. 100 - 200 egzemplarzy. Maksymalnie było to 500 sztuk. Wcześniej w latach 70. powielacz był towarem szczególniej troski, dlatego każdy był numerowany, żeby też łatwiej można było zidentyfikować nielegalnych drukarzy. Kalki, na których pisano, musiały być przechowywane w sejfie, bo raz w roku przyjeżdżał cenzor z Elbląga i sprawdzał, co było na nich drukowane. Dopiero po akceptacji kontrolującego kalki można było zniszczyć. Po Sierpniu 1980 nikt cenzurą i kalkami się nie przejmował, bo wolność słowa była powszechna i w Gdańsku, Elblągu, czy Sztumie, przynajmniej jeśli chodziło o prasę związkową, bo ta oficjalna, partyjno-rządowa nadal podlegała obowiązkowi cenzorskiemu.

Drukowaniem zajmowali się głównie Waclaw Bielecki, Mirosław Melerski, Józef Tymiec i Zdzisław Breszka. Przepisywaniem rękopisów na kalkę zajmowała się najczęściej sekretarki z ośrodka kultury, najpierw była to Teresa Maślińska, potem Jadwiga Golińska.

Na cotygodniowe kolegia redakcyjne każdy przynosił swój tekst, który był wspólnie

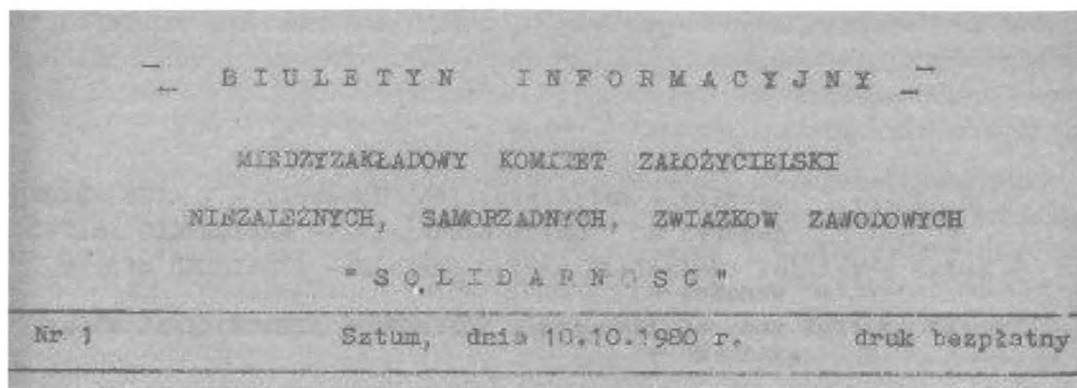
czytany i omawiany, po ewentualnych uwagach i poprawkach trzeba było go przepisać na kalkę hektograficzną, albo później, jak był powielacz elektryczny, na specjalną folię aluminiową i drukować. Każdy proponował tekst do następnego numeru lub wspólnie ustalało się, czym redakcja powinna się zająć.

Początki były trudne, bo ludzie nie byli tak otwarci i przyzwyczajeni do tego, że o ich sprawach pisać można było prawdę i że można było bezkarnie mieć inne zdanie niż na przykład dyrektor, kierownik, naczelnik czy szef związku. Z numeru na numer przybywało jednak tematów, a także sygnałów od czytelników, więc i gazeta się rozrastała i nie było problemu z jej cotygodniowym i atrakcyjnym wypełnieniem. Najbardziej systematyczna i sumienna w redakcyjnej pracy, jak wspomina Waclaw Bielecki, była Krystyna Muszyńska, bo innych redaktorów czasem trzeba było dyscyplinować i stymulować do aktywniejszej pracy. Poza autorskimi tekstami trzeba było też drukować oświadczenie i informacje sztumskiej „Solidarności” - najpierw MKZ-u, a później TKP, ale to było oczywiste, bo był to biuletyn informacyjny właśnie lokalnej „Solidarności”. Było to ważne także z tego względu, że w oficjalnej prasie partyjnej informacje o działalności związku były znikome. Zatem miejscowy, skromny biuletyn był także ważną formą walki o przełamanie monopolu informacyjnego na szczeblu lokalnym.

Redakcyjne kolegia często trwały po kilka godzin, bo dyskusje były wtedy bardzo gorące. Prowokowali je najczęściej Józef Tymiec i Mirosław Melerski. Debatowano i o sprawach ogólnopolskich, bo pretekstów było wówczas sporo, ale i o lokalnych problemach, którymi żyli mieszkańcy, a które później znajdowały odzwierciedlenie na łamach biuletynu. Waclaw Bielecki, wspominając klimat redakcyjnych spotkań, podkreśla, że entuzjazm był olbrzymi, pełna swoboda wyrażania swoich myśli, to było niesamowite doświadczenie, po latach tłamszenia tych, którzy mieli inne zdanie niż oficjalna propaganda. To było prawdziwe zachłyśnięcie się wolnością i nikt w redakcji nie myślał z obawą o tym, że może to nie potrwa długo. Wręcz przeciwnie każdy myślał, że tak już będzie zawsze.

Melerski pamięta jedną z redakcyjnych kłótni. Poszło o tekst, który dostarczyła pani Stanisława Klimiuk, bardzo aktywna w tropieniu wszelkich afer lokalnych. Przedstawiła własny raport o tym, jak jedna z pracownic Urzędu Miasta, która zajmowała się przydziałem mieszkań, przyjmowała łapówki za to, że ktoś znalazł się na mieszkaniowej liście. Było wiele danych i faktów, które potwierdzały jej oskarżenia, ale pod długiej dyskusji redakcja jednak nie zdecydowała się opublikować gorącego materiału. Kilka miesięcy później okazało się, że pani Klimiuk miała jednak rację, bo urzędnicze postawiono zarzuty prokuratorskie.

Decyzją TKP „Sztumska Solidarność” miała być rozprowadzona wśród komisji zakładowych odpłatnie w cenie 3 złotych za egzemplarz. Pieniądze uzyskane ze sprzedaży biuletynu miały być przeznaczone na zakup papieru, kalki, farby drukarskiej oraz innych środków potrzebnych do powielania i wydawania. Uchwała ta nie weszła jednak w życie i biuletyn do końca był rozprowadzany za darmo, głównie za pośrednictwem komisji zakładowych. Do 12 numeru (do 9 stycznia) gazeta ukazywała się w piątki, od 13 numeru (15 stycznia) do 25 (9 kwietnia) ukazywała się w czwartki. Od numeru 26 (17 maja) do



29 (28 czerwca) gazeta wydawana była co dwa tygodnie, w niedzielę. Numer 30 ukazał się, po przerwie wakacyjnej, dopiero 26 sierpnia i od tego czasu ukazywał się co tydzień, tym razem w środy. Wyjątkiem były numery 34 i 35, które wydano 29 i 31 września, ze względu na odbywający się w Gdańsku I Zjazd „Solidarność”, z którego relację czytelnikom przekazywali Krystyna Muszyńska, Marian Szarmach, Józef Tymiec i Waław Bielecki. Na początku redakcja mieściła się w Sztumskim Ośrodku Kultury przy ulicy Reja 13, potem w Poradni Wychowawczo-Zawodowej przy ulicy Mickiewicza 22, od września 1981 roku w siedzibie TKP przy ul. Mickiewicza 9.

O tym, jak ważną, a nawet niebezpieczną rolę w ówczesnej rzeczywistości PRL - u pełniła związkowa prasa, świadczy choćby fakt, że październiku 1981 roku TKP NSZZ „Solidarność” w Sztumie podjęła uchwałę w sprawie zapewnienia ochrony członkom kolegium redakcyjnego w obliczu coraz częstszych ataków tak zwanych „nieznanych sprawców” na prasę związkową. W Sztumie, jak zapewnia większość członków dawnej redakcji, na szczęście nie było żadnych przypadków, które by sugerowały, że lokalni dziennikarze mieli się czegoś obawiać.

Tematyka biuletynu była bardzo różnorodna. Dominowały sprawy związkowe, ale ze względu na to, że ambicją redaktorów było stworzenie prawdziwej lokalnej, niezależnej gazety, pisano właściwie o wszystkim czym żyli wówczas mieszkańcy Sztumu i okolic. Wiele miejsca poświęcono oświacie, kulturze, historii i różnego rodzaju interwencjom.

SPRAWY ZWIĄZKOWE

Najważniejszym zadaniem biuletynu było informowanie czytelników o sprawach związkowych, powstawaniu organizacji związkowych w kolejnych zakładach pracy, a także o tym jak „Solidarność” jest traktowana przez lokalny aparat partyjno-administracyjny. Już w pierwszym numerze biuletyn informuje, że w czasie strajku ostrzegawczego w dniu 3 października 1980 r. miała miejsce interwencja funkcjonariusza MO, który bezprawnie żądał zdjęcia plakatu „Solidarność” z witryny „Domu Książki” w Sztumie. Zaś komendant MO groził, że w razie nie wykonania tych poleceń – skieruje sprawę do kolegium do spraw wykroczeń. W związku z tym pytamy: Czy tak ma wyglądać życzliwy stosunek władz do nowych związ-

ków?”. W innym przypadku gazeta donosiła, że „Jeden z dyrektorów szkół, którego nazwiska na razie nie ujawniamy przed opinią publiczną, zabronił, nauczycielom rozmawiania na temat nowych związków podczas przerw w pokoju nauczycielskim. I znów pytamy: Czy tak ma być realizowana treść gdańskiego porozumienia ?

W trzecim numerze pisma w artykule - „Stanowczość i rozsądek” redakcja prezentuje stanowisko sztumskiego MKZ w sprawie statutu nowego związku, krytykując sąd, który zwleka z rejestracją „Solidarności”. Zdaniem związkowców sąd bezprawnie domagał się, by w statucie zapisać deklarację ideową o przeowodniej roli PZPR, gdyż taki zapis był w porozumieniach sierpniowych i nie ma potrzeby ponawiać go w statucie. Związkowcy krytykowali sąd, który kwestionuje prawo do strajku, sugerowali, że ta sprawa powinna być regulowana ustawą, a nie w związkowym statucie. Bo zapis w statucie może oznaczać, że władza sama sobie przyznaje prawo decydowania kiedy pracownicy mogą strajkować, a kiedy nie.

W następnym numerze z dnia 31 października gazeta w redakcyjnym komentarzu przedstawiała atmosferę, jaka towarzyszyła tworzącemu się związkowi w Sztumie: *Jesteśmy pod lupą. Przegląda się każdego z nas. A jakaż to radość, gdy rzeczywiście trafi się na postać niezbyt kryształową. Jakaż to wspaniała okazja do opluwania „Solidarności”. To nic, że ludzie ci przez wiele lat tkwili niezauważeni w zakładowej rzeczywistości, ważne, że przy okazji można sobie ulżyć. Klasycznym chwytem w tej kampanii jest odwoływanie się do rzekomych, chlubnych tradycji starych związków. Owszem przyznaje się, było wiele zła w dotychczasowej działalności, ale jest przecież i niezaprzeczalny dorobek. Jaki, pytamy?... I odpowiedzi dalej redaktorzy, że: To „Solidarność” spowodowała proces odnowy życia społeczno-politycznego, a mamy nadzieję, że i gospodarczego. To „Solidarność” wywalczyła podwyżki płac, również tym, którzy na nią plują. To „Solidarność” stała się autentycznym reprezentantem szerokich rzesz pracowniczych, podczas gdy szeregi starych związków stopniały całkowicie lub w znacznej części....*

Do redakcji trafiało wiele listów proszących o założenie związku w konkretnym zakładzie. Gazeta zachęcała jednak do własnej aktywności, pisząc: *Drodzy przyjaciele...Inicjatywa musi wyjść od was samych. Jeśli nie macie na to dość siły, jeśli nie pokonaliście bariery lęku, to cały nasz wysiłek organizacyjny poszedł by na marne, gdyż szanse, jaką daje nasz ruch i tak nie potrafilibyście wykorzystać. Nam naprawdę nie zależy na stworzeniu masowej, a przy tym martwej organizacji.*

Przy okazji wyborów w związku redakcja zachęcała też do rozsądnego korzystania przez związkowców ze swoich wyborczych uprawnień, bo ludzie których wybierzemy, będą reprezentować nasze interesy przez okres najbliższych dwóch lat. Uczynimy wszystko, aby okres ten stał się etapem spełnienia pokładanych w naszym ruchu nadziei.

Z kolei w 8 numerze z dnia 28 listopada Józef Tymiec piszący pod pseudonimem Andrzej Marzyński w artykule „Rozterki i niepokoje” pisał o zmęczeniu społeczeństwa strajkami, notorycznymi brakami w sklepach i zastanawiał się, dlaczego po trzech miesiącach od porozumień sierpniowych nie ma nadal w kraju stabilizacji. Sugerował, że część winy leży po stronie „Solidarności”, bo dla części pracowników strajk stał się ulubionym zaję-

ciem, a regionalne władze związkowe nie zawsze panują nad emocjami pracowników, którzy za wszelką cenę dążą do strajkowej konfrontacji i apelował, że obecnie potrzeba jednak nam przede wszystkim żmudnej pracy organizacyjnej. Jest to w tej chwili sprawa o pierwszorzędym znaczeniu... Zdecydowana większość członków Solidarności dążąc do zapewnienia swojej organizacji, partnerskiej pozycji w całym systemie kontroli władzy, nie zamierza jednocześnie pozwolić na odejście od demokratycznych zasad na których ruch związkowy musi się opierać, jeśli chcemy być świadkami nowych wynaturzeń, tym razem w najbardziej masowej organizacji ludzi pracy. Idee i hasła, które wyniosła Solidarność zza bram strajkujących zakładów są zbyt cenne by je teraz rozmięć na drobne. Od nas wszystkich, członków Solidarności zależy, czy otwarty, czysty i odnowicielski nurt w naszej zagmatwanej historii popłynie wartko ale i równo, bez wirów, zatorów i wylewów.

Dostało się również władzom partyjno-rządowym: Zmęczenie przedłużającymi się strajkami jest przede wszystkim rezultatem zniecierpliwienia wywołanego bezruchem władz, brakiem jasnego, możliwego do zaakceptowania programu reform – gospodarczych i społecznych. Nie wyzwoli się tego wielkiego potencjału energii tkwiącego w społeczeństwie, póki władze nie wyjdą z wiarygodnym programem reform społeczno-gospodarczych odpowiadających duchowi Odnowy. Nawoływanie do wydajnej pracy, do dyscypliny jest w obecnej sytuacji pustym hasłem nie popartym żadną realną perspektywą poprawy sytuacji gospodarczej... Potrzeba nam zmian systemowych, a nie instrumentacyjnych. Potrzeba nam zmian, których konsekwentne urzeczywistnianie na zawsze zlikwiduje zakręty na naszej drodze rozwoju. Takich zmian mamy prawo i obowiązki oczekiwać...

W numerze 16 z 5 lutego 1981 Jerzy Wesołowski w artykule „Gorliwy stróż starych porządków”, posiłkowanym znamienym mottem - „Kieruję „SPOŁEM” lecz odnowę przespołem” opisywał autorytarne rządy dyrektora sztumskiego WSS „Społem”, który uważa, że może i powinien decydować o wszystkim, nawet o sprawach dotyczących samych pracowników... Dyrektor doszedł do wniosku, że nie dopuści do istnienia u siebie tak podejrzonej organizacji jak „Solidarność”. Zabrał się więc do dzieła w sposób najprostszy, otóż kazał zniszczyć deklaracje tych pracowników, którzy zgłosili wolę przystąpienia do NSZZ „Solidarność”. Nie wiarygodne, być może, ale niestety prawdziwe. Nie pisałbym o tym wszystkim, gdyby nie zjawisko o wiele groźniejsze związane z tą sprawą. Otóż pracownicy, którzy przekazali mi tę informację prosili o nieujawnianie ich nazwisk, bo boją się konsekwencji. Ten strach jest groźny i zastanawiający. DYREKTORZE, strachem nie można rządzić w zakładzie. Najwyższy czas by zrozumiał pan, że zmieniło się u nas wiele, że odnowa nie znaczy od nowa po staremu. Do pracowników zaapelowałbym o więcej odwagi i stanowczości – pamiętajcie, że nic o Was bez Was.

W numerze 26 z dnia 17 w artykule „Komu czekoladę, komu?” Józef Tymiec pisał o przywilejach, które antagonizują społeczeństwo. Dotyczyło to na przykład talonów na atrakcyjne towary przemysłowe, czy dodatkowe racje wędlin dla górników, którzy pracują w wolne soboty, które „Solidarność” wywalczyła dla wszystkich pracowników. Autora niepokoił fakt, że często niestety w podtrzymaniu tych przywilejów bierze udział „Solidarność”, która powstała przecież między innymi z protestu przeciwko przywilejom dla wybranych. Przykładem jego zdaniem była „Solidarność” w sztumskim „Ruchu”, która rozprowadzała wśród swoich pracowników czekoladę (po 5 sztuk na osobę), niedostęp-

ną w sklepach.

W czasach, gdy czekolada jest rarytasem osiąganym wyłącznie na kartki (dzieci i kobiety ciężarne) członkowie Solidarności powinni umieć patrzeć dalej własnego nosa. Istnieją przecież żłobki, przedszkola i tam chyba powinny trafić tego typu nadwyżki. Smutne to i pouczające zarazem, jak łatwo krzyczymy o sprawiedliwości a jak trudno samemu być tym sprawiedliwym. Nie możemy dopuścić, aby motywy, na których zrodził się potomny ruch społecznego niezadowolenia przeciw prywacie i przywilejom, rozmielił się na drobne grupowe partykularyzmy skłócające społeczeństwo za sprawą cukierka.

W numerze 31 z dnia 2 września Józef Tymiec uspokajał i przestrzegał związkowców, którzy protestowali przeciwko krytyce swoich działań ze strony środków masowego przekazu pisząc: *Demokracja nie polega na przejściu monopolu na prawdę z rąk PZPR do rąk „Solidarności”. Krytyka jest nam równie potrzebna jak swoboda działania a jej zwalczanie jest równoznaczne z powolnym samospychaniem się w przepaść nietolerancji. „Solidarność” wyrosła z krytyki istniejącego stanu rzeczy, nie może zatem zwalczać podstawy swej siły. Tylko ludzie bez wyobraźni, zaślepieni zawsze niezdrowym zaciętrzewieniem nie dostrzegają korzyści, jakie Związek czerpie z prawa do krytyki, w tym również krytyki „Solidarności”.*

Krystyna Muszyńska w 43 numerze biuletynu z dnia 25 listopada w artykule „Z kim solidarni?” zastanawiała się nad tym, co „Solidarność” dała ludziom pracy, jaki wpływ na jakość pracy miał nowy ruch społeczny, czy odrodzenie moralne, którego symbolem miała być „Solidarność” stało się faktem czy jedynie pobożnym życzeniem i ze smutkiem konstatowała: *Przecież nasz kolega związkowy nadal prawie co dzień przychodzi do roboty „na bani” i obja się przez 8 godzin. A my milczymy. Milcząc zaś solidaryzujemy się z pijakiem i bumelantem, nie zwracamy mu uwagi nie dajemy mu odczuć, że koledzy go nie akceptują. Przecież on szkodzi nie tylko sobie, nie tylko firmie, ale przede wszystkim dobremu imieniu Związku, który miał być naszą szansą. A ta pani – pamiętacie? – „załatwiła” kawę dla pracowników biura. „Załatwiła” ją przede wszystkim dla siebie, odłożyła sobie nie jedną czy dwie paczki wycet. Zdemaskowaliście ją – i nadal jest członkiem „Solidarności”. To nic, że okazała się nieuczciwa; być może my na jej miejscu wykorzystalibyśmy okazję jeszcze sprytniej niż ona. Więc do głowy nikomu nie przyjdzie, że jej obecność w Związku przynosi ujmę nam wszystkim. Działacz związkowy w PGR nadal wynosi z zakładu paszę dla chowanych w domu świnek. Członek KZ „upłynnia” koleśowi z innej firmy zakładowe narzędzia. Lekarz – członek „Solidarności” nadal spóźnia się o pół godziny do przychodni, a mniej eleganckich pacjentów traktuje jak zepsute powietrze. Zrobiliśmy się tylko drażliwi, nie zniesiemy spokojnie krytycznej uwagi majstra, interesanta, klientki; jesteśmy przecież członkami Solidarności, znamy swoją cenę! Zamiast zająć się tymi „przyziemnymi” sprawami związkowcy skupiali się na akcjach protestacyjnych, manifestacjach, a zapomnieli zdaniem autorki o wartościach podstawowych takich jak uczciwość i solidarność, choć pisanych często z małej litery: „Życie miota nami i ugniata bez litości. Robimy się twardsi, gruboskórni, nieczuli – patrzymy na siebie wzajem wrogo, z szyderstwem, z nienawiścią. Równocześnie zaś nie umiemy zająć zdecydowanego stanowiska wobec jawnego bezprawia, jawnej podłości. Jak jest taki bezczelny, to może ktoś za nim stoi? – medytujemy, widząc bardzo pewnego siebie kolegę. A jak ktoś za nim stoi, to lepiej z nim nie zadzierać. I przymykamy oczy ...Siłą moralna „Solidarności” nie staną się strajki, protesty, masów-*

ki – nie wierzę w to. Tym, co trwale zjednoczy wokół niej ludzkie umysły i serca, może być tylko etos jej członków. Jeśli go nie stworzymy: ty, ja, my wszyscy – „zostanie po nas krzyż żelazny i głuchy, drwiący śmiech pokoleń”.

A w następnym numerze z 2 grudnia Irena Wesołowska, nauczycielka z Zespołu Szkół Rolniczych w Barlewiczkach z żalem pisała o ideałach Sierpnia 80, które w jej przekonaniu okazały się zbyt trudne w codziennym praktykowaniu: *Przecież w pogoni za małym, miałym gubimy nie tylko radość życia (cóż to jest właściwie?), a co groźniejsze sens rzeczy ważnych, wielkich. Sterani walką o każdy drobiazg przestajemy być ludźmi, to groźne! W najtrudniejszych chwilach pozwalała nam przetrwać świadomość, że nasze niepokoje są udziałem wszystkich, mamy wspólny cel, wspólne kłopoty... Co pozostało? Coż, równi i równiejsi. Komisje Zakładowe prześcigają się ostatnio w rozmaitym „dogadaniu” swoim wyborcom. Spekulacja usankcjonowana prawem kwitnie. Silniejsi i atrakcyjniejsi „partnerzy handlowi” wygrywają. Meble towar poszukiwany. Świetnie! My im meble, oni nam cukierki – po 8 kg na osobę... Usługi komunalne, gaz, butle. Fantastycznie! My im to i owo, oni nam dżem – 10 słoików na osobę. Przykłady można mnożyć. Zapominacie jednak, że tam pod sklepami błąka się tłum szarych, stłamszonych wyczekiwaniem ludzi. Czekają aż przywiozą, rzucą, dowiozą, dostaną, zdobędą. Syci atrakcji spójrzcie w ich twarze, jak Wasze samopoczucie? I jeszcze jedno. Chętnych do posmarowania mojego naleśnika dżemem, zapraszam na kolację. Herbata będzie gorzka. Uczniami nie handluje!*

KULTURA I OŚWIATA

Oprócz spraw związkowych wiele miejsca poświęcano w biuletynie sprawom kultury i oświaty. W numerze 7 z 21 listopada 1980 doc. dr hab. Marian Szarmach z Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu, redaktor sztumskiej gazetki, ubolewa nad tym, że szkolnictwo ogólnokształcące zostało pozbawione obowiązkowej nauki łaciny. Bez lekcji łaciny szkolnictwo zdaniem naukowca przypomina szkołę zawodową: *Łacinę wypędzano systematycznie widłami, że użyję wyrażenia Horacego, z naszego szkolnictwa ogólnokształcącego, a nawet i uniwersyteckiego. Skutek tego jest tragiczny, gdyż coraz to bardziej tracimy kontakt z kulturą europejską, do której przecież od tysiąclecia należymy. Praktykowane w liceach prywatne lekcje łaciny opłacane przez samych uczniów i odbywające się poza oficjalnym tokiem nauczania są kompromitującym nas w tym względzie półśrodkiem. To tak, jakbyśmy się wstydzili tysiącletniej kultury. Łacina powinna wrócić jak najszybciej do szkół, a Sztum zdaniem naukowca - redaktora był w sytuacji uprzywilejowanej, gdyż w Liceum Medycznym pracował nauczyciel z wykształceniem filologa klasycznego, dlatego dalsze niewykorzystanie takiego właśnie specjalisty jest kulturalnym sabotażem. Może więc teraz władze lokalne oświatowe korzystając z powszechnie uznanej prawdy, że mądre reformy należy dokonywać od dołu, a nie czekać na administracyjne dyrektywy z góry, właśnie w Sztumie położą kres licealnemu antyłacińskiemu barbarzyństwu.*

O tym, że biuletyn związkowy był uważnie czytany także przez decydentów świadczy fakt, że już tydzień później inspektor oświaty Zenon Burny i dyrektor liceum Bogdan Śliwiński odpowiedzieli na apel redaktora, tłumacząc, że popierają opinie o potrzebie na-

uczania łaciny, ale o wycofaniu jej ze szkoły zdecydowało ministerstwo. Obiecali, że wystąpią do elbląskiego kuratorium, by łacina wróciła do szkoły na razie jako przedmiot nadobowiązkowy: *Żeby jednak dla określonych potrzeb społecznych w sposób natychmiastowy, to znaczy nie czekając na odpowiedź zwierzchniej administracji w sprawie poprawki programowej – planujemy wprowadzić na zasadzie zajęć kół zainteresowań od II-go okresu – koło łacińskie dla zainteresowanych uczniów szkół średnich środowiska sztumskiego. Odpowiedź nie w pełni usatysfakcjonowała Mariana Szarmacha, który pisał: Odpowiedź... w sprawie wprowadzenia łaciny w Liceum Ogólnokształcącym jest ujęta, żeby użyć łacińskiego określenia, in utramgue partem, a więc by wilk był syty i owca cała. Bo w zasadzie cieszyć by się należało, że łacina będzie w sztumskim liceum nauczana od lutego w ramach kół zainteresowań, w przyszłym roku ma być przedmiotem obowiązkowym, lub nadobowiązkowym, w zależności od profilu klasy. Wszystko to są jednak obietnice na jutro, podczas gdy w Polsce od sierpnia tego roku liczą się fakty na dziś. Odnoszę więc wrażenie, że tym sposobem łacina będzie wchodziła do sztumskiego liceum bocznymi drzwiami, podczas gdy w wielu innych szkołach otwiera się przed nią królewski portal przez restytuowanie profilu humanistycznego. Czyż młodzież sztumską nie jest tego warta? Stosunek władz oświatowych do łaciny i całej humanistyki jest swoistym papierkiem lakmusowym.*

W numerze z 7 listopada redakcja upominała się o godne świętowanie rocznicy odzyskania niepodległości przez Polskę w dniu 11 listopada 1918 roku, która do tej pory była pomijana przez oficjalną propagandę, a ci, którzy tak jak Ruch Młodej Polski w Gdańsku świętowali pod pomnikiem Jana III Sobieskiego uznawani byli za elementy antysocjalistyczne, które godziły w podstawy ustroju: *Tysiące ludzi oddało za nią najcenniejszy skarb – własne życie. I niechaj nikt nie odważa się nazwać tych, którzy pragnęliby chociaż chwilą zadumy oddać hołd przodkom z 1918 roku – siłami antysocjalistycznymi gdyż każde pokolenie odczytuje historię własnego kraju w sposób sobie tylko właściwy, stosując wobec niej własne skale odniesień. Zawsze dzieje minione będą wzbogacane poglądami współczesnych. Zawsze też przeszłość będzie tematem dysput i sporów. Dyktują je i dyktować będą różnice światopoglądowe oraz kryteria ideowe i polityczne. Na tych właśnie sporach opiera się nieustanne prze wartościowywanie świadomości historycznej społeczeństwa. Powinnością wszystkich piszących i uczących jest odpowiedzialność za upowszechnianie prawdy historycznej.*

Znamienne i symboliczne, nie tylko w tym kontekście było przytoczenie słów Konstantego Ildefonas Galczyńskiego, który pisał, że: *\Gdy wieje wiatr historii/ ludziom jak pięknym ptakom/ rosną skrzydła, natomiast/ trzęsą się portki pętkom".*

Nie zapomniano też o 150 rocznicy powstania listopadowego z 1830 roku. O wspólnocie losów „Solidarności” i podchorążych Piotra Wysokiego pisała Krystyna Muszyńska: *Pociągnęły za sobą wielu, ale nie wszystkich. Sprzysiężeni w podchorążackim spisku powiedzieli „Dość”! królującej w kraju od lat obłudzie, serwilizmowi i sprzedajności, łamaniu praw obywatelskich, gwarantowanych przez konstytucję. Nie chcieli mieć nic wspólnego z usprawiedliwiająca je „trzeźwością polityczną” i „realizmem dziejowym”. Walczyli o prawdę i wolność. Czyste, bezkompromisowe idee powstańców przyniosły im podziw i powszechny szacunek. Nieliczni „trzeźwi politycy”, którzy odważyli się głośno szydzić z demokratyzmu Towarzystwa Patriotycznego, spotkali się z ogólnym niesmakiem i milczącym sprzeciwem społeczeństwa. Dla spr*

wy groźniejsi byli inni – zręczniejsi i bardziej cyniczni... Klęska listopadowego zrywu przyniosła w konsekwencji ogromny odpływ ludzi, tworzących umysłową elitę narodu. Zaistniała sytuacja ze wszech miar nienormalna, gdy największe dzieła narodowej literatury i sztuki powstawały daleko od ojczyzny i przenikały do właściwych adresatów w nikłym stopniu. Pochylając głowy nad podręcznikami historii ojczystej w przededniu tej rocznicy doznajemy swego olśnienia: ileż w dziejach powstania listopadowego analogii do faktów, które przeżywamy dzisiaj, do lata i jesieni 1980 roku! Ilu współczesnych Polaków, chlubiących się „trzeźwością polityczną” szermujących szczerze frazesami o „nieubłagalnej logice dziejów”, doznało szoku na wieść o proteście gdańskich robotników. Iluż dziś jeszcze mówienie prawdy i żądanie jawności życia politycznego nazywa anarchią, a walkę z pozorami i pustostwami określa jako „szkodliwy bałagan”. Nie ci są jednak najgroźniejsi dla odnowy. Są wśród nas i tacy, którzy przyklaskują przejawom nowego, ale te oklaski stanowią parawan dla wrogiego działania...Wiele się przez 150 lat zmieniło. Dzisiaj jesteśmy u siebie w wolnym kraju – i nikt nie chwyta za broń. Niebezpieczeństwa i zagrożenia polityczne pozostały jednak bardzo podobne. Obyśmy wykazali więcej rozwagi i mądrości, niż członkowie sprzysiężenia Wysockiego.

W numerze 10 z dnia 12 grudnia Marian Szarmach w artykule „10 grudnia świętem polskiej kultury” pisał z entuzjazmem o przyznaniu Czesławowi Miłoszowi literackiej Nagrody Nobla: *Należę do tych, dla których nazwisko Czesława Miłosza nie było pustym dźwiękiem i którzy nagle, w połowie października, nie musieli sięgać po informację o nim do encyklopedii, by znaleźć tam dezinformację. W pierwszym okresie błędów i wypaczeń (wiosna 1956 r.) mówiła o nim swoim uczniom z wielką odwagą polonistka Liceum Ogólnokształcącego w Kwidzynie p. prof. St. Sienkiewiczówna, a do tego grona mam zaszczyt należeć. Później trafiały do moich rąk zawsze dyskretnie przez kogoś dostarczane tomiki jego poezji i prozy, których tytuły, jak chociażby „Zniewolony umysł” były już zachętą do lektury i wyzwaniem... Werdykt Szwedzkiej Akademii zastał mnie w Genewie, gdzie przebywałem na stypendium szwajcarskim. Międzynarodowe towarzystwo współstypendystów dziwiło się, że wiem coś o Miłoszu, gdyż tamtejsze gazety zaraz doniosły, że w Polsce książek jego nie ma nawet w bibliotekach uniwersyteckich. A więc to nie Polak, tylko Amerykanin piszący po polsku, jako, że nie wessał się jeszcze całkowicie w język angielski... Jest Polakiem! – podkreślałem stanowczo... Z zazdrością patrzyłem, jak w kilka dni po ogłoszeniu tej nagrody w księgarniach Genewy pojawiły się książki Miłosza w przekładzie francuskim, niemieckim i włoskim z nadrukiem – Nobel 1980. Po powrocie do kraju znalazłem się w połowie listopada w Katolickim Uniwersytecie Lubelskim, gdzie prof. dr L. Sławińska mówiła mi z dumą o uchwale Rady Wydziału Humanistycznego tegoż uniwersytetu nadającej Miłoszowi tytuł doktora honoris causa KUL-u. Pokazywała mi też imienne zaproszenie do Sztokholmu na uroczystości wręczenia nagrody, które odbędą się tam 10 grudnia. KUL nie musi się wstydliwie rumienić, gdy mowa o tym poecie, podkreślała. Oby jak najprędzej zrehabilitowały się nasze wydawnictwa zaświadczając światu, że Czesław Miłosz jest Polakiem.*

O Miłoszu, nieznanym niestety w Polsce przede wszystkim z powodu cenzorskich zapisów, pisała też Krystyna Muszyńska: *Nie jest to awangardowa poezja, nie kokietuje formą... Miłoszowe strofy i wersy, przejrzyste jak kryształ, przesączają myśl niezgrabną, prostą dla każdego zrozumiałą. Poeta – oddalony siedmioma górami, siedmioma wodami od zie-*

mi ojczytej – jest przecie Polakiem ze wszystkimi polskimi obsesjami, urazami, niepokojami. Czytając jego wiersz „Naród”, ów Polaków portret własny, w pierwszych dniach tegorocznej jesieni zdumiewałem się bez końca, jak mało się zmieniamy... Wiersz napisany trzydzieści pięć lat temu zawiera strofy aż boleśnie żywe. Konstatowałam to pełna hołdu dla poetyckiej ostrości widzenia, ale i ze smutkiem, jaki budzi wiecznotrwałość wad narodowych. Dzisiaj, w dwa miesiące po pierwszym czytaniu myślę, że jednak czas uwierzyć w naukę na własnych błędach. Oto rozpoznaliśmy prawdę i robimy z niej nareszcie właściwy użytek. Im częściej i głośniej będziemy tę prawdę powtarzać, tym większa szansa, że nasze słowa nadziei przestaną brzmieć nadaremnie, że nasze dzieci będą żyły w kraju w miarę szczęśliwym. Zawdzięczamy to robotnikom Wybrzeża – osobom dramatu Polski 1980, którzy prawdę powiedzieli głośno i mądrze, nieświadomie cytując Miłosza.

W jednym z grudniowych numerów Krystyna Muszyńska opisywała z kolei obchody dziesiątej rocznicy wydarzeń grudniowych w Gdańsku i Gdyni: *Miasto pustoszeje, jakby wszyscy poszli TAM. I stali blisko trzy godziny na wietrze, smagani deszczem. Nikt się nie ruszył. Nie będę opisywać uroczystości – telewizja dała pełną transmisję. Sama wśród dziesiątków tysięcy i gdy z dziesiątków tysięcy gardel huknęła „Rota”, pomyślałam przez chwilę, że to właśnie to. Ojczyzna. Godność. Równość. Solidarność*”. Obecny również na uroczystościach Marian Szarmach dopisywał: *Wieczorem słucham „Requiem” Mozarta w nabitym jak na pasterkę kościele św. Brygidy. To „Requiem” wykonano na pogrzebie Szopena. Na początku grzmotnęła: Jeszcze Polska nie zginęła...*, bo w wykonaniu orkiestry i chóru zabrzmiało to jak grzmot. Ludzie płakali. *We wtorek do południa mam szczęście obejrzeć w Starym Młynie „Sprawę Dantona” St. Przybyszewskiej w reżyserii A. Wajdy. Rozważania o tym, jak pod płaszczykiem demokratycznych hasel dochodzi się do tyranii brzmią szczególnie aktualnie. Po spektaklu aktorzy kłaniają się długo widzowi. Są bez kostiumów, wszyscy ze znaczkami Solidarności. A później, to było Wielkie Misterium, w którym brał udział NARÓD, a nie tłum. To były godziny na miarę wyciągnięcia Dzwonu Zygmunta. Słowa Roty przypominały, że jesteśmy szczepem królewskim, nie niewolnikami ...*

W styczniowym numerze Waclaw Bielecki recenzuje występ w Sztumie Kwartetu Polskiego, który koncertował z utworami L. Boccheriniego oraz L. van Beethovena: *Oba wykonane kwartety należą do tzw. muzyki klasycznej i odznaczają się wyrazistymi liniami melodycznymi oraz harmonią utrzymaną ściśle w konwencji dur-moll. Taka muzyka przynosi odprężenie psychiczne i spokój, daje w przeżyciu elastycznym odczucie niezwyklego piękna. Trzeba przyznać, że oba kwartety wykonane zostały bardzo precyzyjnie.*

Od numeru 15 z końca stycznia Waclaw Bielecki publikuje odnalezioną przez siebie w „Gazecie Polskiej dla powiatów nadwiślańskich” *Legendę o sztumskiej Kasztelance...*

W numerze 20 z marca Marian Szarmach wspomina rocznicę wydarzeń marcowych 1968 roku, pamiętną inscenizację „Dziadów”, od której zaczęły się studenckie protesty, represje władz i antysemicka fala nienawiści. Przy okazji wspomina też osobisty, sztumski wątek tej historii: *Wymyślono, że to nie ci młodzi ludzie sami z siebie stanęli w obronie narodowego arcydzieła, tylko, że uczynili to z żydowskiej namowy. Zrodziło się wtedy i przeszło przez Polskę jak taran słowo syjonizm... Każdego niewygodnego Polaka można by umieścić w tej szu-*

fladce i zniszczyć. Ataki zaś, im bardziej były perfidne, tym pewniejszy gwarantowały skutek. No, i pozwalały atakującym robić błyskotliwe kariery. Jakżeby Sztum mógł wówczas nie dobić się do, jeśli już nie krajowej „awangardy”, to przynajmniej średniej linii uderzenia? Po mnie właśnie wtedy przetoczył się ten walec. Pracowałem już na uniwersytecie i miałem jeszcze kilka godzin w tutejszym Liceum Ogólnokształcącym dla Pracujących. To wystarczyło. Książki pisane dziwnym alfabetem, a chodziło o Platona po grecku, mogły być dowodem moich żydowskich powiązań. Perfidne ataki nie baczą na logikę. Wtedy to zobaczyłem, jak działa mechanizm zazszuczowania, jak organizuje się polowanie na człowieka. Naganiaczom wolno było wszystko w imię czujności (czytaj szczujności), na którą się powoływali. Nie ukrywali wcale, że już oni rozprawiliby się z warszawskimi studentami inaczej, niż pałkami. Przerażeniem musiało napawać, że ci już nie ludzie, tylko zionące nienawiścią bestie uczą się w szkołach... a na marco-wych naganiaczy posypał się szybko deszcz pochwał, nagród, odznaczeń i awansów.

W numerze 30 z dnia 26 sierpnia Mirosław Melerski pod pseudonimem Wasz Ginter dzielił się refleksjami z I Przeglądu Piosenki Prawdziwej Zakazane Piosenki, który odbył w gdańskiej hali Olivii, przenosząc jego klimat na lokalny, sztumski grunt: *Wydaje mi się jednak, że wielu ludzi z gminnych sfer partyjno-państwowych, albo co aktywniejsi „chłopcy ZBOWID-owcy” po usłyszeniu niektórych tekstów uderzyli by w kalendarz, nie wytrzyma-li by po prostu ciosu satyry bez cenzury. A przypuszczenia te zrodziły się we mnie, gdy porównuję TO z Gdańska z TYM w Sztumie. Bo chociażby taki sobie kabaret ZAKR-u, który występował w Sztumie z okazji 22 Lipca i trochę ponadawał, to już co znaczniejsi obywatele siedzieli na sali, jak na rozżażonych węglach, inni opuszczając koncert potrafili wyrazić swoje oburzenie stwierdzając „ale żeśta sprowadzili”. A znaleźli się i tacy co protesty do Elbląga stali. Nie wiem, gdzie by protestowali, gdyby usłyszeli Jana Stanisławskiego... nie wspomnę już o Jacku Fedorowiczu.*

Melerski zachwycał się wolnością, którą w Gdańsku widać było na każdym kroku: *Ileż to miejsc zamalowanych, ileż to nowych napisów na tych miejscach: „Precz z cenzurą”, „Uwolnić politycznych”, „Stoczniowiec głodny nie będzie pracował” itp. A do tego dołożyć trzeba setki plakatów Solidarności. Ludzie czytają legalnie, komentują, nie obawiając się nikogo, gdyż wiedzą, że żyją w wolnym kraju, gdzie obowiązuje konstytucyjna gwarancja wolności... A u nas co za rwetes się zrobił, jak przywieszono na „Kłosie” i obok trochę „gazetek”. Ruch się zrobił, jak by przynajmniej ktoś zbyszczęcił prochy Włodzimierza Iljicza. Rozdzwoniły się telefony, wywiady, pretensje... Podobno jeden nieoficjalnie zakomunikował, że jeżeli jeszcze raz coś podobnego nakleją, to on osobiście wyciągnie panczerfausta, który zakopał w 1945 i jak się przy-czai i jak przyp...”. I na koniec cytata z wiersza Andrzeja Waligórskiego o Leninie - „Idzie Lenin, w tył założył ręce,/ Drepcze za nim moje smutne serce,/ Moje serce melancholijnie,/ Gównu warte, bo bezpartyjnie. Trudno się zatem dziwić, że po takich słowach Mirosław Melerski, ówczesny szef sztumskiej „Solidarności” i jednocześnie członek PZPR spotkał się z ostrą krytyką sztumskiej egzekutywy PZPR i stało się to później jednym z głównych powodów wyrzucenia go z partii.*

W numerze 32 z dnia 9 września Marian Szarmach opisuje jak widzą Polaków w Niem-czech Zachodnich. Niemieckie gazety pisały z zyczliwością o „poznańskim czerwcu”, No-blu Miłosa, ale też o codziennych problemach z opieką zdrowotną czy kilometrowych

kolejkach przed sklepami. Stąd wiele akcji charytatywnych organizowanych przez kościoły, samorządy i organizacje pozarządowe, dzięki którym do Polski wędrowały transporty mleka w proszku i proszków do prania. Autor wraz z sędzią z Dortmundu przekazał jeden z transportów do klasztoru, który rozdzielał dary między mieszkańców: *Kwitująca dary zakonnica życzyła mu błogosławieństwa Bożego. W tym momencie nie było ważne, że on jest protestantem, a ona katoliczką. Ale stać ją było również w tej chwili na delikatny dowcip. Powiedziała bowiem po łacinie, że ze Wschodu mamy ideologię, zaś z Zachodu dobra materialne – ex Oriente lux, ex Occidente luxus. Chciałem, by gość mój wywiózł z Polski nie tylko smutny obraz kolejkowej rzeczywistości, więc zaproponowałem mu wycieczkę do Chełmna, by zobaczyć perelkę renesansowej architektury, tamtejszy ratusz. Na miejscu musiałem się rumienić ze wstydu widząc, w jakim stanie znajduje się ten zabytek. Teraz trzeba tu myśleć o przetrwaniu ludzi, a nie zabytków – usłyszałem.*

Ewa Narkun z kolei w numerze 34 z 29 września opisywała, jak widziano Polaków za oceanem: *Wszyscy Amerykanie zadawali mi jedno pytanie: „Czy u was jest naprawdę aż tak źle?” Prasa, radio i telewizja nie poświęcały już tyle miejsca Polsce, co przed rokiem. Ograniczały się jedynie do suchych informacji o wprowadzeniu coraz to nowych kartek, pokazywaniu zupełnie pustych półek w sklepach i kolejek przed nimi. Amerykanie najbardziej byli zdziwieni wprowadzeniem kartek na proszek do prania, a to że nie ma mydła i innych środków do higieny osobistej nie mieściło się w ich amerykańskich głowach. Byli i tacy, którzy pocieszali mnie mówiąc, że system kartkowy w obecnej sytuacji nie jest złym rozwiązaniem, przekonywali, że mając kartkę każdy Polak bez kolejki może wreszcie wykupić swój przydział. Ja w naiwności swojej, będąc z dala od kraju, prawie im uwierzyłam. Wiara moja jak bańka mydlana przysła w momencie lądowania na Okęciu.*

INTERWENCJE

Gazeta zwracała uwagę na nieprawidłowości w lokalny życiu gospodarczym, a szczególnie w handlu, gdzie zauważa się szerokie stosunki kumoterskie polegające na sprzedaży spod lady albo na zapleczu czy na nieuczciwym wazeniu towarów. Gazeta ostrzegała, że będzie tropić i opisywać wszelkie przejawy nieuczciwości i odkrywać opinie publicznej „stosunki towarzysko-handlowe”. Redaktorzy pisali: *Zdajemy sobie sprawę z trudności w zaopatrzeniu, ale nie będziemy tolerować oszukaństwa w sprzedaży towarów deficytowych. Dyrekcji WSS „Społem” oraz innym dyrektorom firm handlowych proponujemy przeprowadzenie pogadarek z pracownikami na temat -Dobry handowiec to uczciwy handlowiec.*

Redakcja podpowiada żartobliwie w jaki sposób można poradzić sobie z zakupami trudno dostępnego mięsa: *Mylą się ci, którzy twierdzą, że sztumskie sklepy są źle zaopatrzone w mięso. Tak nie jest. Trzeba tylko wiedzieć, kiedy przyjść do sklepu. Zauważono bowiem, że pewna klientka (nawiasem mówiąc, żona przedstawiciela z tzw. sfer zbliżonych do władzy lokalnej) wychodzi zawsze ze sklepu mięsnego w sobotę, tuż przed godziną 18:00 z ciężką torbą. Zachęcamy do spróbowania tej metody zakupu. Powodzenia.*

Groźnie, jak na lokalne warunki, brzmiały zapowiedzi walki z martnotrawstwem, gdy zapowiedziano na łamach gazety, że wszelkie jego przejawy będą filmowane: *Nasi fotoreporte-*

rzy będą docierać wszędzie tam, gdzie marnuje się ludzka praca, społeczny wysiłek, społeczny majątek i społeczne zlotówki. Już wkrótce w gablocie „Solidarności” pierwsze reportaże. Każdy kto czuje się współodpowiedzialnym za uzdrowienie naszych stosunków społeczno-gospodarczych ma pełne prawo i obywatelski obowiązek udzielania nam pomocy i wskazywania przejawów marnotrawstwa. Czekamy na informacje w przedmiotowych sprawach.

Leszek Michalik apelował z kolei do władz lokalnych, by zajęły się w końcu skutecznym rozwiązaniem problemów mieszkaniowych nauczycieli, ale także innych mieszkańców gminy. Władze już dwa lata wcześniej zapowiadały, że sprawa ta zostanie rozwiązana, ale efektów nie było widać: *Zapytujemy więc władze miasta i gminy Sztum jak długo jeszcze zamierzają beczynnie czekać z generalnym przyspieszeniem budownictwa i rozładowaniem katastrofalnej sytuacji mieszkaniowej? Jak młodzi nauczyciele, wegetujący bez perspektyw na lepszą przyszłość, mają wprowadzać w życie swoich wychowanków i przygotowywać ich do roli przyszłych budowniczych pomyślności kraju, a więc naszego miasta? Problemy mieszkaniowe są nie tylko bolączką naszych nauczycieli, ale dotyczą żywotnych interesów wszystkich mieszkańców miasta. Nie chciałabym, aby władze miejskie chociaż na chwilę zapomniały o tym.*

Redakcję interesowało też dlaczego w Sztumie masło można było kupić jedynie trzy razy w tygodniu i to po wielogodzinnym odstawieniu w długich kolejkach, skoro dyrekcja mleczarni chwaliła się w mediach, że skupuje dziennie 90 tysięcy mleka i oprócz rynku lokalnego zaopatruje też Trójmiasto. W odpowiedzi dyrekcja mleczarni pisała: *limitowaniem od wielu lat objęte jest nie tylko masło, ale również śmietana i twarogi tłuste – rozdzielnik otrzymujemy z poszczególnych Urzędów Miast i Gmin. We wtorki, czwartki i soboty do sklepów Sztumu dostarczamy nie tylko masło, ale również sery i twarogi, powodowane to jest ekonomią wykorzystania transportu – jego ładowności. Dla polepszenia zaopatrzenia w masło podejmujemy stałe działania celem przyznania dodatkowych limitów, częstokroć przynoszą one nam efekty w postaci dodatkowych przydziałów, ale nie w pełni zaspakajają one potrzeby rolników i mieszkańców gminy Sztum... Prawdą jest, że nadwyżki art. nabiałowych, po wykorzystaniu limitów na naszym terenie, sprzedajemy w naszym województwie oraz do Trójmiasta, gdyż pracujemy w spółdzielczości mleczarskiej, która bilansuje potrzeby art. nabiałowych całego kraju. Jak się okazało limitów nie przybyło, a mieszkańcy Sztumu, ze względu na „ładowność” mleczarskiego transportu nadal kupowali masło co drugi dzień.*

W jednym z listów do redakcji, pod tytułem *Uwaga Pani domu*, czytelniczka żartobliwie ostrzegła przed dzielnicowymi: *Ostatnio dzielnicowi sztumscy wzmogli zainteresowanie mieszkańcami podległych im rejonów. Przychodzą w godzinach przedpołudniowych, wpytują o dane personalne, a nawet krewnych za granicą (co chyba jest niezbędne w ich działalności środowiskowej). Jak wynika, z informacji telefonicznej udzielonej mi przez z-cę Kierownika Komisariatu w Sztumie, dzielnicowy powinien nawet wiedzieć, co jego „podopieczni” mają na obiad. Ostrzegam więc, Panie Domu, wzmóście starania o jakość posiłków, abyście nie powstydziły się, gdy odwiedzi Was kochany dzielnicowy i zapyta, co dzisiaj serwujecie. A swoją drogą miałam szczęście, że mnie o to nie zapytał – nie miałabym czym zaimponować.*

Inga Murawska w imieniu nauczycieli Liceum Medycznego pisała o marnotrawstwie w Kombinacie Rolnym „Powiśle” w Czerninie. Młodzież zainspirowana przez „Solidar-

ność”, odpowiedziała na apel ministra rolnictwa, by pomóc rolnikom w zbiorach buraków i ziemniaków. Do pracy pojechało prawie dwieście dziewcząt. Okazało się, że praca była źle zorganizowana i wystarczyło jej jedynie na godzinę. Podobnie było w zakładzie rolnym w Watkowicach, gdzie przez cały dzień miało pracować ponad 150 uczniów z Zespołu Szkół. Pracowali zaledwie trzy godziny. Nauczyciele obu szkół byli oburzeni fatalną organizacją pracy w Kombinacie Rolnym, a przede wszystkim tym, że lekcja wychowania obywatelskiego stała się niestety lekcją demoralizacji młodzieży i niestety nie była ideologicznym dowodem o wyższości gospodarki uspołecznionej nad rolnictwem indywidualnym. Zareagował Naczelnik Miasta i Gminy Bolesław Grabowski, który w liście do dyrektora Kombinatów cytowanym w gazecie wystąpił z prośbą o zbadanie zarzutów dotyczących złej organizacji pracy i wyciągnięcie wniosków w stosunku do osób winnych, bo *fakty podane w treści artykułu nie są odosobnione, co świadczy o karygodnym stosunku pracowników Waszego Kombinatów do wspólnie podjętej akcji. Zanotowane przypadki złej organizacji pracy spowodowały rozgoryczenie osób uczestniczących w pracy oraz stały się podstawą do złożenia oświadczeń, że w przyszłości załogi zakładów pracy oraz młodzież szkolna nie podejmie apelu o udzieleniu pomocy Kombinatowi....* Dyrektor Kombinatów Jan Grzywacz stwierdził, że uczniowie i nauczyciele przedstawiali zaistniały konflikt jednostronnie, zbyt arbitralne i uogólniająco, ale jednak uznaje słuszność krytycznej oceny niedociągnięć organizacyjnych w Zakładach Rolnych Watkowie i Czernin.

W grudniowym numerze biuletynu w związku z licznymi pytaniami czytelników publikował nawet komunikat specjalny dyrektora WSS „Społem” Stanisława Pabicha, w którym czytamy, że na kartki będzie można kupić między innymi schab, karkówkę, żeberka, łopatkę, szynkę, boczek, golonkę i wołowinę bez kości i że sprzedaż mięsa i wędlin odbywać się będzie procentowo w stosunku do ilości posiadanych kartek. I jak się wydawać może młodym dziś ludziom, nie była to wcale mało ważna informacja. Takie to były czasy. Nie tylko w tym kontekście szczególnego wymiaru nabierają życzenia Bożonarodzeniowe redakcji dla czytelników: *Nigdy już nie będziemy tacy, jak przed rokiem: zmieniliśmy się i my, pojedynczy ludzie, i my – Naród. Wchodzimy w następną dekadę z podniesioną głową... Jeżeli nawet stół gwiazdkowy nie będzie tak suto zastawiony jak dawniej, święta gotują się nam uroczyste i radosne. Stało się wiele dobrego w naszym życiu. Przestaliśmy być trybikami w wielkiej maszynie, której działanie niewiele nas obchodziło. Zyskaliśmy głos, który waży i godność, które trzeba uszanować. przestaliśmy być samotni w niezycziwym, obcym tłumie – każdy z nas ujrzał wreszcie, że jest wielu, którzy myślą tak samo. Uszanujmy zdobycz lata i jesieni. Godnością i pracą udowodnijmy, że potrafimy współdecydować o losach miasta, wsi, osiedla, a zatem o losie kraju. Jesteśmy podmiotem, nie przedmiotem władzy. Od naszej postawy zależy dziś bardzo wiele, może – wszystko. Te właśnie słowa kreślimy w miejsce świątecznych i noworocznych życzeń. Nie możemy życzyć darów losu, które spadną z nieba, nie te czasy. Życzymy godności, wytrwałości w działaniu nie tylko na Nowy Rok 1981, ale na wiele, wiele lat, które przyjdą po nas.*

W 18 numerze biuletynu z 19 lutego Krystyna Muszyńska w artykule pod znamienym tytułem Czy musimy się nienawidzić?, opisując i analizując dramaturgię irytującej kolejkowej rzeczywistości przestrzegła: *W zakładzie pracy znają nas i szanują. W domu czujemy się ważne i kochane. Ale w kolejce kobieta jest zerem, gorzej – śmiertelnym wrogiem*

innych kobiet. Długie oczekiwanie bez żadnej pewności, czy uda się przynieść coś do domu, pozbawia nas resztek godności. Na widok kobiety w ciąży czy z rozwrzeszczanym dzieckiem na ręku ogarnia nas zimna złość; traktujemy cudzy 'stan błogosławiony' jako podstęp uknuty przeciwko nam osobiście – żeby wydrzeć nasze masło, nasz ochłap mięsa, nasz kilogram zielonych cytryn... Jesteśmy bezlitosne, złośliwe, wrogie. Nasze ogonki po zakupy to istne sejmy czarownic. W kolejce każda z nas traci co dzień cząstkę swego człowieczeństwa. Kiedy stoję w oczekiwaniu na masło czy wędlinę i słucham inwektyw pod adresem zastrachanych, podchodzących boczkami ku ladzie ciężarnych i rencistek, zdarza mi się wracać pamięcią do dni ubiegłorocznego sierpnia. Byłam w Gdańsku dwukrotnie podczas strajku i zaimponował mi egzotyczny dla naszej ulicy optymizm i wzajemna życzliwość obcych sobie ludzi. W mieście brakowało towarów, ludzie poruszali się pieszo na trasach wielu kilometrów, a przecież nikt się nie skarżył, nikt na nikogo nie warczał, nie porażał otoczenia bezprzedmiotową nienawiścią. Kobiety wiedziały, o co grają, wiedziały że nie mogą dać się złamać przy pomocy masła czy makaronu, że pustka w spizarni nie może być alternatywą dla ubezwłasnowolnienia społeczeństwa. To także dzięki ich dzielności, dzięki ich pogodzie w tych trudnych dniach, powstała „Solidarność”.

Czy dziś musimy się w kolejkach nienawidzić? To nie ta pani w ciąży, nie inwalidka w ortopedycznych butach ponosi winę za pustkę na półkach sklepowych. Winni nigdy nie stali z nami w ogonkach, nie stoją także dzisiaj. Nasza złość, nasze kolejkowe odczłowieczenie bywa atutem w ustach „mocnych ludzi”, którzy radzą „skończyć z anarchią i wziąć za mordę”. Nie dajmy się, dziewczyny. Zdobądźmy się czasem na uśmiech także i w kolejce – chociaż krzyż boli od stania, chociaż braki drętwieją ze znużenia.

W numerze 21 z 12 marca Krystyna Muszyńska pisze o pladze alkoholizmu w Polsce. W 1980 roku statystyczny Polak wypijał rocznie 8,5 litra spirytusu, w województwie elbląskim 3,5 litra więcej. Alkoholizm mający społeczne przyzwolenie, szczególnie dotkliwy i wyniszczający był w środowisku wiejskim: Na osiemdziesięciu uczniów jednej z trzyklasówek w mojej gminie dwudziestka przeszło pochodzi z rodzin alkoholików. Te rodziny są zwykle bardzo liczne i to z tych rodzin rekrutuje się najwięcej kandydatów do nauki w szkołach specjalnych. Ci, którzy kończą z wielkim trudem „normalną” podstawówkę, zaczynają pić prawie natychmiast po jej ukończeniu. Szeregi miłośników alkoholu rosną i umacniają się. Piją półanalfabeci, piją młode kobiety, piją więcej promineneci. W okresie świąt Bożego Narodzenia w jednej w sąsiadujących ze Sztumem gmin kupiono wina, wódki, spirytusu za 4 500 000 zł. Gmina ta liczy ok. 5 tysięcy mieszkańców. Nikt temu nie przeciwdziała, bo i po co? Pijaczek nie żąda pełnej informacji i swobód demokratycznych, nie założy „Solidarności, nie będzie wołał o rozliczenie nieuczciwej władzy. On potrzebuje tylko dostępu do wódopoju, a z tym nigdzie nie ma kłopotów.

We wrześniu 1981 roku zaczynają pojawiać się w „Sztumskiej Solidarności” pierwsze ogłoszenia drobne, co sugeruje, że gazeta nie tylko biuletynem związkowym zamierzała być. Pisano też o zasadach działania spółdzielni, i jej władzach. Ważnym i odważnym na prowincji głosem było choćby pisanie o tym, że szefami spółdzielni nie muszą być partyjni, mianowani funkcjonariusze, ale ludzie wybrani przez spółdzielców. Pisano też o cenzurze, ale także o tym żeby gmach PZPR przeznaczyć na cele społeczne w ramach odnowy partii. Czytelnicy proponowali nawet w tej kwestii, by budynek PZPR oddać służbie zdrowia,

a komitet przenieść do komisariatu MO. Odpierano zarzuty oskarżające „Solidarność”, że miesza się nie tylko do spraw związkowych, ale i innych, że jej głównym celem jest przejęcie władzy. Waław Bielecki odpierał z kolei zarzuty, że nauczyciele nie powinni strajkować i odpowiadał cytatem ze związkowych oświadczeń w sprawie bydgoskiej: *Nie możemy pozostać na uboczu, gdy toczy się walka o te wartości na których opieramy nasze działanie wychowawcze. Czy jest to niewychowawcze i deformujące psychikę, gdy w czasie strajku, w którym uczestniczą niemal wszyscy rodzice, nauczyciele i dzieci solidaryzują się z nimi przez omawianie na lekcji aktualnych wydarzeń dziejących się w kraju? Nie mam żadnej wątpliwości, że właśnie unikanie tego, przysłowiowe chowanie głowy w piasek, jest niewychowawcze, bo nie uczy dzieci wrażliwości na otaczający świat, powoduje obojętność i co więcej – przeciwstawia dzieci – rodzicom a nauczycieli – innym grupom zawodowym. Dość już mamy wykorzystywania szkoły przeciw rodzicom i przeciw społeczeństwu.*

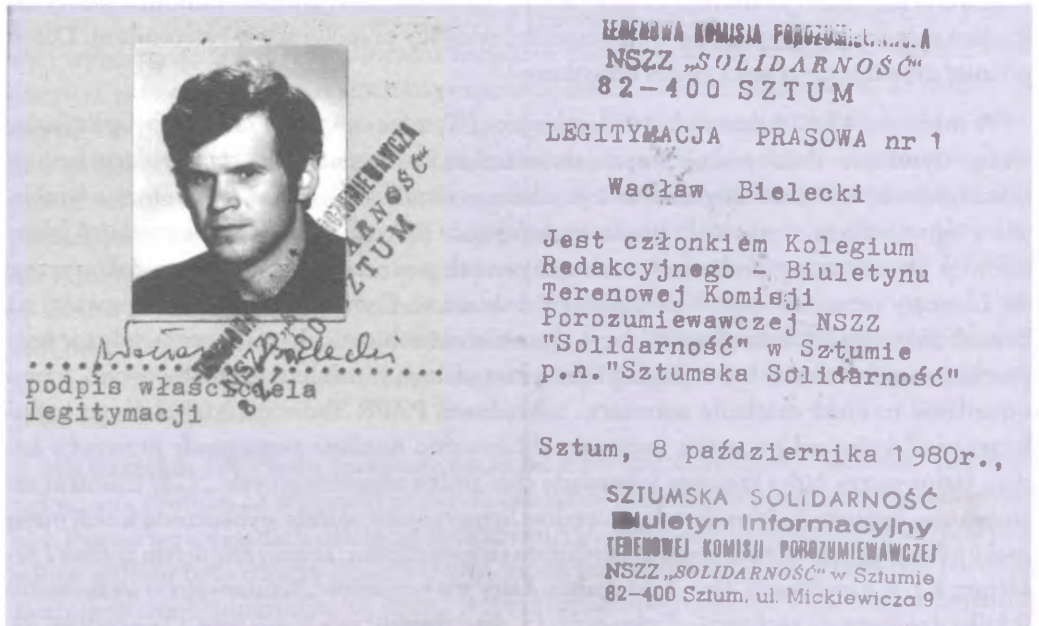
W numerze 40 z listopada 1981 roku TKP Solidarność publikuje w gazecie informacje tej treści - *„Obywatelka Klimiuk Stanisława zamieszkała... (tu adres) ... podjęła walkę z przyjmowaniem łapówek przez pracownice Urzędu Miasta i Gminy w Sztumie. Z jaki skutkiem nie wiadomo, gdyż gazeta, ze względów niezależnych od niej, nie śledziła efektów tych działań, bo została zlikwidowana dekretem o stanie wojennym.*

„Sztumska Solidarność” wiele uwagi poświęciła konfliktowi między pracownikami Kombinatu Rolnego „Powiśle” w Czerninie a jego dyrektorem Janem Grzywaczem. Większość pracowników domagała się usamodzielnienia zakładów rolnych wchodzących w skład kombinatu. Dyrektor był przeciwny. W dniach 6 – 8 listopada 1981 roku w mieszalni pasz w Czerninie zorganizowano strajk okupacyjny, który zakończył się podpisaniem porozumienia między komitetem strajkowym, którym kierował Antoni Fila, a wicewojewodą elbląskim Zenonem Kopczyńskim. Ustalono, że w sprawie samodzielności zakładów rolnych będą mogli się wypowiedzieć wszyscy pracownicy w referendum. Dzień później dyrektor Grzywacz został odwołany.

W numerze 43 z 25 listopada 1981 roku Józef Tymiec opisywał zarzuty związkowców wobec dyrektora: *dokonywanie przydziału mieszkań bez liczenia się ze stanowiskiem komisji mieszkaniowej, wyłączne dysponowanie funduszem socjalnym – w tym finansowanie bankietów z tego funduszu, wysłanie bratanka na kolonie do Bułgarii, nadużywanie zwolnień lekarskich itp. Przede wszystkim jednak – ten motyw stale powraca w rozmowie – autokratyczny, nie znoszący sprzeciwu sposób kierowania Kombinatem.* Dyrektor Grzywacz zapewniał na łamach „Sztumskiej Solidarności” (nr 44), że nie ma sobie nic do zarzucenia, gdyż w jego przekonaniu, kombinat był najlepszą formą zarządzania w rolnictwie państwowym, a jego odwołanie to efekt działania sekretarza zakładowej PZPR Tadeusza Makulskiego i „Solidarności”, którą od początku wspierał: *Od kwietnia nasilono propagandę przeciwko kadrze kierowniczej, która rzekomo hamowała chęć zmian organizacyjnych... Gdy zabrakło argumentów, sięgnięto do kłamliwych oszczerstw. Sytuacja jako została wytworzona wokół mojej osoby jest intrygą określonych osób z kombinatu i województwa. Istotną rolę w tym spełnia I Sekretarz KZ w Kombinacie Tow. T. Makulski, który jest reżyserem „Solidarności” i wykorzystuje kilku działaczy do realizacji własnej polityki... chciał pełnić rolę komisarza. O wszystkim zdecydować i nie ponosić żadnej odpowiedzialności. Od września roku ubiegłego posypały się moc-*

ne oszczerstwa i pomówienia przeciw mojej osobie. Mówiono, że mam dwie wille, że bratu załatwiłem dwa ciągniki i inny sprzęt itp. a ja pracując 24 lata nie wybudowałem nawet zwykłego własnego domu czy mieszkania. W 1974 r. otrzymałem talon na samochód. Działacze „Solidarności” odrzucali zarzut, że byli manipulowani przez sekretarza PZPR, gdyż negatywna ocena dyrektora była ich zdaniem dość powszechna w kombinacie.

Począwszy od 10 października 1980 roku do 9 grudnia 1981 roku ukazało się 45 numerów pisma. Ostatni numer gazetki ukazał się 9 grudnia 1981 roku. Trzy dni później wprowadzono stan wojenny i gazeta przestała się ukazywać. Z informacji uzyskanych od redaktorów wynika, że były próby jej kontynuowania jako pisemka podziemnego. Ponoć wydano trzy numery podziemne, ale żaden z nich się nie zachował. Do reaktywacji doszło dopiero po ośmiu latach, po wyborach 1989 roku. 21 grudnia tego roku ukazał się pierwszy numer „Solidarności Sztumskiej”, który nawiązywał do biuletynu z 1980 roku również numeracją pisma. Był to 46 numer biuletynu, tym razem wydawanego nie jak w 1980 roku przez struktury związkowe, ale przez bardziej otwarty i niezależny od związku Komitet Obywatelski „Solidarność”.



Legitymacja prasowa

Karol Nawrocki

„KRWAWA SOBOTA” W KWIDZYNIE

1982¹

Wydawać by się mogło, że odizolowani od bliskich i przyjaciół opozycjoniści z „Solidarności”, pozamykani w ośrodkach odosobnienia nie mogą stanowić już żadnego zagrożenia dla PRL. Jak bowiem można walczyć z systemem zza więziennych krat? Stało się inaczej – nawet w warunkach niewoli „Solidarność” żyła, a jej członkowie buntowali się przeciw systemowi komunistycznemu. Najbardziej „krwawy” z takich buntów miał miejsce w Kwidzynie.

NIESŁUSZNE WIĘZIENI

Wprowadzenie stanu wojennego w PRL (12/13 grudnia 1981 r.) wywołało reakcje protestacyjne pracowników w około 200 polskich zakładach i instytucjach. Protest podjęli także studenci, rzemieślnicy i artyści. Na akceptację swojego losu gotowych nie było również ponad 10 tysięcy przedstawicieli antykomunistycznej opozycji, których internowano w ośrodkach odosobnienia w różnych częściach Polski. Pozbawienie ich wolności odbyło się wbrew funkcjonującej w państwach prawa od czasów cesarstwa rzymskiego oraz – co więcej – wbrew przyjętej w powszechnej Deklaracji Praw Człowieka (1947 r.) – zasadzie domniemania niewinności. Oczywiście PRL państwem prawa nie była, stąd nic nie stało na przeszkodzie by zadekretować, że internowaniu po 13 grudnia 1981 roku podlegają te osoby, co do których „zachodziło podejrzenie, że pozostając na wolności nie będą przestrzegać porządku prawnego PRL”. Wobec tych okoliczności nie powinien dziwić fakt, że do czerwca 1982 r. Centralny Zarząd Zakładów Karnych odnotował 40 grupowych protestów na terenie ośrodków internowania. Mniejsze lub większe wystąpienia miały miejsce m.in. w Iławie, Załężu czy w Wierchowiu Pomorskim. Największy protest z udziałem osób internowanych wybuchł dokładnie 30 lat temu – 14 sierpnia 1982 roku w Kwidzynie.

KWIDZYŃSKA INTERNA

Zakład Karny w Kwidzynie wybudowano w latach 1976/1977. Decyzją ministra sprawiedliwości z 24 marca 1982 roku na terenie Zakładu powstał Ośrodek Odosobnienia dla więźniów politycznych. Na jego bazę lokalową składały się 4 połączone ze sobą budynki, mogące pomieścić około 500 osadzonych. Obiektu strzegło 25 funkcjonariuszy

¹ Od redakcji. – Artykuł był publikowany w biuletynie IPN – pamięć.pl. Więcej o obozie internowania w Kwidzynie można przeczytać w książce Bogusława Kazimierza Gołęba i Władysława Kałudzińskiego, Kwidzyn. W niewoli brata mego... Stan wojenny, Olsztyn 2005, Wydawca – Stowarzyszenie „Pro Patria”, s. 390.



Służby Więziennej. Wielu internowanych wspomina dziś, że życie codzienne w kwidzyńskiej internie daleko odbiegało od przyjętych w oficjalnym regulaminie norm. Cele były otwarte od rana do wieczora, bez ograniczeń uprawiano sport i wypoczywano na świeżym powietrzu. Można nawet zaryzykować stwierdzenie, że poirytowani faktem bezprawnego uwięzienia działacze opozycji, wywalczyli sobie w Kwidzynie enklawę wolności w zniewolonym kraju. Na terenie ośrodka kwitła także więzienna kultura, a internowani podjęli się nawet produkowania metodą sitosączkową „głosu” zza więziennych krat – biuletynu „Nasza Krata”. Ponadto wiele więziennych cel ozdobionych było napisami „Solidarność”, „KPN” czy patriotycznymi symbolami. Owe rozprężenie więziennej dyscypliny wprawiało jednak w niepokój niektórych osadzonych. Jak zauważył jeden z nich, Konrad Tatarowski *„obszar między faktycznym uwięzieniem a oddanym obszarem swobód mógł sprawić, że w niektórych umysłach zacierała się świadomość tego, że tu, w więzieniu władza może uczynić wiele >pozaregulaminowych< ustępstw – i że równie łatwo może je odebrać”*.

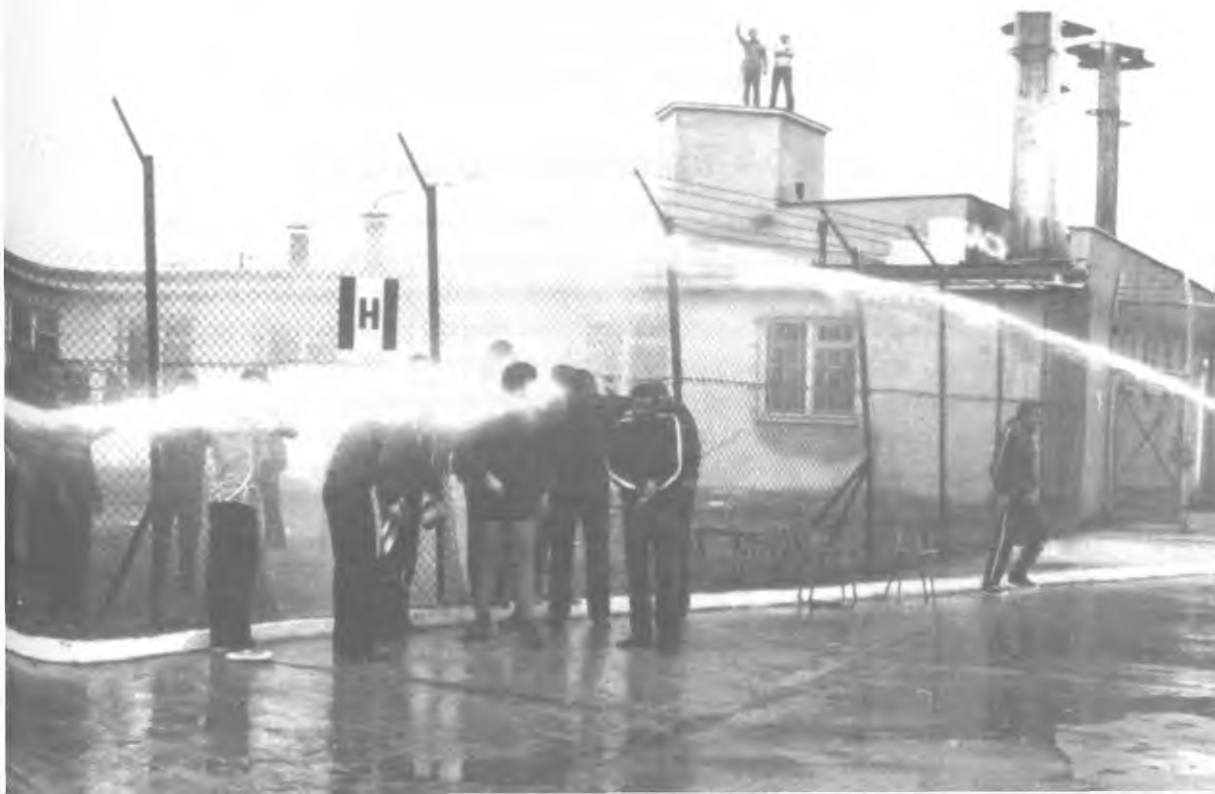
NA KŁOPOTY POBŁOCKI

7 sierpnia z Ośrodka w Kwidzynie zbiegł Mirosław Andrzejewski. Ucieczka Andrzejewskiego była efektem nowej, bardziej liberalnej formy widzeń zastosowanej przez komendanta mjr. Stefana Mikołajczyka. Widzenia od tego dnia odbywały się bowiem na wolnym placu przed pawilonami, a nie w ciasnej, przeznaczonej zaledwie dla kilku rodzin sali widzeń. Ucieczka Andrzejewskiego nadwyrężyła zaufanie zwierzchników więziennictwa do komendanta. A w połączeniu z obchodzoną przez internowanych we wzniostych nastrojach kolejną miesięcznicą stanu wojennego (13 sierpnia), zdecydowało

wała o odwołaniu Mikołajczyka z funkcji.

Nowym komendantem został kpt. Juliusz Pobłocki, który przybył do Kwidzyna z poleceniem ostatecznego zaprowadzenia porządku. Styl, w jakim Pobłocki przywrócił dyscyplinę, pozwala nazwać sobotę 14 sierpnia „krwawą sobotą”. Pierwszego dnia swoich rządów nowy komendant dołożył wszelkich starań by sprowokować internowanych: nie podał do powszechnej wiadomości, że nastąpiła zmiana komendanta oraz przede wszystkim nie zapowiedział zmiany zasad widzeń ustalonej 7 sierpnia. W końcu ultimatywnie potraktował delegację internowanych, dążącą do ustalenia systemu widzeń, a także - jeszcze przed wybuchem protestu - wezwał oddziały milicji i straży pożarnej. Wszystko to doprowadziło do protestu, w czasie którego służba więzienna użyła siły fizycznej. Podczas spychania internowanych do pawilonów kilku z nich zostało pobitych. W tej fazie zajęć najbardziej poszkodowaną osobą był Władysław Kałudziński*, którego najpierw obito pałkami, a po utracie przytomności skopano. Po zaprowadzeniu porządku na placu, przez kolejną godzinę wszystkich zamkniętych w pawilonach więźniów politycznych bestialsko bito i poniżano. Tak ten moment zapamiętał Andrzej Gołowski: *„po chwili zaczęli znów nas bić, rozpędzili nas, ja po raz drugi straciłem przytomność. Zdemolowali całą celę, niszcząc nasze rzeczy, pościel. Potem jak odzyskałem przytomność to byłem bity po raz trzeci, drewnianą pałką po nogach i całym ciele, a szczególnie po genitaliach. Znow straciłem przytomność, obudziłem się dopiero w szpitalu w Kwidzynie”.*

Najbardziej pobito osadzonych w celi nr 8, jak świeżo po wydarzeniach notował Radosław Sarnicki: *„w pewnej chwili zostałem zrzucony z łóżka na podłogę. Zaczęto mnie znowu bić i kopać. Pamiętam dokładnie, jak jeden z funkcjonariuszy przycisnął mi butem brodę*



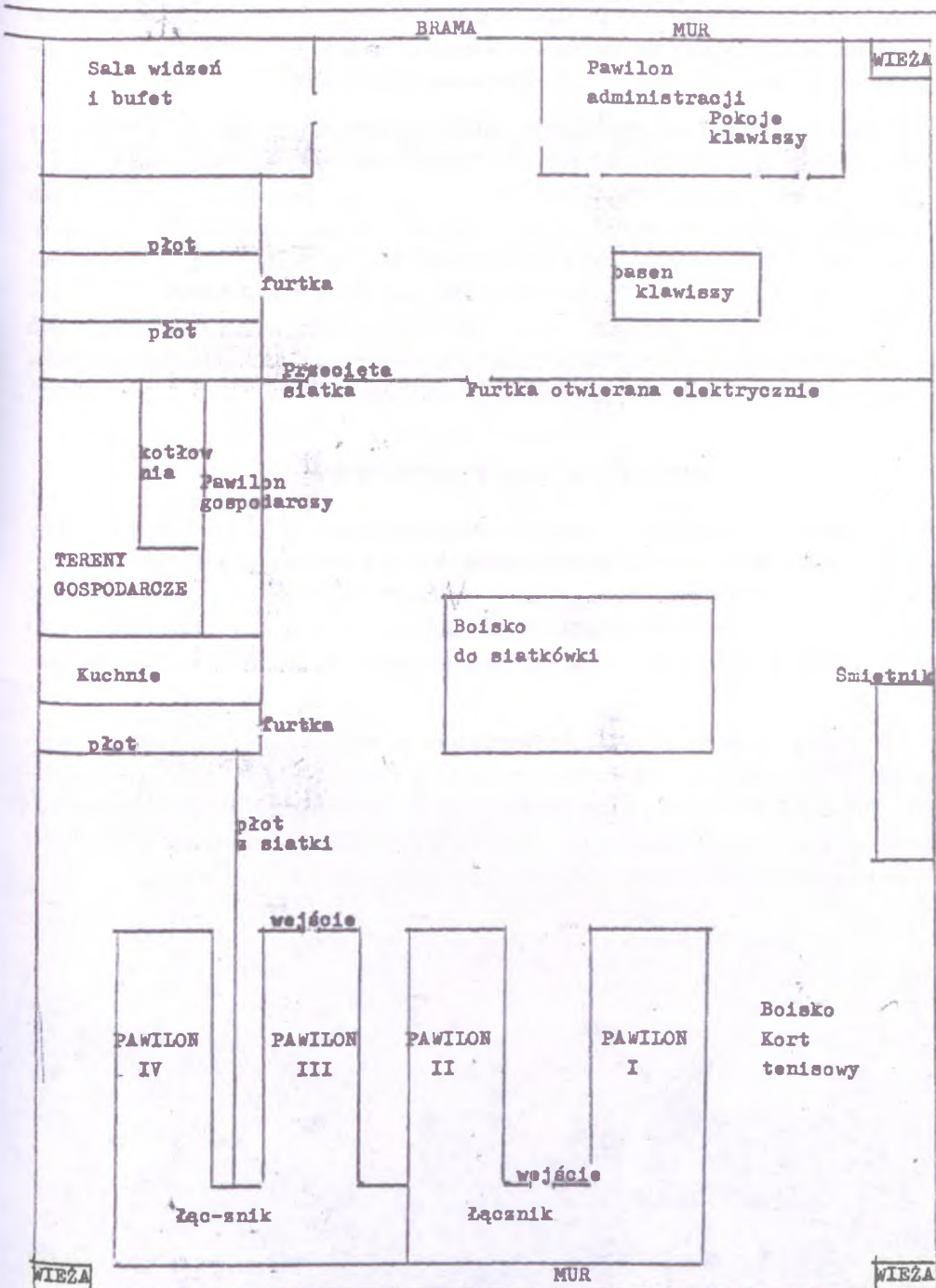


Internowani w Kwidynie, fot. archiwum IPN

i policzek do betonowej posadzki, a drugi stanął obiema nogami na mojej klatce piersiowej. Nie byłem w stanie wykonać ruchu i nie mogłem oddychać". Ogólnie pobitych zostało ponad 50 internowanych, czterech z najcięższymi obrażeniami odwieziono do szpitala jeszcze 14 sierpnia. Kolejnych pięciu internowanych w szpitalu znalazło się dopiero na skutek interwencji Międzynarodowego Czerwonego Krzyża kilka dni później. Główne, wskazane przez lekarzy obrażenia pobitych stanowiły wstrząśnienia mózgu, podbiegnięcia krwawe pleców, ale też uszkodzenia kręgosłupa i – u Radosława Sarnickiego – śpiączka mózgowa.

WYMIAR NIESPRAWIEDLIWOŚCI

Choć zabrzmiałoby to zupełnie nieprawdopodobnie, 6 września 1982 roku Prokuratura Wojewódzka w Elblągu kilku najbardziej pobitym internowanym postawiła zarzuty popełnienia przestępstwa. Oskarżono ich o wzięcie udziału w proteście na terenie ośrodka odosobnienia oraz o napad na strażników więziennych. Siedmiu z nich przewieziono do aresztu śledczego w Elblągu, gdzie 25 listopada usłyszeli akt oskarżenia. Zredagowany był on w sposób dalece odbiegający od rzeczywistego przebiegu wydarzeń z 14 sierpnia. Otwierał go pozbawiony szerszego kontekstu opis agresywnego zachowania internowanych uzbrojonych w stołki, taborety i stoły. W akcie przytoczono również kłamliwe zeznania funkcjonariuszy więziennictwa o rzekomym zamiarze wzięcia ich za zakładników w dniu 14 sierpnia oraz o próbach wzniesienia pożaru na terenie ośrodka. Dla opisu brutalnego zachowania funkcjonariuszy w pawilonach oraz popełnionego przez nich przestępstwa prokuratura użyła wygodnego argumentu o wyłączeniu sprawy strażników



Plan obozu w Kwidzynie

Plan ośrodka odosobnienia w Kwidzynie. Ze zbiorów Ośrodka Karta

więziennych do rozpatrzenia przez prokuraturę garnizonową. Ta z kolei odstąpiła od stosowania wobec winnych pobicia strażników więziennych aresztu, a ostatecznie po – należy przyznać wnikliwym śledztwie - nie skierowała do sądu aktu oskarżenia.

Na podobną życzliwość nie mogli liczyć pobici internowani, którzy przez 9 miesięcy przebywali w areszcie śledczym. Ostatecznie 23 maja 1983 roku Sąd Wojewódzki w Elblągu pod przewodnictwem Alfonsa Wierzbickiego, uznając że oskarżeni uczestniczyli w zbiorowej akcji protestacyjnej, wydał wobec nich wyroki więzienia. Adama Kozaczyńskiego, Mirosława Duszaka i Zygmunta Goławskiego skazano na dwa, Władysława Kałudzińskiego na rok, Andrzeja Bobera na półtora roku więzienia. Radosław Sarnicki otrzymał wyrok w zawieszeniu, natomiast sprawę Andrzeja Goławskiego z racji złego stanu zdrowia oskarżonego sąd wyłączył do oddzielnego postępowania. Wykonanie wyroków zawieszono w związku z nadchodzącą amnestią z 1983 roku.

PRAWDA HISTORYCZNA

Losy internowanych i pobitych w ośrodku odosobnienia w Kwidzynie doskonale obrazują peerelowską „praworządność”. Pozwoliła ona by niewinnych ludzi najpierw pozbawić wolności w myśl niezgodnego z prawem dekretu o stanie wojennym. Następnie pobić ich, aresztować – tym razem jako kryminalistów – i ostatecznie skazać na wyroki więzienia w fasadowym procesie, przypominającym pierwsze lata Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej.

Niestety, mimo złamania prawa, odpowiedzialni za pozbawienie związkowców wolności w całej Polsce oraz za pobicie internowanych w Kwidzynie nie zostali osądzeni nawet po 1989 roku. Stało się tak z racji względów formalnych, uniemożliwiających prokuratorom i sędziom III RP dojść do ustalenia jednoznacznych okoliczności wydarzeń z lat stanu wojennego. Przed Bogiem i Historią nie ma jednak ucieczki.



Paweł Głogowski

W ALZACKIM MALBORKU

Alzacja to od wieków typowy, kresowy region, położony z dala od centrów zabiegających o jej względy. Jednocześnie jest to prowincja ważna, bogata i będąca swoistym pomostem pomiędzy dwoma kulturami: romańską i germańską. Pod wieloma względami jest to więc kraina bardzo podobna do Prus, tych właściwych, podzielonych później na Królewskie i Książęce, a następnie Zachodnie i Wschodnie.

Podobnie jak w przypadku Warmii czy Mazur, znakiem rozpoznawczym Alzacji jest bocian biały. Inaczej jednak niż w Polsce, na straganach i w sklepikach alzackich miast – choćby przed katedrą w Strasburgu – można kupić dosłownie każdy gadżet z tym kultowym już ptakiem: torby, czapeczki, maskotki, kubki, magnesy i oczywiście pocztówki. Inna rzecz, że populacja tego gatunku wzrosła w regionie imponująco – z 9 par w 1974 do ponad 200 obecnie.



Makieta zamku HK, fot. P. Głogowski



Mury zamku, fot. P. Glogowski

W odróżnieniu od naszych okolic, bocianie gniazda (i to nierzadko po cztery czy pięć na raz) spotyka się najczęściej nie na słupach czy drzewach przydrożnych, a na dachach domów i kościołów – dosłownie w centrach miast i miasteczek.

Jednak to nie bociany, ani nie familijny Park Bocianów przyciągają turystów z całej Francji i zagranicy do miasteczka Kintzheim u stóp Wogezów (to pasmo górskie, oddzielające region od właściwej Francji, jak i liczne winnice na stokach odróżniają z kolei Alzację od nizinnych i znacznie zimniejszych Prus). Wzrok turysty już z odległej o 15 km autostrady prowadzącej ze Strasburga do Miluzy przyciąga piramida góry Stophanberch (755 m npm), której szczyt wieńczy olbrzymie zamczysko.

Chateau Haut-Koenigsburg (niem. Hochkönigsburg) to dawna posiadłość, znanego i w Polsce, rodu Habsburgów. Zbudowano ją na miejscu wzmiankowanego już w 1147 roku zamczku obronnego Hohenstaufów. Miejsce wybrano nie przypadkowo – oprócz walo-rów obronnych zadecydowało strategiczne położenie: na skrzyżowaniu ważnych dróg handlowych. Na osi północ – południe od wieków przewożono zboże i wino, natomiast na osi wschód – zachód: sól i srebro. Sam zamek był wielokrotnie przebudowywany i rozbudowany, głównie w XV i XVI wieku, a kres jego świetności nastąpił podczas wojny trzydziesto-letniej – latem 1633 roku, kiedy to po 52-dniowym oblężeniu został zdobyty, splądrowany i spalony przez wojska szwedzkie.

Opuszczone i malownicze ruiny po ponad dwóch wiekach, razem z przylegającymi lasami, stały się w 1865 roku własnością pobliskiego miasta Selestat. Miasto z kolei podarowało je w 1899 roku cesarzowi Wilhelmowi II, bo Alzacja w wyniku stoczony w 1870 roku wojny francusko-pruskiej stała się częścią Cesarstwa Niemieckiego. W 1900 roku cesarz polecił architektowi Bodo Erhardtowi rozpoczęcie prac restauracyjnych na zamku, które trwały do 1908 roku.

Warto wspomnieć, że w tym samym czasie, na drugim krańcu cesarstwa – w Malborku (niem. Marienburg) dobiegały końca 20-letnie prace restauracyjne na zamku, pod kierownictwem Konrada Steinbrechta. 5 czerwca 1902 roku uroczyście otwarto odbudowany Zamek Wysoki. Nie przypadkiem wybór Wilhelma II padł na te dwa zamki. Oba, pięknie odrestaurowane, miały być symbolami germańskiej, wielowiekowej obecności na tych ziemiach, stać się symbolicznymi kamieniami granicznymi niedawno proklamowanego Cesarstwa.

Nie wiem, czy malborscy przewodnicy wspominają turystom o zamku Haut-Koenigsburg, za to przewodnicy alzaccy wiedzą i mówią o Malborku całkiem sporo.

Po zakończeniu restauracji zamku w 1908 przez kolejne dziesięć lat trwała zbiórka bogatego wyposażenia wnętrza: mebli, broni itp. Pozyskiwano je głównie drogą darowizny czy zakupów. Miłym, polskim akcentem i ciekawostką jest np. oryginalny, pięknie zachowany hełm polskiego husarza z czasów odsieczy wiedeńskiej – dar austriackich Habsburgów.

W 1919 roku, po zakończeniu pierwszej wojny światowej, zamek przeszedł na własność państwa francuskiego. Podczas drugiej wojny, dzięki położeniu z dala od głównych działań wojennych (w przeciwieństwie do zamku malborskiego) szczęśliwie uniknął zniszczenia i dziś turyści mogą podziwiać całe jego piękno.

Zamek zbudowany jest w całości z typowego dla regionu różowego piaskowca (podobnie jak np. katedra w Strasburgu). Samochody i autobusy z turystami, po mozolnej wspinaczce krętymi serpentynami na szczyt góry parkują u stóp tzw. Wielkiego Bastionu. Został on zbudowany w XV wieku na płaskowyżu, aby zapobiec ewentualnemu podciągnięciu dział w to miejsce przez oblegających. Z obu wieży tego bastionu rozciąga się zresztą przepiękny widok na całą okolicę: pasmo Wogezów na zachodzie, oraz dolinę Renu (i samą rzekę) na wschodzie.

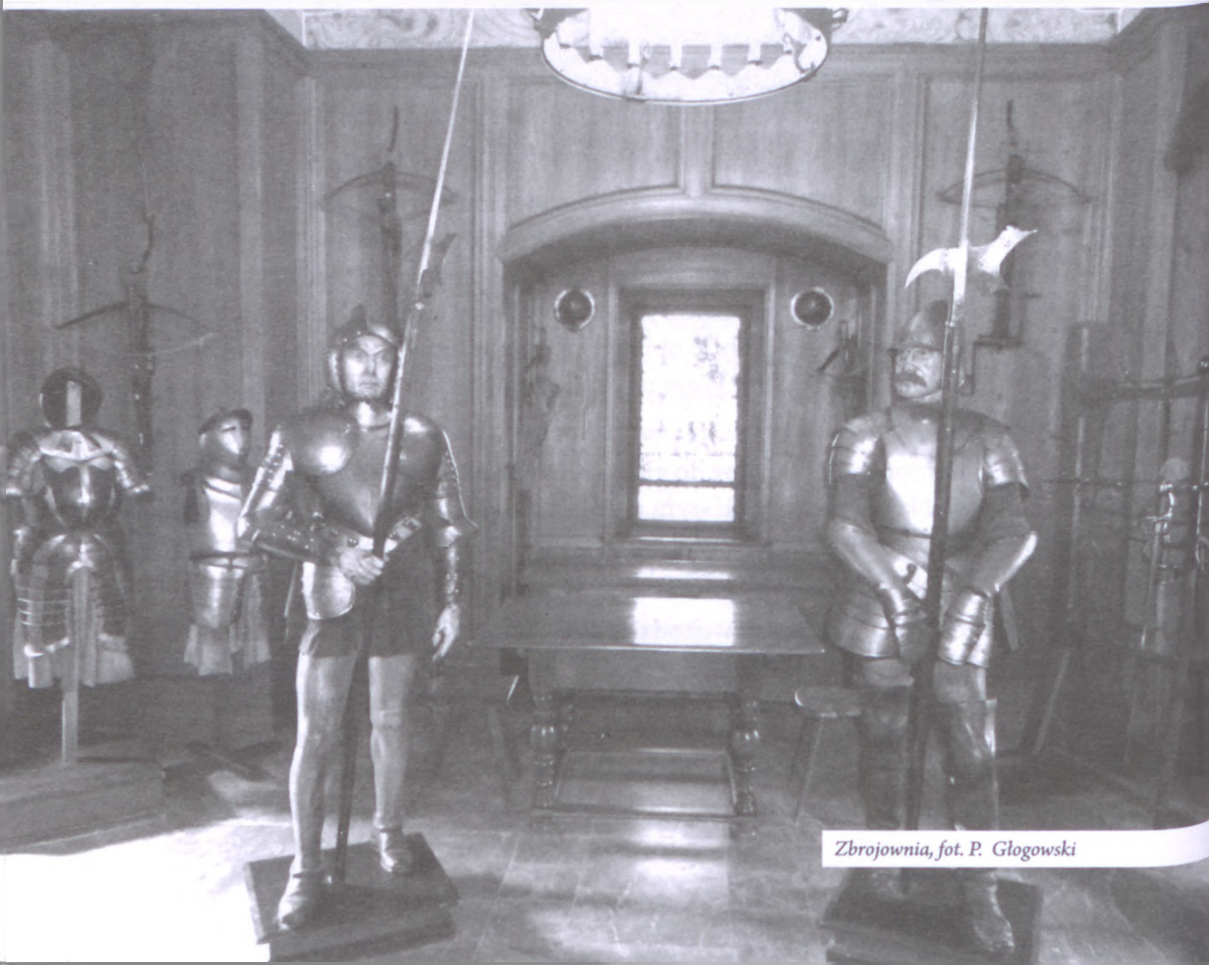
Po ominięciu bastionu dochodzimy do głównego wejścia na zamek, ozdobionego imponującymi herbami. Na pierwszym, niższym dziedzińcu widzimy kopię fontanny z XV wieku, dalej po zwodzonym mostku nad fosą dochodzimy do malutkiego dziedzińca zamku wysokiego, gdzie mieszczą się zamkowe kuchnie oraz studnia o głębokości 62 metrów.

Na piętrach powyżej, do których wchodzi się po ciasnych i krętych schodach, możemy podziwiać cały splendor Habsburgów. Zaczynając od wielkiej Sali Bankietowej, ozdobionej kolorowymi freskami, poprzez Salę Myśliwską z łowieckimi trofeami, Zbrojownię pełną zbroi i wszelkiego rodzaju uzbrojenia, po kaplicę i sypialnię zamkowe. Zamek Wysoki wieńczy oczywiście imponująca wieża, niestety, aktualnie niedostępna dla turystów z uwagi na trwające w niej prace remontowe. Następnie po kolejnym moście zwodzonym nad fosą

przechodzimy do zamkowego ogrodu, przez który przechodzimy w drodze do Wielkiego Bastionu i jego dwóch, niższych wież oferujących również wspaniały widok na całą okolicę. W samym bastionie można również podziwiać ekspozycję różnego rodzaju armat z epoki, z potężną, szwedzką kolubryną, znaną nam już dobrze z „Potopu” Sienkiewicza. To właśnie tego typu działa przyczyniły się głównie do zdobycia zamku w 1633 roku. Warto też wspomnieć, że cała załoga zamku w tym okresie liczyła łącznie 80 osób, z tego zdolnych do noszenia broni – tylko około 30.

Bodo Erhardt, wielki miłośnik średniowiecza, postarał się jednak o przywrócenie zamkowi stanu z XVI i XVII wieku. Ciekawą ekspozycję zdjęć z czasów odbudowy i restauracji oraz makietę zamku można zresztą podziwiać w dawnych piwnicach zamkowych. Warto również wspomnieć, że w okolicy znajduje się jeszcze kilka, gorzej lub lepiej zachowanych ruin innych zamków i fortyfikacji, najczęściej baszt obserwacyjno-obronnych.

Miniatura zamku Haut Koenigsburg jest także jedną z atrakcji często odwiedzanego przez polskich turystów, podparyskiego parku „Francja w miniaturze”.



Zbrojownia, fot. P. Głogowski

Maria Wiśniewska

COMENIUS, CZYLI Z NAUCZYCIELSKĄ WIZYTĄ W HISZPANII I IRLANDII

Europejski projekt edukacyjny *Comenius – Uczenie się przez całe życie* zagościł w Szkole Podstawowej Nr 2 im. Maksymiliana Golisza w Sztumie. Szkoła realizuje go już po raz trzeci. Program *Comenius*, którego koordynatorami są Włosi, nawiązuje do tradycji lokalnych, sztuki użytkowej i rękodzieła. Na każdym spotkaniu nauczyciele szkół partnerskich poznają odwiedzaną szkołę i prezentują różne prace plastyczne wykonane z uczniami w swoich szkołach.

Jak wypada nasza szkoła na tle innych, europejskich szkół? Kiedy jesienią ubiegłego roku partnerzy *Comeniusa*, tzn. nauczyciele ze szkół z Włoch, Hiszpanii, Irlandii, Wielkiej Brytanii i Szwecji odwiedzili Szkołę Podstawową Nr 2 w Sztumie, nie szczędzili nam słów pochwał i zachwytu: *Jakie kolorowe klasy! Jakie ciekawe podręczniki mają uczniowie! Jak cudnie jest w bibliotekach! Jakie piękne i szerokie korytarze!* A nasi uczniowie? Nie mieli oporów, aby odezwać się w języku angielskim, czy też swobodnie wystąpić w części artystycznej. Jedna z dziewcząt tak pięknie zaśpiewała piosenkę, że do łez wzruszyła pewną z europejskich nauczycielek. Również nasze miasto wywarło duże wrażenie na gościach, a w szczególności jeziora, plaża, rzeźby na bulwarze i otaczające Sztum lasy. Gospodarze sztumskiej „dwójki” zaprosili gości do udziału w ciekawych warsztatach. Jednym z nich było praktyczne poznanie haftu powiślańskiego, a innym – lepienie pierogów. Oj, było przy tym zabawnie. Niektórzy robili to po raz pierwszy w życiu, a pierogi smakowały wybornie.

Wiosną tego roku przysłała kolej na poznanie szkół w Hiszpanii oraz Irlandii. Pod koniec kwietnia cztery nauczycielki sztumskiej „dwójki” mogły zobaczyć szkołę w wypoczynkowej miejscowości Retamar nad Morzem Śródziemnym. Zazwyczaj słoneczna Hiszpania przywitała nas niesamowitym wiatrem i dość niską temperaturą. Retamar jest miastem turystycznym, położonym nad samym Morzem Śródziemnym 14 km od portowego miasta Almeria. W nim góruje imponujący zamek-fortyfikacja Alcazaba. Na obrzeżach miasta królują olbrzymie „folie”, w których uprawia się pomidory dla całej Europy, chociaż wokół widać roślinność pustynną i ziemię spaloną słońcem.

Szkoła w Retamar jest nowa, ma zaledwie kilka lat i zajmuje dwa budynki. W jednym z nich są klasy od I do VI a w drugim przedszkolaki. Szkoła liczy około 700 uczniów dowożonych z najbliższych okolic. W ramach szeroko pojętej integracji społecznej uczęszczają do niej też dzieci niepełnosprawne, które w naszym systemie oświatowym umieszczane są w szkolnych ośrodkach wychowawczych. Pobierają one naukę w tzw. „sali słonecznej” pod opieką nauczycieli terapeutów, ale na co dzień uczestniczą w życiu szkoły, wspólnych zaba-

wach, imprezach szkolnych.

Hiszpańskie dzieci uczą się przez 175 dni w roku przez pięć dni w tygodniu, średnio mają 25 godzin. Klasy w szkole podstawowej mają jednego nauczyciela do wszystkich przedmiotów z wyjątkiem wychowania muzycznego, wychowania fizycznego i języków obcych. Jeśli chodzi o program nauczania to na poziomie szkoły podstawowej znajdują się następujące, obowiązkowe obszary nauki: środowisko naturalne, społeczne i kulturalne; edukacja artystyczna, wychowanie fizyczne, język hiszpański z literaturą, język obcy i matematyka.

Wielkie wrażenie wywarły na nas sale przedszkolne i znajdujące się tam podręczniki, z których już dzieci 5-letnie poznają literki i uczą się pisać po śladzie. Klasy szkolne są dobrze wyposażone, ale za to korytarze wąskie. W południowej Hiszpanii jest bardzo ciepło, a więc w żadnym pomieszczeniu nie ma grzejników (czyli centralnego ogrzewania). Każda klasa wyposażona jest w klimatyzację. Ciekawostką jest to, że uczniowie kilku klas na początku edukacji otrzymali w ramach specjalnego programu notebooki, z którymi chodzą do domu i muszą je zwrócić po zakończeniu edukacji. Mimo to korzystają też z tradycyjnych podręczników i zeszytów.

Uczniowie nie muszą nosić książek i zeszytów do domu. Wszystko to zostaje w klasie, w specjalnym koszu przy ławce. Jednak jest pewne ale... Jeżeli ktoś nie zdąży zrobić wszystkiego w szkole, powinien dokończyć swoją pracę w domu. W tym celu musi ze strony internetowej szkoły wyszukać odpowiednie zadanie lub ćwiczenie, wydrukować je i wykonać. Uczniowie podobnie jak w polskich szkołach jeżdżą na wycieczki. Nie ma za to w hiszpańskiej szkole szczególnych wyróżnień czy nagród za osiągnięcia w nauce. Wielką radością, a tym samym wyróżnieniem było dla hiszpańskich dzieci wystąpienie przed gośćmi w części artystycznej. Hiszpańscy gospodarze zaprosili partnerów Comeniusa do wspólnych warsztatów: introligatorskich – robienie notesów z twardymi okładkami według tra-



Klasa w kontenerze - Limerick Irlandia, fot. M. Wiśniewska

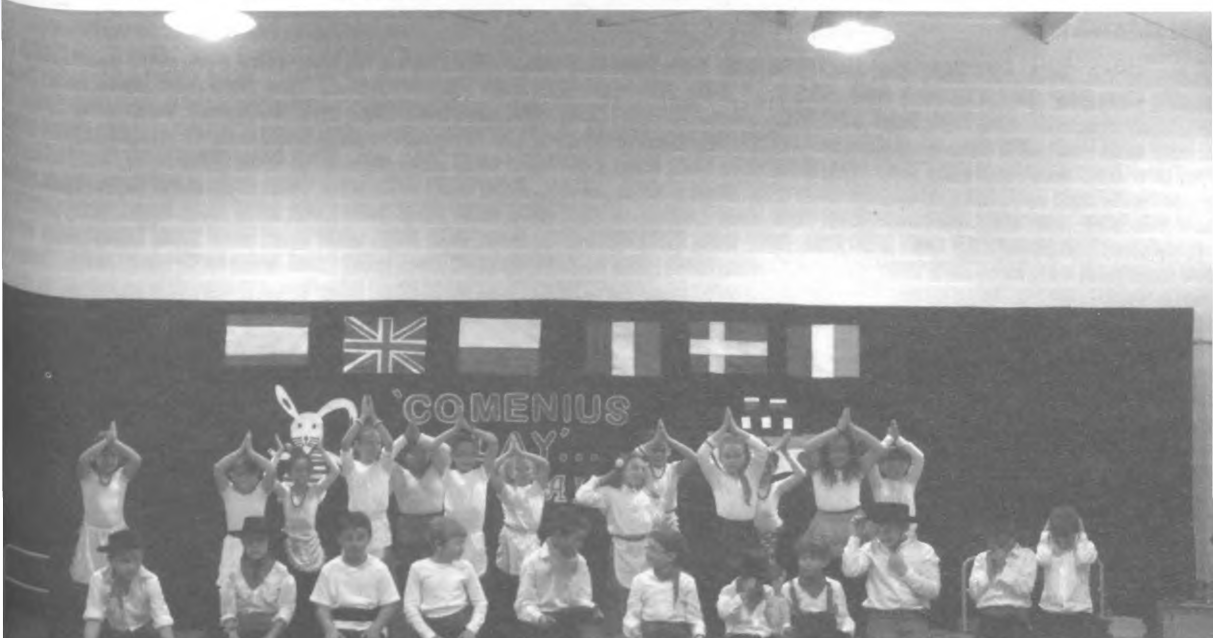
dycyjnej techniki oraz do dekorowania wachlarzy. Zajęcia były ciekawe i przyjemne.

W Hiszpanii, a konkretnie w Andaluzji, wakacje trwają 3 miesiące dla uczniów, natomiast nauczyciele mają tylko 2 miesiące urlopu. Trzeci miesiąc wakacyjny przeznaczony jest na przygotowanie kolejnego roku szkolnego: opracowanie planów, projektów edukacyjnych, materiałów dydaktycznych, sprawdzianów, testów a także urządzenie sal lekcyjnych.

Następne spotkanie nauczycieli partnerskich szkół odbyło się w czerwcu w Limerick w Irlandii. Ten zazwyczaj deszczowy kraj zaoferował nam różną pogodę – deszcz, wiatr oraz przepiękne słońce. W pobliżu Limerick znajduje się wielka atrakcja turystyczna Irlandii - „Klif Moherowy” nad Oceanem Atlantyckim, który składa się z licznych „balkonów”. Przepiękny widok z klifu dosłownie zatyka „dech w piersiach”. Groźne fale oceanu znajdują się ponad 200 metrów poniżej, zaś z tyłu za plecami w głąb lądu rozciąga się „zielona” Irlandia.

Szkoła irlandzka znajdująca się na przedmieściach Limerick, miasta liczącego ponad 50 tysięcy mieszkańców, zaskoczyła nas. Wśród 120 uczniów jest wielu imigrantów z kilku krajów, m.in. z Rosji, Łotwy, Kongo, Azerbejdżanu, Turcji, Turkmenistan, Niemiec, Polski. W jednej z klas na 20-tu kilku uczniów tylko 9 było Irlandczykami. Podczas prezentacji każde dziecko trzymało flagę swojego kraju i przedstawiało się w swoim narodowym języku. Byliśmy wzruszeni, gdyż wśród nich były dzieci z Polski.

Kolejna niespodzianka dotycząca tej szkoły, to wolnostojące pomieszczenia przypominające bardziej kwadratowe „blaszaki”, niż typowe kontenery, do których wchodzi się bezpośrednio z dworu, a służą one jednej klasie. To w nich mieści się szkoła. A korytarze? Nie ma ich wcale. Szkoła nie posiada typowego boiska (jest tylko podwórko), pomieszczenia rekreacyjnego typu świetlica czy sala gimnastyczna. Każda klasa-kontener ma wydzielone małe miejsce na łazienkę i szatnię. W środku klas znajduje się wszelkie wyposażenie: kom-



Występ dzieci z hiszpańskiej szkoły w Retamar, fot. M. Wiśniewska

puter, rzutnik dla nauczyciela, różne pomoce i mnóstwo przeróżnych dekoracji na ścianach. Dosłownie każdy skrawek ściany zajęty jest na mapy, tablice, rysunki, prace uczniów. Aż w oczach robi się kolorowo. Na uczniowskich ławkach piętrzą się stosy książek i zeszytów.

Kolejna niespodzianka, to witanie się irlandzkich uczniów ze swoimi nauczycielami:

– *Hej, Pamela!* – *Hej, Polin!* – to pani dyrektor. Tak, uczniowie zwracają się do swoich nauczycieli po imieniu. W irlandzkiej szkole zaproszono uczestników Comeniusa do nauki tańca irlandzkiego (nie jest taki łatwy, ale za to bardzo skoczny) oraz do grania na flecie prostym irlandzkich melodii.

System szkolnictwa podstawowego w Irlandii obejmuje dzieci od 6 do 12 roku życia. Jednak do klas tzw. przedszkolnych uczęszczają już dzieci 4 i 5 letnie. Irlandzkie dzieci uczą się 183 dni w roku, przez 5 dni w tygodniu. W jednej klasie może być nawet 29 uczniów. W programie nauczania szkoły podstawowej znajdują się następujące przedmioty: język – irlandzki i angielski, matematyka, wiedza o społeczeństwie, przyrodzie i środowisku (historia, geografia, przedmioty przyrodnicze, wychowanie artystyczne (wychowanie plastyczne, wychowanie muzyczne i dramat), wychowanie fizyczne, wychowanie i edukacja zdrowotna oraz religia. Jest to zintegrowany program nauczania, w którym nacisk kładzie się na aktywny udział dziecka w nauce.

Atmosfera spotkań nauczycielskich była bardzo przyjazna, Nic dziwnego, że Polacy tak dobrze czują się w Irlandii. Podobny temperament do naszego, duża gościnność. Byliśmy przyjęci przez mera miasta ciasteczkami, kawą i herbatą. Mogliśmy przymierzać historyczne insygnia władzy miejskiej – łańcuch z wizerunkiem królowej Wiktorii.

Czekają nas jeszcze odwiedziny w szkole szwedzkiej, brytyjskiej i włoskiej. Program Comenius pozwala spojrzeć na własną szkołę z dystansu. Po latach izolacji wiemy już z czego możemy być dumni, a co należy udoskonalić, poprawić. Z pewnością wyróżnia nas rozbudowany system wychowawczy i opiekuńczy. Trudno powiedzieć, jak byśmy sobie radzili z wielokulturowością i wielonarodowością naszych uczniów. Nie jesteśmy też jeszcze w pełni gotowi na włączenie do tej samej społeczności szkolnej dzieci z różnymi deficytami, chociaż już istnieją klasy integracyjne.

Maciej Grochowski

KAJAKIEM PO DRWĘCY

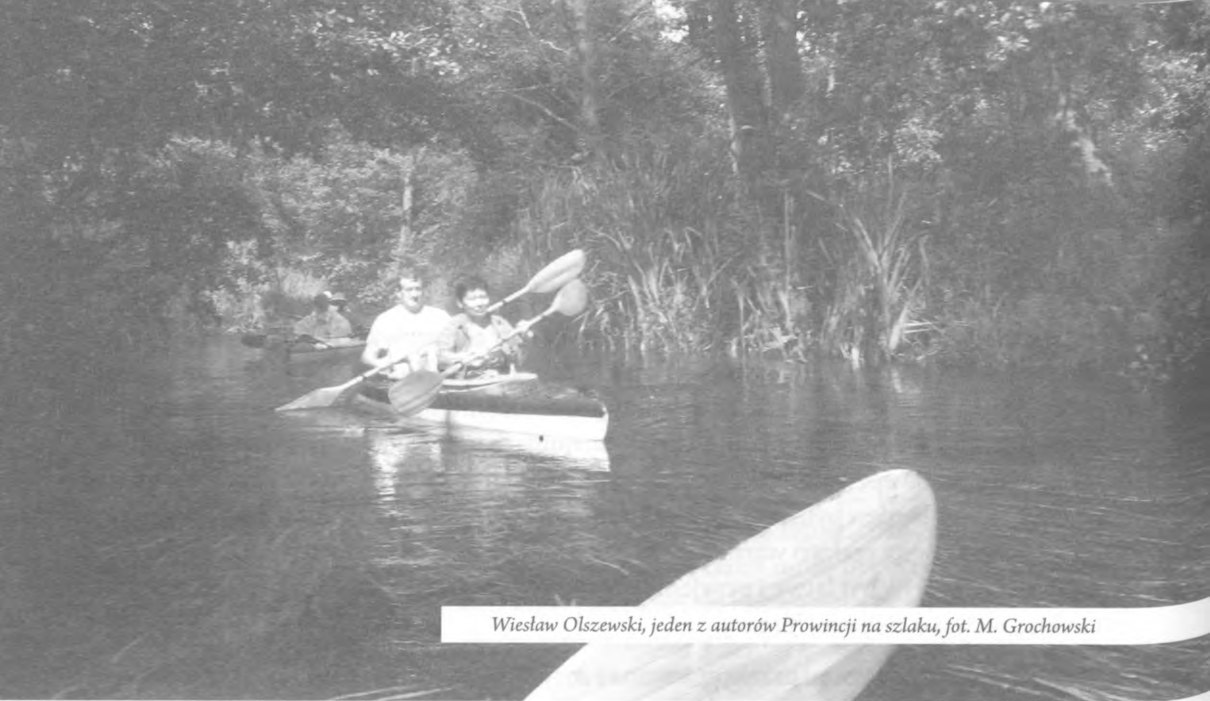
Z początkiem 2012 roku układaliśmy plan wypraw rowerowych, pieszych i kajakowych, jakie zamierzaliśmy zorganizować w ramach działalności Klubu PTTK „Szuwarek”. Mnie przypadło zadanie opracowania trasy i przygotowania interesującego spływu. Przypomniałem sobie, że ciekawą trasą i jednocześnie znajdującą się w stosunkowo niedużej odległości od Nowego Dworu Gdańskiego jest szlak rzeki Drwęcy. Ostatni raz płynąłem tamtędy w 1969 roku i bardzo byłem ciekaw, jak tam obecnie wygląda. W moich wspomnieniach Drwęca była czystą rzeką o wartkim nurcie, a jednocześnie była pozbawiona przeszkód, co sprawiało, że spływ był łatwy i przyjemny. Zaletą było też, że rzeka przepływa przez miasta i miejscowości o ciekawej historii.

Moja propozycja została zaakceptowana i rozpocząłem przygotowania. Ponieważ chcieliśmy, żeby w wyprawie towarzyszył nam samochód przewożący sprzęt biwakowy i ułatwiający zaopatrzenie, musiałem tak zaplanować trasę, aby mógł on dojechać do miejsc wybranych na biwaki. Zadanie okazało się dosyć trudne, ponieważ trzeba było również brać pod uwagę długość odcinków trasy możliwych do pokonania przez kajakarzy. Ponadto mimo usilnych starań czasami trudno było uzyskać wystarczające informacje od władz lokalnych.

W sobotę 7 lipca wyruszyliśmy busem z przyczepką wiozącą kajaki. Po dwóch godzinach dotarliśmy do Miłomłyn, a po dalszej godzinie jazdy lokalnymi (niezbyt dobrymi – delikatnie to określamy) drogami dojechaliśmy do mostu znajdującego się nad połączeniem jeziora Dauby z zatoką Kraga i tam zwodowaliśmy kajaki. Tego dnia mieliśmy do pokonania



Nasza ekipa w drodze, fot. M. Grochowski



Wiesław Olszewski, jeden z autorów Prowincji na szlaku, fot. M. Grochowski

14 km po Jezioraku. Wodniacy wiedzą, że jest to najdłuższe jezioro w Polsce, ciągnące się ponad 30 km z północy na południe. W zależności od kierunku wiatru może być niebezpieczne i trudne do pokonania. My mieliśmy szczęście, gdyż pogoda była prawie bezwietrzna i mimo upału oraz przelotnego deszczu udało się bezpiecznie dotrzeć do pola namiotowego Binduga położonego w pobliżu Ośrodka Wypoczynkowego Telewizji Polskiej. Mieliśmy sporo czasu na rozbicie namiotów, wykąpanie się w jeziorze i sporządzenie posiłku. W nocy rozpułała się burza z gradem, ale na całe szczęście pole biwakowe otoczone jest lasem i dzięki temu wiatr nie poszarpał namiotów.

Ranek przywitał nas słoneczną i prawie bezwietrzną pogodą. Po śniadaniu wyruszyliśmy w dalszą wędrowkę. Dopłynęliśmy do Iławy i tu spotkała nas miła niespodzianka: akurat odbywała się Międzynarodowy Festiwal Kulinarny „Sąsiedzi przy stole”. Za 5 złotych od porcji można było posmakować kuchni naszych sąsiadów. My połakomiliśmy się na kuchnię ukraińską i litewską, i po tej degustacji już byliśmy najedzeni. A na zakończenie poczęstowano nas tortem.

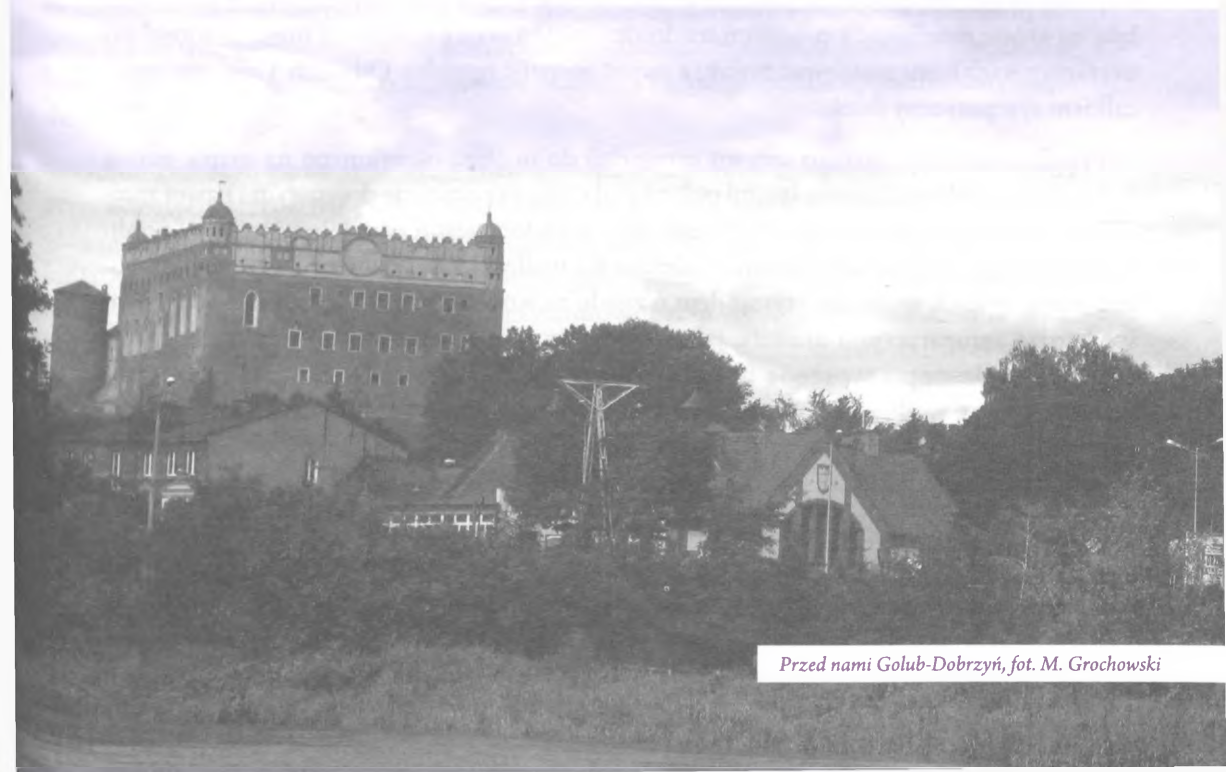
Pierwszy dokument lokacyjny Iławy (nazwanej wówczas Ylavia) został wydany w 1305 roku lecz nie dotrwał do naszych czasów. Miasto założył komtur krzyżacki Zyghard von Schwarzburg. Do najważniejszych zabytków należą: grodzisko wczesnośredniowieczne na wyspie Wielka Żuława, układ urbanistyczny, mury miejskie i gotycki kościół Przemienienia Pańskiego z lat 1317-1325. Biwak rozbiliśmy nad rzeczką Iławką w pobliżu leśniczówki Mały Bór. Wieczorem było ognisko (pan leśniczy przygotował nam wcześniej drewno) w którym uczestniczyli również leśniczy z małżonką. Było bardzo miło i wesoło. Iławka jest wąską, niezbyt głęboką, ale kamienistą odcinkami rzeczką o idealnie czystej wodzie. Jest trudna do przebycia z uwagi na konieczne przenoski i powalone drzewa przegradzające nurt. W środkowym odcinku wzdłuż rzeki ciągną się stawy hodowlane. Natomiast odcinek końcowy płynący przez las jest nadzwyczaj urokliwy.

Rano zwinęliśmy nasze namioty i po przepłynięciu ok 3 km dotarliśmy do Drwęcy, która jest prawym dopływem Wisły. Jej źródła znajdują się niedaleko Olsztynka. Rzeka ma 238 km, a cały szlak kajakowy to 194 km. My planowaliśmy przepłynąć nią ok. 120 km. Ponieważ przeciętny spadek wynosi 30 centymetrów na kilometr nurt w Drwęcy jest wartki a to bardzo ułatwia pokonywanie trasy. Niemniej rzeka bardzo meandruje - pokonywanie każdego zakrętu wymaga uwagi i nieco wysiłku. Niestety z przykrością stwierdziłem, że woda już nie jest tak czysta, jak ją zapamiętałem. Być może na jej stan miały wpływ obfite deszcze, jakie nawiedziły te okolice.

Tego dnia dotarliśmy do Mszanowa miejscowości położonej w pobliżu Nowego Miasta Lubawskiego. Planowane jest tam pole biwakowe, ale my zastaliśmy zarośnięty plac z trudnym dostępem od strony rzeki. Wcześniej próbowałem znaleźć biwak w samym mieście, ale ani na dostępnych mapkach, ani rozmowa z Urzędem Miasta nie wskazywała na to, że będzie to możliwe. Tego dnia pokonaliśmy dystans 24 km.

Nazajutrz popłynęliśmy dalej. Zatrzymaliśmy się na krótko w Nowym Mieście przy plebanii tamtejszej bazyliki. Gotycka Bazylika św. Tomasza Apostoła jest najstarszym i najcenniejszym zabytkiem miasta, o którym pierwsze wzmianki pochodzą z 1325 roku. Po bitwie pod Grunwaldem zostało na krótko opanowane przez wojska królewskie. W 1440 roku miasto przystąpiło do Związku Pruskiego i mieszczanie wypędzili Krzyżaków. Potem znalazło się w zaborze pruskim, a w okresie międzywojennym powróciło do Polski.

Po pokonaniu 26 km wylądowaliśmy przy moście drogowym w miejscu zwanym Topiele, by rozbić namioty obok „Zajazdu pod Kominkiem”. Dzięki temu mogliśmy skorzystać z ciepłego natrysku, a chętni mogli również tam się pożywić. Nazajutrz wyruszyliśmy na liczący zaledwie 17 km odcinek do stacji PTTK na Bachotku. Już na jeziorze trochę po-



Przed nami Golub-Dobrzyń, fot. M. Grochowski

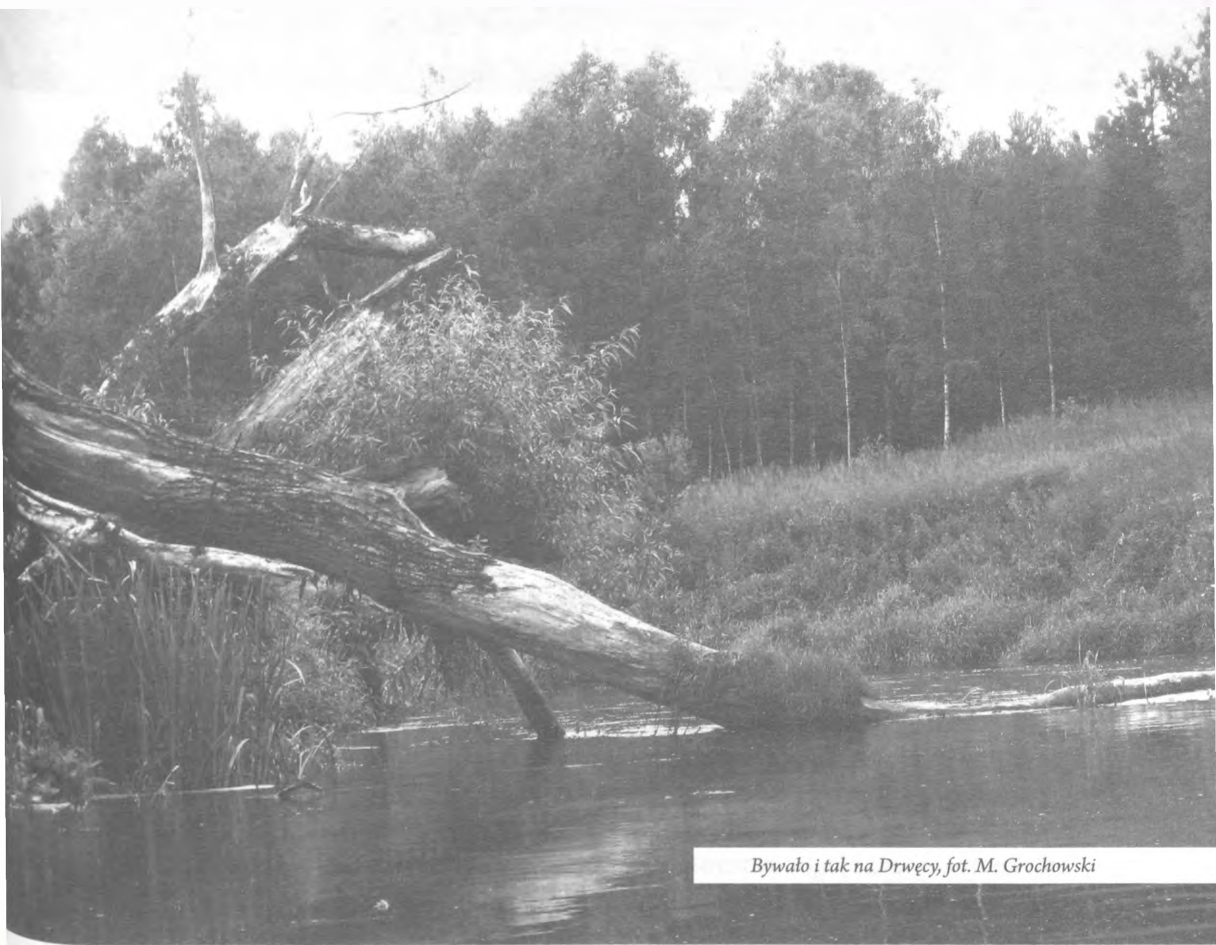
straszył nas deszcz, ale bez przeszkód dotarliśmy do celu. Po załatwieniu niezbędnych formalności rozstawiliśmy nasze namioty w okolicach wiaty, w której znajdowały się stół i ławki. Było wygodniej sporządzać i spożywać posiłki. Tu zaplanowany był dzień wypoczynku.

Następnego dnia wybraliśmy się na wycieczkę do niedalekiej Brodnicy. Jej początki sięgają XIII wieku - już wtedy kronikarz Piotr z Dusburga pisał o ataku Jaćwingów i Litwinów. Ziemię Michałowską w 1303 roku przejęli Krzyżacy a w dwa lata później rozpoczęto budowę zamku. Pierwszy zapis określający Brodnicę jako miasto pochodzi z 1317 roku. W 1481 roku Brodnica znalazła się w granicach Polski. Podczas rozbiorów miasto znalazło się w zaborze pruskim, lecz krótko w latach 1806 – 1815 należało do Księstwa Warszawskiego. Na mocy traktatu wersalskiego Brodnica powróciła do Polski w 1920 roku by w 1939 roku ponownie znaleźć się w granicach Rzeszy. W okresie II Wojny Światowej wielu mieszkańców miasta i okolic zostało wymordowanych zarówno przez Niemców jak i Rosjan. Do najcenniejszych zabytków Brodnicy należą: gotycki kościół św. Katarzyny, ruiny zamku krzyżackiego oraz pałac Anny Wazówny. Warto również odwiedzić miejscowe muzea zlokalizowane w piwnicach zamkowych, zabytkowym spichlerzu przy ul. Św. Jakuba i w Bramie Chełmińskiej oraz po 196 stopniach wdrapać się na wieżę zamkową. Po interesującym spacerze dokonaliśmy niezbędnych zakupów i wróciliśmy na biwak z zamiarem popołudniowej wycieczki kajakami na sąsiednie jezioro Strażym. Niestety po obiedzie rozpętała się burza. Co nie przeszkodziło, że wieczór wykorzystaliśmy na rozegranie meczu siatkówki i kąpiel w Bałochku.

Kolejny dzień spływu powitał nas całkiem dobrą pogodą. Wróciliśmy na szlak Drwęcy. Tego dnia mieliśmy do pokonania najdłuższy etap naszego spływu - ponad 30 km. Ale płynęliśmy z nurtem i dzięki temu było osiągalne przy niewielkim wysiłku oraz kilku przerwach na rozprostowanie kości i posiłek. Dopłynęliśmy do miejscowości Słoszewy – typowej wsi popegeerowskiej. Znajduje się tu Zakład Rolny Sp. z o.o. i jej prezes udostępnił nam łąkę na której mogliśmy, z pewnymi trudnościami (było to pastwisko z masą „śladów” po użytkownikach), zorganizować biwak, a nawet rozpalić ognisko. Odwiedził nas sam szef - całkiem sympatyczny facet.

Przedostatni etap naszego spływu prowadził do miejsca określonego na mapie nazwą Bobrowiska. Jest to otoczona lasami polana nad rzeką przy moście drogowym i nawet znajduje się tam niewielki pomost. Najbliższa wieś oddalona jest o parę kilometrów. W pobliżu znajdują się jedynie zabudowanie należące do nadleśnictwa. Żeby być w porządku wobec władz leśnych wcześniej wystąpiłem o zgodę na rozbić biwaku w tym miejscu. Miejsce bardzo sympatyczne i niestety, jak widzieliśmy po pozostawionych śmieciach, chyba często odwiedzane przez pseudo-turystów. Nawet podczas naszej bytności przyjechała grupa ludzi, którzy wodowali i płynęli do Golubia-Dobrzynia. Było to chyba (mimo śmieci) najsympatyczniejsze miejsce, na jakim biwakowaliśmy podczas całego spływu. Był to nasz ostatni nocleg w namiotach. Nie obyło się oczywiście bez ogniska.

W niedzielę 15 lipca wyruszyliśmy na ostatni (10 km) odcinek do Golubia-Dobrzynia i po około półtorej godziny dobijaliśmy do brzegu przystani WOPR. Usłużny gospodarz przystani, mimo moich sprzeciwów, zaczął wyciągać kajak w którym siedziałem na brzeg.



Bywało i tak na Drwęcy, fot. M. Grochowski

W rezultacie kajak „bujnął się”, a ja wylądowałem prawie po szyję w wodzie. Efekt był taki, że szybko musiałem się przebrać w suche ciuchy, a dokumenty i pieniądze musiałem suszyć. Udało mi się uratować aparat komórkowy, ponieważ trzymałem go akurat w ręku. Załadowaliśmy kajaki na przyczepkę, doprowadziliśmy się do porządku i pojechaliśmy zwiedzić zamek.

Golub-Dobrzyń powstał w 1951 roku z połączenia dwóch miejscowości leżących na przeciwległych brzegach Drwęcy. Sam Golub był miastem już w XIV wieku. Znany jest głównie z turniejów rycerskich i bali organizowanych na zamku Anny Wazówny, siostry króla Zygmunta Wazy, starosty brodnickiego i golubskiego. Ciekawe zabytki poza zamkiem to: gotycki kościół św. Katarzyny, fragmenty murów obronnych, dom podcieniowy oraz kamienice mieszczańskie na rynku. Zwiedzenie zamku było ostatnim akcentem naszej wyprawy.

Pokonaliśmy na wiosłach blisko 170 km. Odwiedziliśmy Iławę, Nowe Miasto Lubawskie, Brodnicę oraz Golub-Dobrzyń, poznaliśmy tamtejsze zabytki i ich historię. Poznaliśmy paru sympatycznych ludzi i nacieszyliśmy oczy pięknymi widokami. A przy tym mieliśmy szczęście do pogody, gdyż podczas spływu pogoda dopisywała, a burze i deszcze „atakowały” nas na zorganizowanych już biwakach.

Wacław Bielecki

FUGA NA TEMAT „ROTY”

9 maja br. minęła 92 rocznica koncertu plebiscytowego Feliksa Nowowiejskiego w Sztumie. Dwa lata temu na promenadzie nad Jeziorem Sztumskim zostało odsłonięte popiersie kompozytora „Roty” dłuta Dawida Kurkowskiego, rzeźbiarza z Torunia, a w kościele św. Anny odbył się koncert organowy na którym grali Jan Nowowiejski, najmłodszy syn oraz Bogna Nowowiejska, wnuczka tego sławnego muzyka. W ubiegłym roku na 110-letnich, sztumskich organach znanej elbląskiej firmy „Terletzki-Wittek” grał Jerzy Kukła, wirtuoz i organmistrz, który m.in. remontował organy w katedrze oliwskiej.

Kontynuacją niedawno rozpoczętej tradycji organizowania koncertów organowych w Sztumie był w tym roku występ znakomitego organisty Ireneusza Wyrwy. Koncert odbył się w niedzielę 29 lipca br.

Na parę godzin przed nim w Sztumskim Centrum Kultury dr hab. Ireneusz Wyrwa wygłosił prelekcję pt. „Nowowiejski – kompozytor niezrozumiany?” Mówił o Nowowiejskim w sposób bardzo ciekawy, albowiem próbował wyjaśnić „pragmatyczne” motywy zachowania się kompozytora w zmieniających się realiach historycznych. Ireneusz Wyrwa ma na temat kompozytora i jego twórczości organowej olbrzymią wiedzę i – co bardzo ważne - potrafi ją przekazać w niezwykle interesujący sposób. Nic w tym dziwnego, wiemy bowiem, że na początku tego roku obronił na Katolickim Uniwersytecie Lubelskim pracę habilitacyjną pt. „Problematyka wykonawcza utworów organowych Feliksa Nowowiejskiego”. Rozprawa ta doczekała się wcześniej publikacji. Do książki dołączona jest płyta z wykonaniem przez I. Wyrwę dwóch symfonii organowych Nowowiejskiego o skrajnych numerach: I i IX. Po prelekcji wszyscy poszliśmy promenadą pod pomnik Nowowiejskiego, by złożyć wiązanek kwiatów temu wielkiemu kompozytorowi, a potem do kościoła na koncert.

Organista zaczął od utworu G. Händla – „Przybycie królowej Saby” z oratorium „Salomon”, znanego dzieła o charakterze tryumfalnym. Utwór został zagrany w jasnych, fanfarynych barwach, chociaż nasze organy leciutko fałszowały w górnych rejestrach, bo wiadomo, im wyżej tym gorzej.

Potem usłyszeliśmy trzy utwory Feliksa Nowowiejskiego znalezione niedawno przez I. Wyrwę w antykwariacie pod Londynem, uważane za zaginione. Miały one spokojny, bardzo refleksyjny charakter. Zostały napisane na konkurs we Francji. W Polsce było to drugie wykonanie, po majowym w katedrze we Włocławku. W zagranej na początku „Medytacji” można było rozpoznać melodię wykorzystaną później przez kompozytora w arii Bogny pt. „Kocham Bałtyku wody” z opery „Legenda Bałtyku” oraz w uwerturze do tego dzieła. W „Ofertorium” op. 3 nr 2 kompozytor przetwarza temat pieśni religijnej – „Kto się w opiekę”. „Taniec aniołów w Pirenejach” – jest związany z miejscem objawienia matki Bożej w Lourdes w Pirenejach. „Pochód do katedry. Marsz uroczysty” op. 8 nr 3 to bardziej znany utwór Nowowiejskiego w rytmie podniosłego marsza grany na wejście do świątyni ce-

lebransa. Podkreślić tu trzeba wręcz przykładowe zachowanie się sztumskiej publiczności, dobrze wyrobionej muzycznie, która nie przerywała tych czterech utworów oklaskami, co wytworzyło atmosferę skupienia i napięcia. Aplauz zabrzmiał na koniec.

Louis James Alfred Lefébure-Wély, ulubiony przez publiczność organista z XIX-wiecznego Paryża, napisał „Bolero de concert”, utwór jako żywo przypominający posuwistego poloneza z niezwykle melodyjną częścią środkową. Brat Dawid, czyli Padre Davide z Bergamo to kompozytor w którego utworach – „Evelatione” oraz „Suonatinie C-dur” - słychać operowe wpływy Donizettiego i Rossiniego. Nieco większych rozmiarów utwór tego włoskiego zakonnika, jego „Sinfonie”, słyszałem na początku lipca br. w katedrze we Fromborku. Wykonywał go znanych naszej publiczności organista Jerzy Kukla. „Sinfonia” to jakby organowa wersja uwertur orkiestrowych G. Rossiniego, wykonana z wykorzystaniem wielu możliwości kolorystycznych wielkich, 5-manuałowych organów fromborskich.

„Improwizacje na temat pieśni <Święty Boże>” Mieczysława Surzyńskiego to wspaniale skomponowany utwór, dedykowany Nowowiejskiemu, dający możliwość pokazania kunsztu organisty, szczególnie w końcowej części, gdzie melodia pieśni „opleciona jest” błyskotliwymi pasażami, a ręce i palce organisty w oszałamiającym tempie dosłownie biegały po klawiaturze.

Na koniec recitalu doczekaliśmy się nareszcie improwizacji na sztumskich organach. Jej tematem była „Rota”, najbardziej znana pieśń Nowowiejskiego. Przyjemnie było posłuchać tajemniczego wstępu z niezwykle wyszukаныmi rejestrami organowymi, m.in. głosem „Vox humana”, czyli głosem ludzkim. Potem słyszeliśmy główny temat w najróżniejszych przetworzeniach przechodzących w części końcowej nawet w 4-głosową, podniosłą i misternie skomponowaną fugę. Utwór ten pokazał możliwości głosowe sztumskich organów, które co trzeba podkreślić, nie są instrumentem koncertowym, ale mają piękne, szlachetne brzmienie i świetnie są dopasowane do akustyki niedużego kościoła. Dziwił się temu brzmieniu jeden ze słuchaczy, który porównywał je do brzmienia koncertowych organów, największego instrumentu w odległej Lubece.

Nie jest tajemnicą, że sztumskie organy zabrzmiały w tym roku znacznie lepiej niż w latach poprzednich, bo do koncertu zostały przygotowane przez organmistrza Piotra Dudę z podwarszawskiego Izabelina. Tak to już jest, że przeglądu głosów i korekty wymagają przed koncertem każde organy i dziękować trzeba współorganizatorowi recitalu, księdzu dziekanowi Andrzejowi Starczewskiemu, że o tym nie zapomniał.

Głównym organizatorem koncertu było Sztumskie Centrum Kultury, które sfinansowało honorarium artysty oraz zapewniło informację o imprezie oraz obsługę techniczną w postaci transmisji obrazu organisty na ekran w kościele, co bardzo ułatwiło kontakt pomiędzy wykonawcą a słuchaczami.

Prelekcję i sam koncert zaliczyć trzeba do bardzo udanych imprez z tzw. wyższej półki kulturalnej. Był to już trzeci koncert, który nawiązuje do pobytu Feliksa Nowowiejskiego w Sztumie w roku 1920 w czasie plebiscytu. Widać, że tego rodzaju przedsięwzięcia mają swoją publiczność i po prostu dobrze jest, że się odbywają.

Ireneusz Wyrwa

Studiował grę na organach pod kierunkiem prof. Juliana Gembalskiego w katowickiej Akademii Muzycznej im. Karola Szymanowskiego uzyskując dyplom z wyróżnieniem. Jego nauczycielem był też prof. Marek Toporowski (klawesyn). Doskonalił swoje umiejętności uczestnicząc w wielu mistrzowskich kursach interpretacji muzyki organowej, prowadzonych przez światowej sławy wirtuozów tego instrumentu. Jest laureatem dwóch ogólnopolskich konkursów: we Wrocławiu (I nagroda, 1994) oraz w Rumii (II nagroda, 1996). W roku 2000 zdobył II nagrodę na Międzynarodowym Konkursie Organowym im. Feliksa Nowowiejskiego w Poznaniu.

Jako solista i kameralista prowadzi ożywioną działalność koncertową w kraju i za granicą. Występuje również z towarzyszeniem renomowanych orkiestr symfonicznych. Jego dorobek artystyczny uzupełniają produkcje płytowe oraz nagrania archiwalne dla Polskiego Radia i Telewizji Polskiej. W maju bieżącego roku koncertował w Bielsku-Białej, Czechowicach-Dziedzicach, Katowicach oraz w katedrze we Włocławku. W tej ostatniej miejscowości otworzył odbywające się od 23 lat Katedralne Koncerty Organowe.

Wykłada w Instytucie Muzykologii Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego oraz na Pańskim Wydziale Teologicznym Collegium Bobolanum w Warszawie. W 2012 roku obronił na KUL pracę habilitacyjną nt. "Problematyka wykonawcza utworów organowych Feliksa Nowowiejskiego w świetle poglądów estetycznych kompozytora". Działa jako organizator życia muzycznego a także jako rzeczoznawca w zakresie historycznego i współczesnego budownictwa organowego.



Fot. 6600 Ireneusz Wyrwa za kontuarem organów kościoła św. Anny w Sztumie, fot. A. Bartnicka

Jerzy Burski

ZACHWYT DLA ŚWIATA

Pani Hanka Uchmańska – malarka ze Sztumu własny, kobiecy potencjał twórczy realizuje na płótnach kolorami i kształtami. Jej pogody są pogodne, niepogody wilgotne, kształty kształtne, a kolory kolorowe. Artystka maluje tradycyjną, ale własną techniką olejną na płótnie. Obrazy mile poruszają kolorystyką i kompozycją. Widać w nich osobistą wrażliwość artystyczną, kobiecą miękkość z powiewem melancholii...

Wydawałoby się, że namalowano już wszystko. Wszystkie sceny biblijne i historyczne, wszystkie pejzaże, martwe natury, vipy i zwykli mają swoje portrety, abstrakcja i frywolność obyczaju uzupełniła materialnie wyobraźnię i przestrzeń.

Mimo „nadprodukcji artystycznej”, malarze stawali, stają i będą stawać nadal przed sztalugami z zamiarem namalowania czegoś, albo kogoś, powiedzenia komuś czegoś niezwykłego, albo zwykłego. Odwaga twórcza malarza przedstawienia wszystkim swojego pomysłu na swój sposób, prezentacja wartości własnego intelektu, wewnętrzny niepokój twórczy i napęd, popis umiejętności warsztatowych, pokaz czegoś oryginalnego to motywacje do malowania. Inne kierunki twórczości plastycznej, muzycznej, literackiej czy kulinarnej bazują prawdopodobnie na tym samym potencjale.

Dlaczego Pani Hanka maluje?

Autorka wspomina: *Pamiętam z dzieciństwa nieustannie powtarzane słowo **musisz**, które prześladowało mnie przez wiele lat. Musisz być grzeczna, bo tak trzeba, tak wypada, bo każdy, kto jest grzeczny, to... Musisz pomagać, przecież my tyle dla ciebie robimy, aby ci... . Zbyt mała byłam, aby wtedy rozumieć, co znaczy” to... i aby ci... ale posłusznie starałam się. Mijały lata, przyszłość stawała się terażniejszością, w pracy znowu słyszałam: **musisz się starać**, bo tylko najlepsi... **Musisz się spieszyć**, bo terminy, bo czas ucieka... **Musisz to zrobić dziś**, bo jutro... I choć nie było to dla mnie oczywiste, że tylko najlepsi..., bo czas ucieka..., bo jutro... Przyszł taki czas, że nikt już nie mówił mi: **musisz, bo**. To było we mnie, tak wszechogarniające i natrętne, że można było się w tym pędzie - za przyszłością swoją i bliskich - zatracić. W tym wszystkim nawet nie spostrzegłam, jak przez blisko pół wieku żyłam tylko w jednym wymiarze **przyszłości**.*

Obecnie za jej niezwykle sympatycznym uśmiechem i naturalną skromnością kryje się silna, określona osobowość generująca różne warianty piękna. Na początku były przemyslenia i próby ich malarskich realizacji. Powstawały symboliczne serie obrazów pełne zagadek i intelektualnej głębi. Zanim powstały te dzieła dojrzałe Pani muzyk - absolwentki Uniwersytetu Warmińsko-Mazurskiego, wstąpiła i ukończyła z wyróżnieniem Akademię Sztuk Pięknych w Gdańsku. Było to już w XXI wieku.

A co teraz? Każdy jej obraz to jakaś bardzo ważna dla niej chwila, ta niepowtarzalna, impresja wywołana silnym wrażeniem uczuciowym, wzrokowym, słuchaną muzyką, ogólnie

zachwytem dla świata. Natura była i jest dla wielu najwspanialszym magazynem twórczej inspiracji. Tak powstał zapewne pierwszy cykl: „Punkt widzenia”. W obrazach symbolicznych z tej serii zawarła swoje artystyczne przemyślenia widzianych kompozycji form geometrycznych, światła kontrastujące z delikatnymi elementami roślinnymi. Pejzaże zawierają osobisty spokój malarki. Każde wnętrze z jej pejzażem staje się oazą spokoju, miejscem do estetycznego relaksu.

Czy te ważne „chwile autorskie” są równie ważne dla oglądających obrazy? Pewnie tak, bo wrażliwi na piękno mają już wiele obrazów Pani Hanki w swoich mieszkaniach i biurach. Ile pięknych chwil i kształtów ocaliła nam od zapomnienia ...

Powstające serie malarskie z genezą muzyczną świadczą, że wykształcenie muzyczne i osobista wrażliwość na dźwięk, tekst i głos nie daje o sobie zapomnieć, przepycha się ciągle lub wtrąca w jej jaźń malarską. Pierwsza seria obrazów „muzycznych” była inspirowana niezwykle muzyką Czesława Niemena. To malarski prawie zeszyt nutowy wielkiego muzyka. Dziwny, ale niezwykle był ten świat. Niemen zawiesił bardzo wysoko poprzeczkę swojej twórczości muzycznej dla każdego, kto chciałby się w nią wtrącić, mimo to Pani Hanka podjęła ryzykowne, równoległe wyzwanie artystyczne. Udało się! Na wystawach zwiedzających oglądając symboliczne obrazy, rozpoznawali symboliczne dzieła muzyczne.

Napisałem przed kilku laty: „Niemen nie uspokoił jej kreatywności. Teraz poruszyła jej serce i nakazała malować niepowtarzalną twórczość Marka Grechuty. To kolejna seria.

O jego muzyce nie trzeba się rozpisywać. Każdego rozmarzała, teraz przywołuje wspomnienia, wewnątrznie uspokaja. Obrazy mają swoje tytuły i niewątpliwie pasują one swą formą i duchem do treści piosenek, ale autorka zostawia nam na wystawie dośpiewanie sobie lub donucenie, co który obraz śpiewa i jaki ma mieć tytuł. Jako odbiorcy mamy przecież prawo dodać własny prywatny tytuł do obrazu, szczególnie jak zawiśnie on w naszym domu.

Malarce zalecałem: „*Dokazuj miła, dowodź...*”

Ostatnia seria obrazów „Intymnie” zaczarowała publiczność w czasie wernisażu w Warszawie. Do serii powinien być dołączony duży klaser, żeby te precjoza razem zgromadzić i nie rozdzielać. Obrazy malowane jakby ascetycznie w aspekcie koloru, ale gdyby rozszerzyć kolorystykę obrazy straciłyby prawdopodobnie swą intymność. Przebogata forma pachnie elegancką erotyką. Piękno kobiece potraktowane bardzo osobiście. Powycinane fragmenty sylwetki tworzą obramowane kompozycje generujące głód estetyczny obejrzania całości modelki. Widać ile widać, resztę autorka zostawiła wyobraźni oglądającego.

Twórczość seryjna Pani Hanki przeplatana jest nastrojami chwilowymi. Stąd pochodzą impresje i ekspresje. Tematyka ich jest nieokreślona, a więc i zaskakująca. Wrażenia kolorystyczne przeplatając się z przeróżnymi formami kształtów, tworzą autorskie, rozpoznawalne malarstwo.

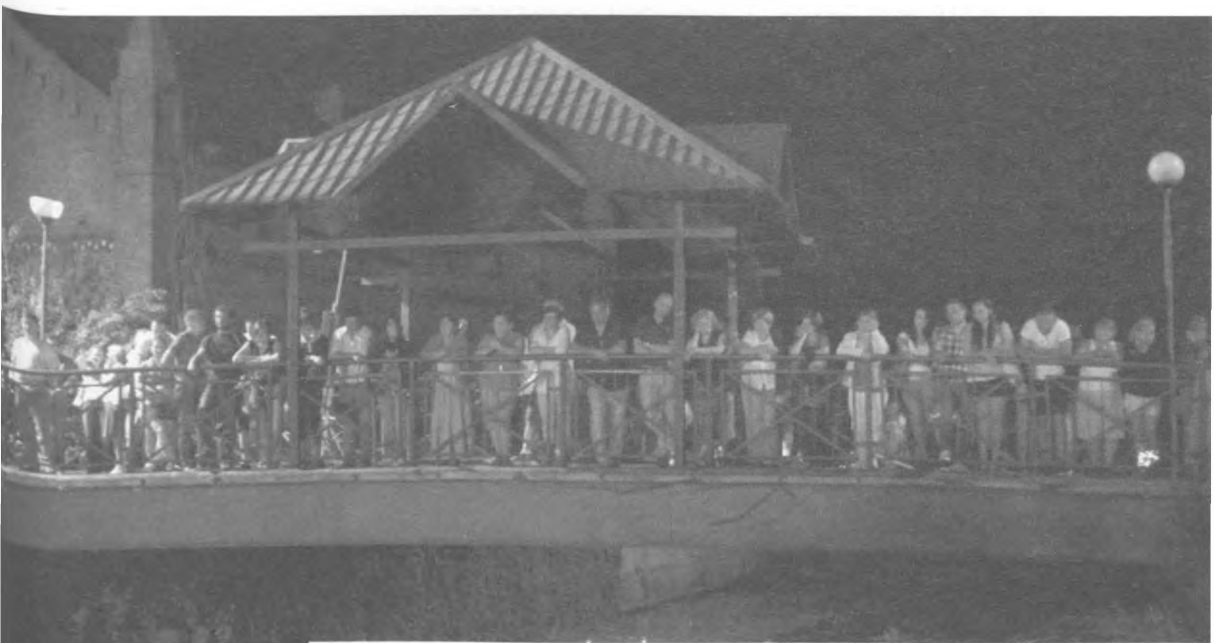
Andrzej Kasperek

OBRAZY I MUZYKA NA WODZIE

Czasem się zastanawiam, jakich dopalaczy używa Marek Opitz, albo kiedy śpi, albo czy czasem odpoczywa? Zaczynam od tego wstępu nie przypadkiem. Marek jest człowiekiem nadzwyczaj aktywnym – z sukcesem zarządza Żuławskim Parkiem Historycznym, szefuje Klubowi Nowodworskiemu, wydaje książki i albumy, organizuje wystawy. A poza tym restauruje dom podcieniowy w Cyganku. W jego wydaniu oznacza to, że osobiście układa klinkierowe posadzki, stawia ściany etc. A kiedy wieczorem usiądzie, to tylko po to, żeby wymyślać nowe rzeczy. Jednego jestem pewny – dobrych pomysłów mu nigdy nie zabraknie.

Wystawa „Rzeka Pełna Historii” jest najlepszym tego przykładem. Kilkanaście wielkich zdjęć dawnego Nowego Dworu Gdańskiego wraz ze zdjęciami podwodnymi Tugi zostało położonych na wodzie. Oświetlone latarkami wodoodpornymi i ułożonymi na liściach nenufarów świeczkami wprowadzały w dawny klimat miasta nad wodą. Na mostach ustawione też były tablice z opisami zdjęć na leżących na wodzie. Była to pierwsza prezentacja w powstającej „Galerii 7 mostów”.

Marek Opitz jest zafascynowany tą niedługą, liczącą raptem pięćdziesiąt kilometrów rzeką – bada jej bieg, poświęcił jej książkę, od kilku lat współorganizuje *Tuga BioBlitz*, czyli zawody w badaniu jej bioróżnorodności. Jego zasługą jest też akcja corocznego sprzątnięcia Tugi. Poza tym jest wodniakiem a jego dom stoi o kilka metrów od rzeki. Nie obraził się na nią nawet wówczas, kiedy kilka lat temu w czasie tzw. cofki z Zalewu Wiślanego podtopiła jego włości.

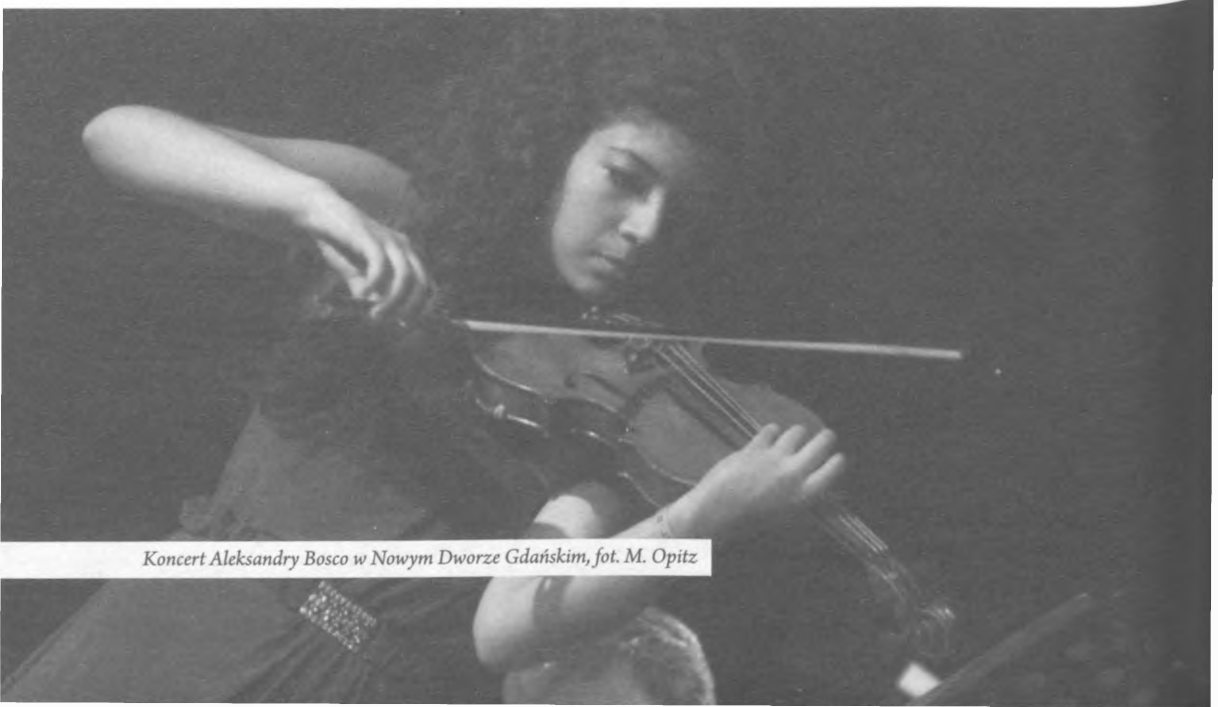


Wystawa na wodzie, fot. M. Opitz

Zorganizowana w piękny lipcowy wieczór wystawa na wodzie miała przypomnieć nowodworzanom, że ta powolna rzeka, o której złośliwi mówią, że nie wiadomo, w którą stronę płynie, późnym latem tak zarastająca salwinia, czyli wodną paprocią, że przypomina zielony trawnik, jeszcze do lat siedemdziesiątych XX wieku była rzeką żeglowną. Płynęły nią barki, które unosiły do Gdańska, Elbląga i dalej w świat cukier z Nowego Stawu, machandla z wytwórni Stobbego, sery z mleczarni Kriega i wiele innych produktów. Rzeka żyła – była źródłem ryb a w wolnych chwilach mieszkańcy miasta pływali po niej na łódkach i żaglówkach. Mosty, które pozostały są na to dowodem. Były zwodzone, żeby transport wodny mógł odbywać się bez przeszkód. Dziś niewiele z tego pozostało. Mostu nikt już nie musi dźwigać do góry. Czasem tylko przepłynie kajak lub łódka.

Tak się złożyło, że udało się połączyć „obrazy na wodzie” z „muzyką na wodzie”. Co prawda nie wykonywano słynnej suity G. F. Haendla, ale otwarcie galerii uświetnił koncert na łodzi włoskiej skrzypaczki Alessandry Bosco, która od pięciu lat związana jest z orkiestrą Teatru Massimo Bellini w Katanii. Siedemnastoletnia artystka wykonała na swoim XIX-wiecznym instrumencie pięć utworów przyjętych gromkimi brawami. Pewnie dla uroczej Włoszki będą to niezapomniane wakacje – przyjechała do swojej polskiej przyjaciółki i stała się ozdobą wielu wydarzeń w Nowym Dworze Gdańskim – zagrała dla Bolesława Kleina w czasie uroczystego wręczania mu niemieckiego odznaczenia Krzyż Zaslugi z Wstęgą za wysiłki dla pojednania i współpracy obu narodów, ozdabiała wieczór promocyjny „Prowincji” a nawet Żuławski Ośrodek Kultury zorganizował koncert, na którym wspólnie z pianistą Marcinem Maliszewskim grali Bacha, Schuberta, Vivaldiego i innych kompozytorów.

A poza tym na prowincji jest jak zwykle nudno, psy tradycyjnie wyją do księżycy i nic się nie dzieje. O czym donosi wasz żuławski korespondent.



Koncert Aleksandry Bosco w Nowym Dworze Gdańskim, fot. M. Opitz

Dorota Maluchnik

AKTOR WSIĄKA W ULICĘ

7 lipca 2012 odbył się w Szumie - z inicjatywy Sztumskiego Centrum Kultury – II Festiwal Teatrów Ulicznych. W wydarzeniu tym wzięły udział następujące zespoły: *Teatr Nikoli* z Krakowa, *Teatr na Walizkach* z Oborników Śląskich, *Teatr na Bruku* z Wrocławia, *Teatr Pinezka* z Gdańska oraz sztumska grupa teatralna o nazwie 3.5.

Teatr uliczny jest jedną z odmian teatru alternatywnego (awangardowego, otwartego, niezależnego), stanowiącego - jak sugeruje nazwa tego zjawiska- alternatywę wobec teatru instytucjonalnego. Nazwa tego nurtu pochodzi od rozwijającej się w latach 60-tych ub. wieku tzw. sztuki alternatywnej, będącej w opozycji do oficjalnie obowiązujących norm. W Polsce teatr ten stał się modny w latach 80 XX w.. - prym wiodły wówczas takie grupy teatralne jak: poznański *Teatr Ósmego Dnia*, teatr KTO z Krakowa oraz - nieco później - gdański *Teatr Snów*. Teatr alternatywny w Polsce kojarzony jest przeważnie z teatrem studenckim. Tym bardziej warto podkreślić, iż obecnie coraz częściej – czego dowodem są grupy, które wystąpiły w Szumie - zespoły takie zakładane są przez profesjonalnych aktorów. To rozróżnienie jest ważne, gdyż sugeruje, iż nie należy utożsamiać tej formy teatru z teatrem amatorskim (jakkolwiek w obrębie tego nurtu działają również grupy, w których występują aktorzy – amatorzy, czego przykładem jest sztumska grupa 3,5).Warto w tym miejscu nadmienić, iż określenie teatr uliczny jest węższe niż określenie teatr alternatywny, z czego należy wyciągnąć wniosek, iż nie każda forma teatru alternatywnego jest jednocześnie formą teatru ulicznego. W Polsce w wielu miastach odbywają się międzynarodowe festiwale teatru ulicznego (jak również alternatywnego i plenerowego) - najbardziej znane spośród nich to: gdańska FETA (odbywająca się w lipcu), poznańska MALTA (zazwyczaj odbywa się w czerwcu lub lipcu) oraz Warszawski Międzynarodowy Festiwal Teatralny Sztuka Ulicy (odbywa się on od roku 1993). Bardzo ważne są również festiwale odbywające się w Cieszynie i Jeleniej Górze. Natomiast w skali Europy jednym z najsłynniejszych festiwali jest Fringe, odbywający się co roku w sierpniu w Edynburgu.

Aby zrozumieć zjawisko teatru ulicznego, warto sięgnąć po wypowiedzi twórców z nim związanych. Zdzisław Górski, przez wiele lat współtworzący z gdański Teatr Snów, wypowiedział się na temat teatru ulicznego w taki oto sposób: Każdy kto spróbował z powodzeniem teatru ulicznego, będzie do niego wracał. Bo udany spektakl na ulicy sprawia ogromną satysfakcję. A mogę porównywać. Oczywiście scena daje poczucie bezpieczeństwa, wymaga precyzji i umożliwia ją. Ale udane przedstawienie uliczne - kiedy wybrzmi, stanie się - jest teatrem o dużo większej intensywności. Wsiąkliśmy w tę ulicę i wracaliśmy do niej, by ostatnie lata grać tylko tam, na niej.

Górski wspominał także o różnych przejawach teatru ulicznego, z których forma ma-

giczna wydaje się być najbardziej twórcza. Współtwórca krakowskiego KTO (nazywanego „teatrem w podróży”), którego nazwa interpretowana jest jako Krakowski Teatr Osobliwości lub Krakowski Teatr Objazdowy, poeta Bronisław Maj w wywiadzie z okazji 35-lecia istnienia powiedział między innymi, że teatr ten miał mówić prawdę o rzeczywistości, co w czasie jego powstania (koniec lat 70-tych) było raczej trudne. W okresie stanu wojennego w Polsce przedstawienia w konwencji teatru ulicznego realizował poznański Teatr Ósmego Dnia. Pamiętam jedno z ich głośnych przedstawień, zatytułowane „Ach, jakże godnie żyliśmy” , które oglądałam przed krakowską Rotundą podczas Krakowskich Reminiscencji Teatralnych (w realiach stanu wojennego) roku 1983. Kontekst ówczesnej rzeczywistości stwarzał wówczas szczególną aurę, całkowicie niepowtarzalną. Jak wiadomo, w okresie zaostrzonej cenzury teatr posługiwał się szczególną symboliką, ponadto cechowała go aluzyjność do wydarzeń politycznych. Tym bardziej cieszy, iż obecnie – jak wynika z przeglądu spektakli przywiezionych na sztumski przegląd - polski teatr uliczny wrócił do źródeł teatru, koncentrując się na zabawie, popisach aktorskich oraz interakcji z widzem.

Tegoroczny przegląd teatrów ulicznych rozpoczął się przedstawieniem pt. „Country show” w wykonaniu krakowskiego Teatru Nikoli (nota bene również zakończenie przeglądu należało do tego teatru-tylko najwytrwalsi widzowie obejrżeli po północy spektakl zatytułowany „Nokturny Chopina”). „Country show” oparte zostało na muzyce amerykańskiej. Spektakl ten zachwycał zwłaszcza dzieci (licznie zgromadzone na sztumskim



Teatr na Bruku w Sztumie, fot. J. Ryszkowski

rynku). Cechowała go widowiskowość, ciekawe kostiumy cowbojów, zastosowanie puppets oraz takich rekwizytów jak wózek z lalkami. W kolejnym przedstawieniu, zatytułowanym „Maruczella” obok licznie stosowanych gagów na uwagę zasługiwała ciekawa scenografia, białe kostiumy, rekwizyty (walizki), a także układy ruchowe. W spektaklu pojawiły się elementy groteski. Fabuła tego spektaklu w luźny sposób wiązała się z flirtami i zalotami miłosnymi, scenerią był stary dworzec kolejowy (stąd obecność takich rekwizytów jak walizki). Zarówno aura niedopowiedzenia, jak i subtelna gra aktorów były świadomym nawiązaniem do filmów Federico Felliniego (zwłaszcza kostiumy aktorów, peruki).

Jednym z elementów gry aktorskiej (łącznie ten spektakl z formą teatru ulicznego) było wciąganie widzów w akcję.

Kolejny spektakl Teatru Nikoli, zaprezentowany około północy, zatytułowany był „Nokturny Chopina”. Na uwagę zasługiwały: ciekawe białe kostiumy, rozbudowa fabułą, ciekawa scenografia – siatki (pajęczyna), muzyka, płąsy (zaloty??).

Przedstawienia wrocławskiego Teatru na Bruku scharakteryzować można jako pokaz scenek fabularnych, gagów sytuacyjnych, a także aktorstwa nawiązującego do okresu kina niemego. Na uwagę zasługiwały ciekawe efekty wizualne (Charlie na rowerze z fajerwerkami, policjant nowojorski), kostiumy, charakteryzacja (Charlie, policjant, Goryl). Główny wykonawca z powodzeniem wciągał publiczność akcją sztuki. Warto nadmienić, iż Teatr na Bruku jest prywatnym profesjonalnym teatrem. Ideą założenia tego teatru było zareagowanie na zmniejszające się zainteresowanie społeczeństwa sztuką (także te-



Teatry uliczne w Sztumie, fot. J. Ryszkowski

atrem). Teatr ten, założony przez Bogdana Michałowskiego i Marka Oliwę, posługuje się takimi formami jak: burleska, slapstick, happening.

Gdański Teatr Pinezka, istniejący od wielu lat i znany jest widzom z całej Polski między innymi z takich spektakli jak: „Paradowanko”, „Wielka Podróż Klauna Pinezki”, „Stary clown i morze”. Zaprezentowane w Sztumie przedstawienie Zielona kraina w wykonaniu tego teatru przeznaczone było głównie dla dzieci - widoczne były w nim takie elementy jak: żonglerka, clownada, puppets.

Widzowie zgromadzeni na rynku w Sztumie byli pod wielkim wrażeniem występów mima, będącego jednym z trójki aktorów tworzących Teatr na Walizkach z Oborników Śląskich. Warto wspomnieć o dwóch spektaklach, zaprezentowanych przez ten teatr, a były to „Błazenologia” i „Beczka śmiechu”. W spektaklach tych komediowe wątki fabularne łączyły się z gagami i improwizacją. Aktorzy z powodzeniem wciągali widzów akcją. Spektakle te wyróżniały się nie tylko humorem, lecz – przede wszystkim - wirtuozerią gry aktorskiej. Teatr na Walizkach wyróżnił się perfekcjonizmem aktorskim – spektakle te składały się z pantomimy, elementów clownady, żonglerki. Interakcje głównego wykonawcy z publicznością były bardzo udane. Z przyjemnością należy odnotować, iż – jakkolwiek wykonawcami byli profesjonalni aktorzy - rutyna nie zabiła ich wrażliwości.

Sztumska grupa 3,5 wystąpiła w późnych godzinach wieczornych, przedstawiając spektakl zatytułowany „Przeniesienia”, który swą konwencją odbiegał od tego, co widzowie w tym dniu zobaczyli, dlatego też wywołał lekką konsternację. Spektakl ten - w bardzo zmetaforyzowany sposób - ukazywał poszukiwanie przez człowieka jego drogi życiowej. Reżyser spektaklu, Marek Kurkiewicz, związany przez szereg lat z gdańskim Teatrem Snów od niedawna tworzy w Sztumie, w związku z czym materiał aktorski, jakim dysponuje, jest jeszcze bardzo skromny. Pokazać na scenie metaforę ludzkiego losu jest rzeczą niezmiernie trudną. Nie mniej jednak, warto odnotować, iż tego rodzaju działania są bardzo chwalebne, zwłaszcza w mieście takim jak Sztum, gdzie zapotrzebowanie na kulturę (teatr) jest olbrzymie.

Kończąc te rozważania chciałabym wspomnieć, iż wszystkie spektakle zaprezentowane na sztumskim rynku miały piękną oprawę muzyczną. Ciekawym rozwiązaniem (tu ukłon w kierunku organizatorów) było, iż każdy teatr biorący udział w przeglądzie miał własną przestrzeń gry.

Na zakończenie warto pochwalić - za wytrwałość oraz aplauz i aktywny udział - sztumską publiczność, licznie zgromadzoną na rynku.

Adam Langowski

CZEKAJĄC NA POLSKĘ

Maria Donimirska, „Bóg dał nam czas próby. Wspomnienia z lat 1918-1935”, wstęp i przypisy Andrzej Lubiński, Biblioteczka Towarzystwa Miłośników Ziemi Sztumskiej, t.9, Sztum 2012.

W ostatnich dniach lipca 2012 r. odbyły się w Sztumie uroczystości z okazji 90. rocznicy utworzenia Związku Polaków w Niemczech (ZPwN). Jednym z punktów obchodów było poświęcenie w kościele św. Anny tablicy upamiętniającej Kazimierza i Marię Donimirskich z Małych Ramz. Podobną tablicę umieszczono również na ścianie rodzinnego dworku w Małych Ramzach. Małżeństwo Donimirskich odgrywało w okresie międzywojennym bardzo ważną rolę w polskim życiu narodowym na Powiślu, a Kazimierz był jednym z liderów ruchu polskiego na naszych terenach.

Maria Donimirska pozostawiła wspomnienia, które od lat 50. ubiegłego wieku znajdowały się w zbiorach Muzeum Warmii i Mazur w Olsztynie. Dzięki staraniom Towarzystwa Miłośników Ziemi Sztumskiej udało się je wydać w roku jubileuszu ZPwN. Rękopis opracował oraz opatrzył go wstępem i przypisami Andrzej Lubiński. Wspomnienia dotyczą lat 1918-1935. W publikacji zostały podzielone na sześć części.

Część pierwsza („Czekając na Polskę”) przynosi nam wiele zapisów oddających atmosferę nadziei i niepewności związanych z zakończeniem I wojny światowej oraz oczekiwaniem na postanowienia konferencji pokojowej w Paryżu. Doniesienia z gazet niemieckich i francuskich mieszały się w tamtym czasie z informacjami dochodzącymi z pol-



skich kręgów. Często musiano zdawać się na własne domysły lub krążące plotki, co wzmagalo niepokój. Maria wspomina, że „z podniesieniem nie do opisania przetrwaliśmy te długie miesiące”. Kazimierz występował w obronie praw miejscowych Polaków i nie unikał konfrontacji z landratem sztumskim. Decyzja mocarstw o przeprowadzeniu plebiscytu na Powiślu została z trudem przyjęta przez uświadomionych narodo-wo Polaków. Maria pisze, że „był to cios nieoczekiwany”. Po początkowym szoku Polacy mobilizują się, a Maria na zebraniach kobiecych w Sztumie i Pierzchowicach mówi o czasie próby, który dał im Bóg.

Drugi fragment wspomnień („Przez granicę”) poświęcony jest ojcu Marii, dr. Teofi-

lowi Rzepnikowskiemu z Lubawy, wybitnemu działaczowi społeczno-gospodarczemu, który latem 1919 r. został uprzedzony o planowanym aresztowaniu i musiał wyjechać do czasu, aż zagrożenie minie.

Kolejna część („Kazio i sprawy plebiscytowe”) opowiada o przygotowaniach do akcji plebiscytowej. Maria Donimirska opisuje m.in. tworzenie się struktur Warmińskiego Komitetu Plebiscytowego, w którym Kazimierz pełnił przez pewien czas funkcję prezesa. Odnajdujemy tu sporo gorzkich słów na temat plebiscytu i towarzyszących mu nastrojów. Rozczarowanie wynikało z obojętności wobec sprawy ze strony najważniejszych czynników państwowych oraz poczucia osamotnienia Polaków z terenów, na których zaplanowano głosowanie. Maria relacjonuje wyjazdy męża do Warszawy, gdzie „trudno było naszej delegacji trafić do czynników miarodajnych”. Zapisuje również, że Kazimierz wracał „rozgoryczony brakiem zainteresowania, eksperymentowaniem na naszej sprawie”. Autorka wspomnień zwraca uwagę, że stosunki pomiędzy działaczami plebiscytowymi nie zawsze układały się pomyślnie, a nawet stwierdza, że „plebiscyt to rozpętanie szatana o lepsze w podjudzaniu ludzi przeciw sobie”. Nie możemy, niestety, zapoznać się z całością wspomnień dotyczących plebiscytu, ponieważ w rękopisie brakuje piętnastu kluczowych stron obejmujących okres od lutego do 11 lipca 1920 r.

W pozostałych częściach wspomnień przeważają zapisy ukazujące życie rodzinne Donimirskich w Małych Ramzach. Maria wiele miejsca poświęca sprawom wychowania swoich dzieci, opisuje codzienne zajęcia i opowiada o zaangażowaniu w pracę wokół dworu i gospodarstwa. Dzieci wdrażane są do różnych prac, także fizycznych, oraz biorą udział w zajęciach mających na celu ich rozwój inte-

lektualny. Rodzice - aktywni działacze narodowi - kształtują w nich postawy patriotyczne. Starsze uczestniczą wraz z ojcem w uroczystościach sprowadzenia zwłok Juliusza Słowackiego zorganizowanych w Grudziądzu. Dbanie o tożsamość narodową służą także wspólne lektury. Podczas popołudniowej sjeisty czytano „Wierną rzekę” oraz „Ogniem i mieczem”. Maria zabiera również dzieci nad morze, gdzie odbywają rejs polskim statkiem z Gdańska do Helu. Po powrocie z wycieczki wyraża nadzieję, że „rozszerzyła ona ich widnokrąg umysłowy”. W tych częściach wspomnień Maria Donimirska jest przede wszystkim matką zatroskaną o swoje dzieci. Codzienne obowiązki przeplatają się z działalnością w Towarzystwie Kobiet św. Kingi, próbami teatru, organizowaniem balu ziemianek oraz przygotowaniem do zabawy letniej w lasku ramzińskim. Kazimierz uczestniczy w zebraniach Kółek Rolniczych, przyjmuje w Małych Ramzach znakomitych działaczy ruchu polskiego w Niemczech, takich jak m.in. dr Jan Kaczmarek. Małżeństwo bierze udział w sejmiku przedwyborczym w Sztumie, gdzie - co ze smutkiem odnotowuje Maria - „obywatelstwo świeciło jak zwykle nieobecnością”. W końcowych fragmentach wspomnień odnaleźć można informacje dotyczące okoliczności nabycia przez Zbigniewa Donimirskiego majątku w Waplewie.

Wspomnienia zostały wzbogacone anekdami w postaci legendy autorstwa Marii Donimirskiej zatytułowanej „Kartka z dziejów Sztumu” oraz „Błogosławieństwa” - przesłania do dzieci sporządzonego przez Marię krótko przed śmiercią w 1942 r. Ponadto zamieszczono tu skany jednodniówki „Hallo, Malborska!” - pisemka powstałego na pamiętkę wakacji spędzonych na Powiślu w 1936 r. Publikacja zawiera również wiele fotografii przedstawiających członków rodziny Doni-

mirskich. Całość została starannie wydana, a do książki dołączono pamiątkową zakładkę z wizerunkami Marii i Kazimierza Donimirskich, nawiązującą jednocześnie do rocznicy powstania ZPwN. Lekturę wspomnień ułatwiają przypisy sporządzone przez Andrzeja Lubińskiego. Dzięki nim postaci wymieniane we wspomnieniach przestają być anonimowe, a pojęcia stają się bardziej zrozumiałe. Pozwalają również zorientować się w często zawiłych powiązaniach rodzinnych. Przypisy posłużyły ponadto do sprostowania nie

zawsze sprawiedliwych opinii wyrażonych przez Marię na temat niektórych osób.

Na ślubie Marii i Kazimierza w 1909 r. Zofia Chrzanowska wygłosiła mowę, w której zwróciła się do panny młodej, życząc jej, „aby jako Polka wspierała męża w pracach narodowych”. Publikowane wspomnienia dowodzą, że tak właśnie było. Oboje działali na rzecz utrzymywania polskości na Powiślu i chyba doczekali się wreszcie szerszego uznania oraz trwałych dowodów pamięci.

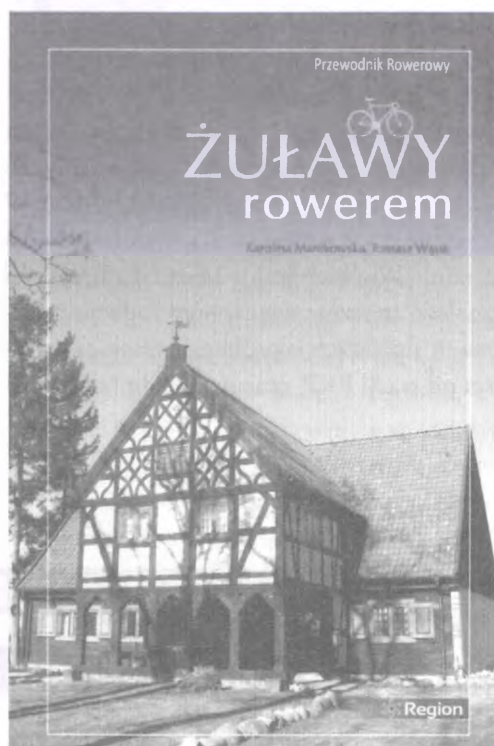
Wacław Bielecki

SPOSÓB NA DEPRESJĘ

Karolina Manikowska, Tomasz Wąsik, *Żuławy rowerem*, Gdynia 2012, Wydawnictwo REGION.

Prezentowana książeczka to chyba pierwszy w historii przewodnik rowerowy po Żuławach. Młodzi autorzy z Malborka twierdzą, że rower jest urządzeniem wprost stworzonym do wycieczek po Żuławach, bo wiadomo, że to płaski teren, a więc przyjaźny cyklistom.

Publikacja składa się z dwóch części. W pierwszej, zatytułowanej – O Żuławach słów kilka – króciutko przedstawiona jest historia Żuław i działających tu związków wałowych oraz budowlę i urządzenia hydrotechniczne, budownictwo sakralne i typowe dla tego zakątka zagrody holenderskie. Druga część to opisy dwunastu tras rowerowych o łącznej długości 618 km, z których najkrótsza wynosi 37 km, a najdłuższa 75 km, większość około 50 km. Opis każdej trasy poprzedzony jest kolorowym planem oraz podstawowymi informacjami dotyczącymi: jej przebiegu przez kolejne miejscowości, podaniem długości trasy w kilome-



trach oraz rodzajem i jakością nawierzchni przebywanych dróg (asfaltowe, nieutwardzane itp.). Potem następuje opis trasy. Każda z nich jest tak nazwana, że od razu można zorientować się nie tylko dokąd prowadzi,

ale jaki jest cel wędrówki. Mamy więc, np. Szlak domów podcieniowych Żuław Malborskich, *Szlak zwodzonych mostów, Dawne i dzisiejsze przeprawy przez Wisłę, Nekropolie Żuław Elbląskich i Małych*. Ciekawe są też wyodrębnione w ramkach, syntetyczne informacje natury historycznej o przepompowni w Chłodniewie, słynnej jałowcówce Machandel, błogosławionej Dorocie, z Mątw (autorzy piszą - z Mątówów), przekopie Wisły w 1895 r., czy pastorze - historyku Żuław Abrahamie Hartwiche. Na każdej stronie znajdują się ładne, kolorowe fotografie wykonane przeważnie przez autorów, trudno znaleźć stronę bez zdjęcia.

Przewodnik został wydany w małym formacie, który ułatwia zabranie go na wędrówkę, choć z drugiej strony wymaga dobrego wzroku do odczytania drobnych liter. W porównaniu do standardowych przewodników brakuje w nim dokładniejszych informacji związanych z - nazwijmy to - technicznym przebiegiem każdej z tras. W znanym mi w przewodniku rowerowym po Krainie Wielkich Jezior Mazurskich, można znaleźć znacznie więcej tego rodzaju informacji, np. takich jak: długość trasy, odległości od stacji PKP, czas przejazdu bez odpo-

czynków i z odpoczynkami, trudność techniczna i kondycyjna trasy - określane w 4 stopniach - od łatwej, nieco trudnej przez trudną do bardzo trudnej. Myślę, że następnym wydaniu przewodnika autorzy uzupełnią go danymi, które bez wątplenia ułatwią wybór trasy oraz samo podróżowanie po niej. Dobrze jest przecież wiedzieć, ile mam kilometrów za sobą, a co ważniejsze - ile przed sobą i czy trasa jest trudna czy łatwa do przebycia.

Tekst przewodnika przesycony jest wielkim zainteresowaniem, a nawet zachwytem oraz - co podkreślają sami autorzy w słowie wstępnym - ich miłością do tego zakątka ziemi. Proponowane w książeczce wędrówki to nie tylko możliwość dokładnego poznania Żuław, ale propozycja na zdrowe spędzenie wolnego czasu. Można powiedzieć, że to sposób na depresję, nie tylko tę żuławską, ale także psychiczną. Nie da się bowiem zaprzeczyć, że rowerowe wędrówki sprzyjają zdrowiu fizycznemu i psychicznemu. Twierdzenie to zawarte jest w popularnym powiedzonku: „rower - zdrower”. Zatem bierzmy przewodnik, wsiadajmy na rower i ruszajmy w drogę po Żuławach. Jest tu co zwiedzać.

Leszek Sarnowski

ŻUŁAWY ELBLĄSKIE POD OKIEM BADACZY

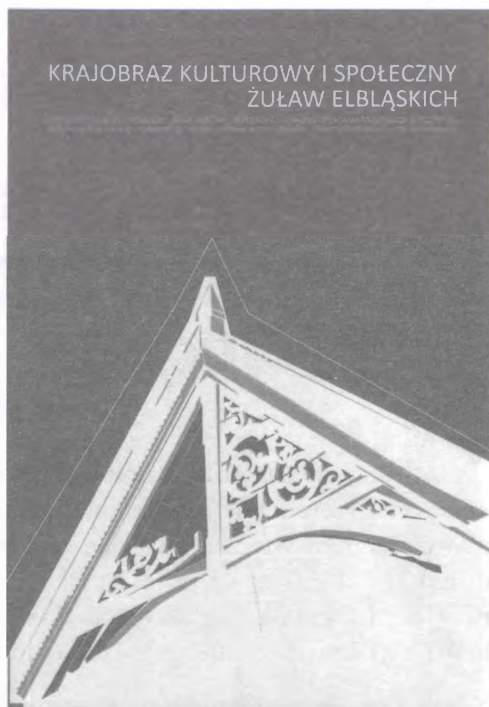
Krajobraz kulturowy i społeczny Żuław Elbląskich, praca zbiorowa pod red. Anny Weroniki Brzezińskiej, Urszuli Wróblewskiej, Piotra Szwieca, Poznań - Białystok, 2012 r.

Publikacja powstała z inicjatywy Instytutu Etnologii i Antropologii Kulturowej Uniwersytetu Adama Mickiewicza w Poznaniu, Zakładu Historii Wychowania Wydziału Pedagogiki i Psychologii Uniwersy-

tetu w Białymstoku i Wydziału Architektury i Wzornictwa Uniwersytetu Artystycznego w Poznaniu. Już pochodzenie naukowców wskazuje na interdyscyplinarność podjętych badań i tak jest w istocie. To niezwykle inspirująca, mimo naukowego aparatu, lektura. Dwadzieścia różnorodnych artykułów zawarty w publikacji to efekt interdyscyplinarnych badań przeprowadzonych przez naukowców w ramach projektu „Krajobraz kulturowy Żuław Elbląskich” na terenie czterech gmin – Stare Pole, Markusy, Gronowo Elbląskie i Elbląg. Pokazują one przemiany zachodzące na Żuławach po wojnie, kształtowanie się nowej tożsamości lokalnej, a także pamięć o tych którzy żyli na Żuławach przed wojną.

Trudno w krótkiej recenzji ująć tak różnorodne tematy poruszane w publikacji, ale z autopromocyjnych względów należy wskazać choćby teksty autorów, którzy debiutowali już na łamach naszego kwartalnika. Anna Weronika Brzezińska pisze o Żuławach w perspektywie badań etnologicznych, podkreślając jak bezcenne jest badanie żuławskiej codzienności, szczególnie w kontekście budowania tożsamości. O początkach tej powojennej tożsamości, kształtowanej przez osadników z różnych stron Polski, pisze Bartosz Stańda. Alicja Janiak opisuje ginące zawody i żuławskich twórców ludowych. Aleksandra Paprot, (jej artykuł o Stablewie publikujemy w tym numerze), opisuje losy cmentarzy menonickich i ewangelickich na Żuławach Elbląskich, dostrzegając pozytywne przemiany w lokalnej społeczności, która od kilkunastu lat zaczęła traktować „obce” dotąd cmentarze, jako ważną część swojego krajobrazu.

Poza „naszymi” autorami wskazać należy ciekawy tekst Marty Paluszek o żuławskiej pamięci zbiorowej, cykl artykułów peda-



gogicznych czy teksty dotyczące regionalnej architektury na przykładzie kościołów, zagród olęderskich czy domów podcienionych w Stalewie, Jegłowniku, Markusach, Złotowie, Krzyżanowie, Fiszewie, Szropach, Żuławce Sztumskiej. Pozostaje mieć nadzieję, że publikacja pozytywnie wpłynie na lepsze poznanie naszego regionu, a co ważniejsze będzie miała wpływ na samorządy lokalne, regionalne, instytucje konserwatorskie, prywatnych inwestorów, by podjęły wspólne działania, by uratować unikatowe zabytki architektury, które od lat są w coraz gorszym stanie, a wiele z nich zniknęło już bezpowrotnie z żuławskiego pejzażu. Ktokolwiek podejmie się takie działania może liczyć na pełne wsparcie redakcji naszego kwartalnika.

Marta Aleksandrowicz-Wojtyna

Miłosz Wojtyna

TOPIKA SOPOCKA – DWADZIEŚCIA LAT „TOPOSU” W PIGUŁCE

Wydawany od niemal dwudziestu lat dwumiesięcznik literacki *Topos* to ciekawy przykład czasopisma, które w poszukiwaniu własnej tożsamości nie bało się eksperymentów i metamorfoz – czasem okraszonych elementem rewolucyjnym. Już na łamach pierwszego wydania redaktor naczelny, Krzysztof Kuczkowski, nieśmiało zaprasza czytelników do zadawania pytań, dociekania, rozglądania się za odpowiedziami, do poszukiwania razem z redakcją drogi do toposu i, być może, także toposu drogi.

Nim *Topos* - czasopismo stało się dwumiesięcznikiem literackim, przeszło przez szereg zaskakujących kulturalnych mariaży, separacji, rozwodów i narodzin. Okładka pierwszego numeru, jeszcze formatu A4, informuje czytelnika o tym, że za chwilę rozpocznie lekturę miesięcznika o sztuce i ekologii. Można więc prowokacyjnie przyjąć, że rosnąca obecnie w siłę ekokrytyka, której początków szuka się na Zachodzie w połowie lat dziewięćdziesiątych w antologii *The Ecocriticism Reader: Landmarks in Literary Ecology* (1996), tak naprawdę ma swoje podwaliny tu, w 1993 roku, w Sopocie, w szalonym pomysle redaktora Krzysztofa Kuczkowskiego. „Ekologia myślenia” – tak natenczas Kuczkowski pojmował to ciekawe połączenie sztuki i ekologii. W trzecim numerze próbuje w pewien sposób tłumaczyć ten frapujący związek, zamieszczając wiersz Franza Hohlera „Rachunek z drzewami”, który stanowi ciekawą ilustrację relacji pisarz – drzewo. *Topos* zyskuje stałe kolumny: „Teatr i okolice” pod red. K. Wójcickiego, „Artysta i obraz” K. Nowosielskiego, „Literatura i okolice” T. Ferenc i Z. Jankowskiego, „Rock i okolice” T. Lipińskiego i „Ballada i okolice” pod red. T. Olszewskiego. Czwarty i piąty numer działają już pod szyldem „KULTURA – SZTUKA - EKOLOGIA”, numer ósmy wyodrębnia literaturę: „LITERATURA – SZTUKA – KRYTYKA - EKOLOGIA”, natomiast dopiero rok 1995 przynosi formę dwumiesięcznika literackiego, do którego *Topos* nas przyzwyczaił.

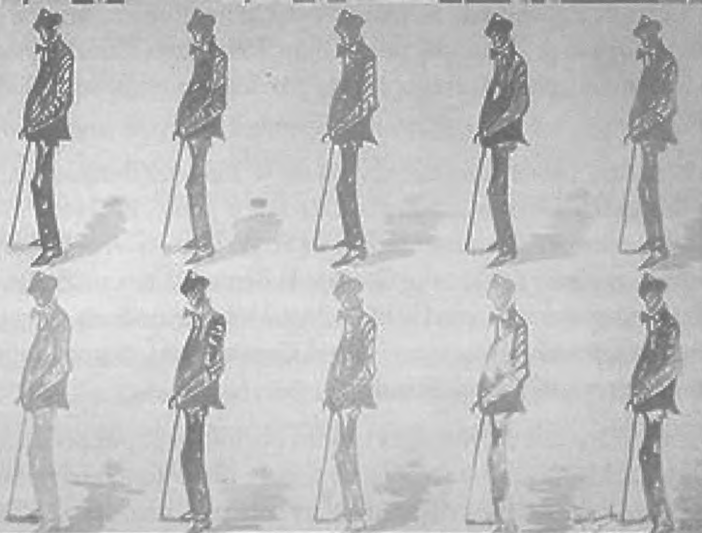
Tyle archeologii.

Nowy *Topos* to rzeczywiście czasopismo literackie, zawierające przyczynki krytyczne, eseje i bogaty dział recenzji (niemal każdy numer zawiera kilkanaście pozycji – częstym gościem jest tu również jeden z redaktorów „Prowincji” – Janusz Ryszkowski), jednak łatwo można zauważyć, że punkt ciężkości wyraźnie przesuwa się w stronę poezji. Z czasem profil poszczególnych numerów krystalizuje się i oscyluje wokół konkretnych nazwisk (Ta-

TOPOS

DWUMIESIĘCZNIK LITERACKI
nr 1-2 (122-123) 2012 • rok XLII • ISSN 1230-8943

JAMES JOYCE



Emily Dickinson • Feliks Netz • Wojciech Kass • Krzysztof
Karasek • Bogusława Latawiec • Przemysław Dakowicz •
Karol Maliszewski i in.

PLAKAT JANUSZ SZUBER ARKUSZ POETYCKI



9 771230 894004 >
CENA 15 zł (5% VAT)

deusz Różewicz, Czesław Miłosz, Zbigniew Herbert, Miron Białoszewski, Krzysztof Karasek) bądź motywów (np. dwa numery poświęcone obecności anioła w literaturze). Wydawnictwo ze szczególnym sentymentem odnosi się do Rainera Marii Rilkego – być może ze względu na szczególny szacunek, jakim darzy go redaktor naczelny oraz na związek austriackiego poety z Sopotem. Topos to jednak wyjątkowe czasopismo, które nie boi się łączenia podpisów wielkich sław i zupełnych debiutantów. Krzysztof Kuczkowski wyraźnie podkreśla, że *Topos* interesują przede wszystkim dobre teksty, a nie prestiż nazwiska.

Wciąż piszą autorzy z pierwszych numerów *Toposu*. Publikuje „szkoła Karaska”, czyli, jak Julian Kornhauser pisał w „Tygodniku Powszechnym”, poeci tacy jak Kass, Kuczkowski, Kociuba czy Mikołajewski. W sekcji „Teologia poetów” Zofia Zarębianka mówi o metafizycznych aspektach poezji Hartwig, Miłosza, Polkowskiego, Świetlickiego, Tranströmera i innych. Prace o Miłoszu i Różewiczu towarzyszą żywej dyskusji o poezji współczesnej. Cykl wypowiedzi na temat dwóch dwudziestolec (międzywojennego i najnowszego) przedstawia uważne przemyślenia na temat twórczości Kassa, Szydła, Kornhausera i Koehlera. W „Ogrodzie debiutów” regularnie pojawiają się nowe głosy, odnajdywane między innymi w cyklicznych konkursach poetyckich, które Topos organizuje lub obejmuje patronatem (najważniejszym z nich jest z pewnością Konkurs Poetycki im. Rainera Marii Rilkego). Kolejne tomy biblioteki Toposu przedstawiły poezję m.in. Krzysztofa Karaska, Przemysława Dakowicza i Olgi Kubińskiej, prozę Rilkego, a także przekłady poetów sopockich na język angielski.

Przekłady z literatury powszechnej pojawiają się w *Toposie* z dużą regularnością. Tylko w ostatnich dwóch latach wydano numery tematyczne o Joysie, Beckettie i Rilke, w których fragmentom twórczości klasyków towarzyszą artykuły krytyczne. W innych numerach tłumaczenia Sofoklesa, Emily Dickinson, Gottfrieda Benn a Williama Butlera Yeatsa znalazły się w sąsiedztwie zagranicznej krytyki literackiej, która przemówiła głosami beckettologów (S. E. Gontarski), poetów - tłumaczy (David Constantine), dramatologów (Paul Allain) i specjalistów od prozodii (Derek Attridge).

Rozpiętość tematyczna jest zadziwiająca i godna pochwały. Topos porusza się po polu literatury ze swoistą zachłannością: troszczy się o tematy, dba o kontynuację myśli, wiąże numery z wydarzeniami kulturalnymi, sięga po rzeczy sobie ulubione. I być może redaktorom chodzi właśnie o troskę – o uwagę i namysł nad tekstem, o literaturę a nie „życie literackie”, o skupienie się na esencji – czyli o celebrację słowa, o dobre myślowe i wydawnicze wybory, którym, pomimo wyraźnej konsekwencji, nie grozi hermetyzm. „Próbujemy zapisać «nasze dwudziestolecie» jako zbiór osobistych doświadczeń”, czytamy w nocie redakcyjnej dla tekstów o poezji współczesnej. Wydaje się, że *Topos* jest właśnie taki – pełen indywidualnego starania o literaturę i jej kontakt z życiem.

Maciej Kraiński

JAK TO Z LUBCZYKIEM JEST

Gunter Grass, autor „Turбота”, nie byłby kronikarzem kuchni pomorskiej, gdyby nie odnalazł zupy bursztynowej w pradawnych annałach naszych ziem. Z właściwą sobie przewrotnością ulepił fragment powieści z przepisu na zupę. Posłuchajmy:

I jednego razu, kiedy Mestwina, która zamieszkiwała z nami na Osieku wyspę rybaków, wśród Motławy, szykowała biskupowizupę rybną z pięciu wylupiastookich głów dorszy i na krótko przedrozgotowaniem wyjmowała pomuchlowe łby z wywaru, zerwał się jej naszyjnikz nieobrobionych kawałków bursztynu. W chwili, gdy pochylała się nad parującym kotłem, nieszczęsny sznur trzasnął(...), dziewięć lub siedem podziurawionych gorącym drutem bursztynów zsunęło się ze sznura do kotła i rozpuściło w kipiącym wywarze, nadając pewnie chrześcijańskiej postnej zupie rybnej ową pogańską moc, która od niepamiętnych czasów tkwi w bursztynie i której oddziaływanie tak bardzo odmieniło, ba całkowicie przestawiło-ledwie skończył zupę-cnotliwego Wojciecha(...). Przyniosło to uzależnienie. Odtąd biskup co tydzień pragnął przyprawionej bursztynem zupy rybnej Mestwiny.

Dobra kucharka wie, że nie ma bulionu bez lubczyku. W ogrodzie zielonym hrabiny Heleny Sierakowskiej ziele rosło wysoko jak paproć w jurajskim lesie. Halka, bo tak na nią mówiono, upychała do kieszeni zapaski dorodne liście ziół, no i oczywiście lubczyku, kiedy dyspozycję o warzeniu bulionu wydawać zamierzała.

Przedstawmy zatem bohatera naszej opowieści. Lubczyk lekarski (*Levisticum officinale*), zwany też lakotne ziele, mleczeń nagi, lubiśnik lekarski i uroczo lubystek. Zioło pochodzi, jak mówią mądre księgi, z Iranu, choć zdziczały występuje w całej Europie, a szczególnie w Ligurii - Włochy. Korzeń tego ziółka zawiera olejek eteryczny, żywice, kwasy organiczne, garbniki, sole mineralne, a także skrobie i cukry. O witaminach nie wspomnę, choć jest ich multum. Skracam, bo panowie Wacek, Januszek i Leszeczek co mnie w redakcji za rączkę prowadzą, pogonią i duchem ze sztumskiego zamku poszczują.

Lubczyk był ponoć uprawiany w ogrodach starożytnej Grecji i Rzymu, gdzie służył jako aromatyczna przyprawa. Św. Hildegarda zalecała go na schorzenia płuc i brzucha. Stosowano go również jako odtrutkę przy ukąszeniach wściekłych psów, jadowitych węży i skorpionów. Stanowi też składnik afrodyzjaku, czyli napoju miłosnego, podobno pobudza popęd płciowy - czytaj chuć - stąd też jego polska nazwa. Słowianki, czyli wy drogie czytelniczki, wplatały go dowianków weselnych oraz ukrywały w fałdach sukni, wierząc że zapewni on szczęśliwe współżycie z mężulkiem. Oczywiście jest, że kuchnia szaleje za lubczykiem, wiadomym jest też kto sobie dogadza nas karmiąc... Tak, tak męski czytelniku, musiałem się pojawić ja, twój waplewski bazarz, by objaśnić ci powiedzonko: „Przez jedzenie do serca”.

Hiszpanie są mniej metaforyczni i miast trzymać się za serce, wyznając płomienną miłość, trzymają za inną część ciała, jęcząc zamiast serce - cojones. Wniosek z tego, że Amor swą strzałą godzi ludy iberyjskie niżej, ale równie skutecznie.

Ad rem, korzeń lubystka używany jest często zamiast selera, jako dodatek do włoszczyzny, a lodygi gotuje się i przyrządza podobnie jak szparagi. Świeże i suszone liście nadają się doskonale do zup, sosów, mięs i sałat. Polecam do gulaszu, farszów, flaków, czasem drobiu, ryb lub masła ziołowego.

Suche owoce lubystka dodajemy do marynat, warzyw i grzybów. Łączcie go z cebulą, czosnkiem i majerankiem. Choć do odwrotu głos trąbki wzywa pragnę nadmienić, że Julius Maggi (1846-1912), Szwajcar z urodzenia, wymyślił koncentrat jarzynowy i mięsny w postaci kostek lub w płynie dopiero w XIX wieku, podczas gdy my Polacy stosujemy nasz lubiśnik od zarania dziejów i dlatego jest nas prawie 40 milionów, a Szwajcarów kilka zaledwie. Wniosek z tego prosty, struli się chemią Maggiego do cna wyzbyli się odruchów chędożenia, w celach prokreacyjnych oczywiste.

Na łepetynę wciskam czapkę z piórkiem i wierszyk recytuję:

*O lubczyku, ziółko złote...
 Jaką ty masz wielką cnotę.
 Czy pan, czy chłop nic nie pyta,
 a za serce wnet go chwyta...
 O lubczyku dobre ziele,
 prośże ty mnie na wesele!*

(J. I. Kraszewski)

Oj, pożywna i przydatna będzie zupka bursztynowa na pomuchlich głowach – nieobeznany z pomorską ichtiologią nieśmiało przypominam, że chodzi o wątlusza, czyli dorsza po kaszubsku. Ruszajmy zatem, ale prrr... , bez winka nie ujedziemy.

Pogrzebmy w Niemiaszkach. Butelki długasne niczem koszykarka przy Chince od ping-ponga. Płeć biała, wszak o białym winie przyjdzie dywagować. Przebierać będziemy w reńskich i mozelskich. Wino reńskie sprzedaje się w butelkach brązowych, mozelskie zaś w zielonych. Proste jak świński ogon. Wejdźmy w drugi zakręt ogona. Klasyk mówi: ... *mozelskie jest jak młoda dziewczyna, świeże lekkie i soczyste. Reńskie jak kobieta po trzydziestce - dojrzałe, głębokie.* Szczepy winne, z których tłoczy się obydwą, to Muller-Thurgau, Riesling i Silvaner. Schłodzić! Odkorkować! Lać!

Co lać? Śpieszę z pomocą. Sugestia pierwsza - reński riesling Spaltlese (późny zbiór) doskonały do ryb rzecznych, wszak Palatynat szumi strumieniami. Sugestia druga - Mosel Liebfraumilch, po naszymu Mleko Matki Boskiej. Butelkę poznacie po Madonnie z Dzieciątkiem na etykiecie. Uwaga! Butelki z napisem na etykiecie Tafelwein po odkorkowaniu śpiesznie wylać do zlewu. Sięgać po Qualitätswein albo Qualitätswein mit Pradikat. I jeszcze jedno - nie jodłować. Ren i Mozela to nie Bawaria.

Prosit!!!

Wasz Maciej z Waplewa

Marek Stokowski

IX

PROWINCJONALIA

CZYLI

KRONIKA ŻYCIA TERENOWEGO

Szanowni Państwo!

Minęło już lato. Wkrótce wszystko zniknie nam sprzed oczu – zalane przez deszcz, zakryte przez śniegi i północną, gęstą ciemność. I tak pewnie będzie aż do marca. Zatem, póki jeszcze coś tam widać, przedstawiamy wam obrazy i garść wieści z kilku miejsc naszego świata. Warto im się dobrze przyjrzeć, może nawet schować je pod łóżkiem. One mogą się już wkrótce przydać, zwłaszcza tym, co będą chcieli się upewnić, czy istnieją rzeczywiście lasy, pola, a do tego wsie i miasta, i przyssane do nich życie.

Redakcja

ŻYCIE ONIRYCZNE

Częsty sen o suwnicowym. Mira Latoń z Zajezierza śni, że on przyjeżdża do niej aż z Kwidzyna, daje kwiaty i zaprasza na zabawę w centrum Sztumu. Kwiaty białe i czerwone, bez przybrania, z cienką wstążką.

Tańczą prawie całą noc, do świtu, on jej stawia oranżadę, różne takie, potem idą wpółobjęci nad jezioro, gdzie on (suwnicowy) pływa dla niej w samych gatkach. Gatki takie białe i zielone, bez paseczków i na gumce.

Wreszcie on ją odprowadza do mieszkania. Obiecuje małżeństwo, dużą szafę z wieszakami i kanapę (rozkładaną). Ta kanapa cała biała i różowa, a obicie bez guzików, tylko szyte.

On całuje ją na pożegnanie w same usta, ona jemu pocałunek ten oddaje, on odchodzi, bo suwnica musi jeździć już od szóstej, nie ma rady. Trudna praca, lecz przynajmniej suwnicowy może przysiąc się nieznaniej, starszej pannie, dać jej kwiaty, piękną miłość – po zaśnięciu albo tuż przed przebudzeniem, kiedy pachną smarem jego dłonie.

ŻYCIE HOTELOWE

Hotel w Nowym Dworze. Tyka ścienny zegar.
Gość do recepcjonistki Staroń:

– A w moim pokoju jest zimno jak w psiarni.

Katarzyna Staroń:

– Ryszard!

Pojawia się konsjerż z miotaczem płomieni. Podąża za gościem do jego numeru. Przez otwarte drzwi pokoju wpuszcza gęste strugi ognia. Palą się zasłony, podłoga i krzesło. Gość grzecznie dziękuje, kładzie się do łóżka i zasypia w błogim, wymarzonym cieple.

Ale czy gość zawsze musi się o wszystko prosić?

ŻYCIE LISTOPADOWE

Zawsze kiedy w listopadzie Honorata Szmidt-Borowczyk wkłada majty po suszeniu, to przewiewa ją od dołu jakiś przeciąg. I potem ma kaszel.

A dlaczego? A dlatego, że ta Honorata Szmidt-Borowczyk suszy swe ogromne majty na podwórku, blisko stacji (wieś Mleczewo), no i wtedy wpada w nie jesienny, bardzo zimny wiatr ze wschodu. Wiatr nadyma je, łopocze, szumi:

– Chciałem dostać się na Zachód a tu koniec, jestem w saku.

Honorata Szmidt-Borowczyk marznie. Wyczekuje z utęsknieniem południowych bryz przedwiośnia i tchnień lata. Wiatr zaś tęskni do chorągwi nocnych świateł w pięknych miastach kontynentu, i do kobiet w zwiewnych tiulach i jedwabiach.

No, a majty, wielkie majty z samodziła marzą całym swoim włóknem, aby wschodni wiatr polubił je choć trochę i by już się nie wyrwał, nie uciekał gdzieś na Zachód. One marzą, żeby usnął w ich przyjaznym cieple, a przed snem wyszumiał cicho:

– Do was tak leciałem, ukochane, o was śniłem nad Uralem, o was, majty Szmidt-Borowczyk, trzepoczące się jak serce, na stalowym drucie koło stacji.

ŻYCIE ASTRONOMICZNE

Jakiś idiota wszystko popsuł. Przyjechał do Fromborka gdzieś z Walimia czy z Bielska-Białej, nie wiadomo, i księżycową nocą coś majdrował, zapewne z nudów czy z głupoty. I nawet nie wiadomo, chciał czy nie chciał, ale fakt faktem – ruszył Słońce i, nygus jeden, wstrzymał Ziemię.

No, kto go prosił? Było dobrze!

A teraz – masz, wypracuj nową filozofię scholastyczną, załatw modyfikacje w podręcznikach, sprawdź pozmienny rozkład lotów do Krakowa, a przecież człowiek ma całą masę pracy i bez tego, i co jest winny, że idiota, ten niepoważny typek wszystko popsuł.

A może ktoś z szanownych państwa, w czasie wizyty we Fromborku, szczególnie nocą, przy księżycu, potrafiłby obrócić to i tamto? Wiecie – *de revolutionibus*, tak jak kiedyś. Ape-lujemy przede wszystkim do tych z Bielska czy tam z Walimia, nie wiadomo.

ŻYCIE NIE DO WYTRZYMANIA

Rozkalibrowanie wszystkiego w powiecie kwidzyńskim. Najgorzej u Hirszów. Dom zrobił się mniejszy a szauerek dużo większy. Tak samo kalosze, chleb, marchew, wiadukty, widelce, koguty i drobne na tacę, no wszystko dokoła się całkiem – no, nie wiem – wyrwało ze skali.

Albo weźmy takie liście. Na tym samym drzewie – jedne wielkie niczym kołdry, inne małe jak lzy dziecka. Martyniuk z Janowa lewą rękę ma do ziemi a prawą do żebra. Jałowiec w Benowie wystrzelił do nieba, aż skaleczył igłą chmurę, a znowuż samochód Purzyckich tak zmałał, że zjadł go kot Tuchłów i warczy jak motor.

Gdzie indziej – w Gardei – chłopaczek Migowskich zогromniał jak King Kong i depcze po grządkach, po domach, po drzewach, i nawet nie można mu teraz dać w dupsko, bo kto tam dosięgnie, no chyba że Gorcyc – on też się powiększył – lecz Gorcyc się upił i leży w dolinie, z policzkiem na boku.

A cała ta zgroza przez Marka Stajszczaka. Bo on – ślepa graca – raz patrzy przez bryle, a raz je zdejmuje, a szkła ma grubości bałtyckiej meduzy. I nikt teraz nie wie, czy ma być ogromny, czy średni, czy mały.

W dodatku ten łobuz się zamknął w chałupie, w Ryjewie, i siedzi. Ludziska z powiatu stukają do okna – małego jak oko, wielkiego jak morze – do okna Stajszczaka, a ten ani wyjrzy. Nie wyjrzy i koniec. I nic nie wiadomo, czy jest w okularach, czy zdjął i odłożył.

ŻYCIE FILOZOFICZNE

Teresa Grabowska z Kępiny rozwiesza na lince bardzo mokre, ciężkie myśli:

– Tak, teraz jesteśmy, ale kiedyś nas nie było. To gdzie my byliśmy, kiedy tutaj nas nie było? Czy w kosmicznym rozproszeniu na mikroskopijne cząstki i zamysły? Czy za kulisami wielkiej sceny? Czy w czeluściach ciemnej szafy? Czy w dworcowej poczekalni? Za kotarą jakiejś jawy? A może w przejściowym lokalu pomocy społecznej za szkołą?

I nie ona jedna wiesza mokre. Powiedzmy – Monika Stachyra z Waplewa. Właśnie chwytta klamerkami kilka własnych nieodwirowanych pytań:

– No, gdzie my byliśmy, czy ktoś to pamięta? I kto nas tam wtedy tak na co dzień, tak przez lata utrzymywał? Czy ten ktoś nie oczekuje, że za to zwrócimy? I kiedy to będzie? I w jakiej walucie?

Stachyra z Grabowską wieszają na linkach. Do wieczora wszystko przeschnie, bo dzisiaj jest cieplej i wieje z południa. To dobrze, przynajmniej lżej będzie zasypiać, lżej wkraczać w przestrzenie, w których chwilę ich nie było – Grabowskiej z Kępiny, Stachyry z Waplewa – i w ogóle wszystkich innych, którzy są to tu, to tam, to ówdzie a może gdzieś indziej.

ŻYCIE MUZEALNE

Portier wpuszcza spóźnionego gościa do muzeum wiatru w zamku Zantyr. Idzie z nim przez salę południowej bryzy, przez galerię lekkich szkwałów i komnatę z przeciągami. Zwiedzający jest ogromnie wdzięczny, wszakże nie chce nadużywać uprzejmości, cierpliwości...

– Jeszcze góra – odpowiada stary portier.

Istotnie, na piętrze jest więcej. Choćby sala huraganów. Dalej – izba bałtyckiego sztormu i refektarz z zawiejami. Strasznie trudno coś powiedzieć, jeszcze trudniej coś usłyszeć. Trzeba trzymać się porządnie barier.

Obaj wchodzą na szczyt wieży. Tam ulokowany jest magazyn cugów i oddechów gospodarzy zamku Zantyr. Słysząc głośny trzask okiennic.

Gość wykrztusza do portiera:

– To co? Chyba będę leciał.

Starzec nie ma nic przeciwko temu.

Gość opada wolno, lotem liścia, aż do piwnic w trzonie wieży. Po tygodniu uspokaja wreszcie nerwy i już można udostępnić zwiedzającym coś nowego. Któż nie lubi, zwłaszcza dzieci, atmosfery lochu westchnień?

ŻYCIE Z CHEŁMOŃSKIEGO

Bociany w odlotach. Ścierniska i dymy. Chłop przysiadł na miedzy, obok niego stoi dziecko z bardzo brudnym palcem w buzi i z glutem do kolan.

– Rzucają nas, dranie, i to w najtrudniejszej chwili – woła chłop w kierunku ptaków.

– A do tego brak gotówki – pomstują ścierniska.

– Kłopoty z omłotem – jęczą długie dymy.

– Za lasami mrozy – chłop szepcze ze zgrozą.

– A we wsi już katar – wtrąca do rozmowy malec.

– Odfruwam na skrzydłach słomianego dymu – woła chłop i wstaje, otrzepując portki. – Zostań tutaj, dziecko, i słuchaj matuli.

Gremialne odloty, prawo świętych ptaków.

Noty o autorach

Marta Aleksandrowicz-Wojtyna – od 2010 r. doktorantka Filologicznych Studiów Doktoranckich UG; przygotowuje pracę doktorską na temat negocjacji z feminizmem w opowiadaniach Nadine Gordimer.

Wacław Bielecki – od 1947 r. Mieszkaniec Nowego Stawu, a od 1974 r. Sztumu. Absolwent pedagogiki Uniwersytetu Gdańskiego. Pracował jako nauczyciel w Szkole Podstawowej w Nowym Stawie i asystent w Katedrze Pedagogiki UMK w Toruniu. Był dyrektorem Poradni Wychowawczo-Zawodowej oraz Liceum Medycznego i policealnej szkoły medycznej w Sztumie. W 1980/81 r. redaktor naczelny tygodnika *Sztumska Solidarność*, a na przełomie lat 1989/90 członek kolegium redakcyjnego tego pisma. W latach 1990 – 1994 radny i przewodniczący Rady Miasta i Gminy Sztum. Od X 2011 r. na emeryturze.

Jerzy Burski – ur. w 1948 r. , absolwent Wyższej Szkoły Grafiki i Sztuki Książki w Lipsku, grafik warszawski. Opracował ponad tysiąc książek, tyleż znaków graficznych, dużo plakatów, czasopism i gazet. Od 22 lat prowadzi własne studio graficzne. W ubiegłym wieku był naczelnym grafikiem w wydawnictwach: Arkady, Nasza Księgarnia, Książka i Wiedza, Świat Książki i in.

Marta Chmielińska – ur.1973 w Hajnówce na Podlasiu. Pracowała jako dziennikarka Kuriera Porannego i TV Podlasie. Jej teksty ukazywały się w *Niedzieli* i *Piśmie Kulturalnym*. Od 2010 roku mieszka w Malborku, współpracuje z *Dziennikiem Bałtyckim* i *Radiem Malbork*.

Jan Chłosta - dr nauk humanistycznych, wiceprezes Towarzystwa Naukowego im. Wojciecha Kętrzyńskiego, autor ponad 30 książek i 50 artykułów, poświęconych przeszłości Warmii i Mazur, w tym piśmiennictwu (*Warmia i Mazury w literaturze polskiej i niemieckiej w latach 1945-1995*) leksykonów (*Słownik Warmii*), prac o Wydawnictwie „Gazety Olsztyńskiej” i ludziach z nią związanych, wydawca wierszy i prozy M. Zientary-Malewskiej, ks. W. Barczewskiego, J. Liszewskiego, K. Frenszkowskiego oraz zbiorów wspomnieniowych o ludziach regionu.

Przemysław Hubert Dorszewski – ur. 1981 roku w Malborku, absolwent historii Uniwersytetu Warmińsko-Mazurskiego w Olsztynie, od 2010 roku doktor historii. Jego zainteresowania naukowe koncentrują się wokół historii średniowiecznej, historii lokalnej, biografistyki.

Paweł Głogowski – ur. 1969 r. w Warszawie. Absolwent politologii Uniwersytetu Warszawskiego. Zainteresowania: historia, rekonstrukcje historyczne, numizmatyka, Indianie, góry, książki. Mieszka w Sztumie.

Maciej Andrzej Grochowski – ur. 9 stycznia 1938 roku w Dąbrowie Górniczej, od blisko 10 lat na emeryturze. W Nowym Dworze mieszka od 44 lat. Przedtem mieszkał w Bytomiu na Śląsku. Ma uprawnienia Przewodnika Turystyki Kajakowej PTTK uzyskane w 1966 roku. Działacz Klubu Nowodworskiego.

Małgorzata Anna Jędrzejewska - bibliotekarka, nauczycielka jęz. polskiego, lifecoach. Mieszka w Nowym Stawie. Na co dzień pracuje w gimnazjum nowostawskim, starając się,

ze zmiennym skutkiem, wyrobić u młodzieży pociąg do czytania - dlatego rokrocznie organizuje maratony czytelnicze, które cieszą się powodzeniem także u dorosłych mieszkańców miasta. Jest członkinią Alternatywnego Elbląskiego Klubu Literackiego.

Grażyna Kamyszek – ur. w 1950 r. w Sztumie. Absolwentka LO w Sztumie. Ukończyła filologię polską na UG i studia podyplomowe z bibliotekoznawstwa. Pracowała jako nauczycielka jęz. polskiego w Postolinie i w Ustce. Autorka scenariuszy i realizatorka wieczorów poetyckich przybliżających twórczość H. Poświatowskiej, E. Stachury i K.K. Baczyńskiego – wystawianych na scenie Domu Kultury w Ustce. Współredaktorka wydania tomu poezji „Młode głosy” (1997r.), promującego twórczość młodzieży. Aktualnie na emeryturze. Mieszka w Ustce, a latem w Barcicach.

Andrzej Kasperek – ur. 1958 w Stegnie. Prawie całe życie spędził na Żuławach. Po studiach na UG (seminarium Marii Janion), działalności w SKS, zakładaniu NZS i pracy w DKF „Żak” od ćwierć wieku oddaje się pracy nauczycielskiej w nowodworskim liceum. Autor tomu *Back in the DDR* i inne opowiadania [słowo/obraz terytoria, Gdańsk 2010], który znalazł się w Finale Nagrody literackiej Gdynia 2011. Aktualnie ukończył pracę nad książką poświęconą inspiracjom malarskim w twórczości Jacka Kaczmarskiego pt. *Galeria Jacka Kaczmarskiego. Skrzydło Wschodnie*.

Maciej Kraiński – ur. w 1950 r. w Gdańsku. Studiował filologię polską na UMK w Toruniu i Uniwersytecie Gdańskim. Współzałożyciel pisma literackiego *Litteraria*. Założyciel i pierwszy prezes Koła Młodych przy ZLP w Gdańsku. Uczestnik strajku sierpniowego 1980 r. W latach 1999-2003 dyrektor Wojewódzkiej Biblioteki Publicznej w Gdańsku. Prezes i założyciel Stowarzyszenia Gunthera Grassa. Pomysłodawca i współtwórca obchodów 80-tych urodzin noblisty w Gdańsku w 2007 r. W latach 2005-2006 współpracownik *Dziennika Bałtyckiego*. Współpracował z miesięcznikiem *Punkt* i *Dziennikiem Londyńskim*. Wydał tomik poezji „Jelita” i współtworzył almanach poetycki „*Nowy transport posągów*”. Od 2009 roku tworzy Muzeum Tradycji Szlacheckiej w Waplewie Wielkim oddział Muzeum Narodowego w Gdańsku. W 2010 roku wydał książkę *Panowie na Waplewie*.

Kordian Kuczma – ur. w 1986 r. zamieszkały w Sztutowie (powiat nowodworski), magister stosunków międzynarodowych, student studiów doktoranckich Collegium Civitas i Instytutu Studiów Politycznych PAN, analityk think-tanku Instytut Jagielloński ds. polityki historycznej i obszaru postsowieckiego, b. sekretarz redakcji kwartalnika *Business Security Magazine*, współpracownik *Gazety Finansowej* i *Sportu Wyczynowego*.

Adam Langowski – ur. 1981 r. w Sztumie, absolwent LO w Sztumie, ukończył historię na UMK w Toruniu. Pracuje jako nauczyciel historii w Zespole Szkół w Starym Targu, wychował się w Ramotach w gminie Stary Targ. Mieszka w Sztumie

Stanisław Modrzewski – ur. 1956, wykładowca historii literatury brytyjskiej i teorii literatury na Uniwersytecie Gdańskim. Od lat współpracuje ze szkołami wyższymi kształcącymi nauczycieli języka angielskiego w Gdańsku i swoim rodzinnym Elblągu, gdzie wykłada także historię literatury amerykańskiej. Jest członkiem Polskiego Towarzystwa Conradowskiego. Opublikował szkice o twórczości autora „Lorda Jima”, monografię „Autor-

ska świadomość systemów a warsztat literacki Conrada” oraz zbiory opowiadań „Wielorzecze”, *Gdzie tataraki, gdzie jerzyki*. Krąg jego zainteresowań badawczych obejmuje dwudziestowieczną prozę i poezję brytyjską w szczególności zaś obok Conrada twórczość Grahama Greene’a, Williama Empsona, Seamusa Heaney’a oraz Petera Ackroyda i Grahama Swifta.

Dorota Maluchnik – ur. 1963 w Malborku. Absolwentka LO w Sztumie i teatrologii na UJ w Krakowie. Nauczycielka języka polskiego i angielskiego. Publikacje w „Regionach elbląskich”. Nagroda poetycka w 2001 w Kaliszu oraz amerykańskiego portalu critic`’s award. Publicystka, tłumacz, krytyk teatralny. Mieszka w Sztumie.

Janusz Namenanik – ur. w 1952 r. w Dzierzgoniu. Absolwent Akademii Pomorskiej w Słupsku. W latach 1982–2003 był nauczycielem fizyki w dzierzgońskich szkołach. Od 2003 roku na emeryturze. Autor licznych opracowań z zakresu dydaktyki fizyki, które w latach 1987 – 1993 publikowane były na łamach *Fizyki w Szkole*. Zdobył I miejsce w ogólnokrajowym konkursie na opracowanie dydaktyczne nt. Domowe zadania doświadczalne z fizyki. Od grudnia 2010 roku publikuje na łamach *Dzierzgońskiego Informatora Samorządowego* artykuły będące szkicami z dziejów Dzierzgonia. Obecnie mieszka w Lęborku.

Karol Nawrocki – ur. 1983, historyk, działacz społeczny. Pracownik IPN w Gdańsku, doktorant historii na Uniwersytecie Gdańskim. Autor trzech książek poświęconych opozycji antykomunistycznej w PRL

Wiesław Olszewski – ur. w 1957 r. Absolwent Akademii Rolniczo-Technicznej w Olsztynie, rolnik. Inicjator reaktywacji struktur Polskiego Towarzystwa Turystyczno-Krajoznawczego w Nowym Dworze Gdańskim. Współzałożyciel i Prezes Klubu Turystycznego PTTK w Nowym Dworze Gd. Przewodnik po Muzeum Stutthof.

Aleksandra Paprot – ur. w 1988 r. Studentka kulturoznawstwa na Uniwersytecie Gdańskim i wiceprezes Studenckiego Koła Naukowego „Mozaika” zajmującego się regionami Polski oraz ginącymi kulturami świata. Uczestniczka etnologicznych badań terenowych na Żuławach Elbląskich i Gdańskich organizowanych przez IEiAK UAM w Poznaniu oraz studenckich badań terenowych UG nad szamanizmem syberyjskim wśród Buriatów nad Bajkałem. Interesuje się regionem i kulturą materialną Żuław, obrzędowością, tradycją i folklorem wsi polskiej oraz sztuką i strojami ludowymi. Mieszka w Starej Kościelnicy.

Anna Peplińska – Z wykształcenia pielęgniarka, w zawodzie przepracowała 35 lat. Dzieciństwo i młodość spędziła w Lisewie koło Tczewa. Mieszka i tworzy w Elblągu. W 2010 roku zadebiutowała powieścią „Karczowiska”. Píše także poezję. Za tomik wierszy „Żuławska baba” została wyróżniona w 2011 roku w Konkursie Literackim – Elbląski Rękopis Roku, organizowanym przez Fundację Elbląg.

Piotr Piesik – ur. w roku 1962 w Malborku. Przez 20 lat mieszkaniec Częstochowy, od 2009 roku ponownie w rodzinnym mieście. Absolwent nauk politycznych na Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. Dziennikarz. Pracował m.in. w tygodniku „Wia-

domości Elbląskie”, częstochowskim oddziale „Dziennika Zachodniego”, radio „City” i telewizji „Orion” w Częstochowie. W latach 2000 - 2003 redaktor naczelny dziennika „Życie Częstochowy”. Obecnie redaktor prowadzący oddziału „Dziennika Bałtyckiego” w Sztumie. Zainteresowania: muzyka wszelkiego rodzaju, byle dobrze wykonana, historia Żuław i Powiśla, marynistyka, sporty motorowe. Z zamiłowania chórzysta, śpiewał m.in. w chórze „Lutnia” w Malborku i Częstochowskim Chórze Kameralnym przy Filharmonii Częstochowskiej.

Janusz Ryszkowski – ur. w 1955 w Opaleniu. Absolwent Filologii Polskiej UWM w Olsztynie. W latach 1984-2009 dziennikarz *Wieczoru Wybrzeża*, *Wiadomości Elbląskich* i *Dziennika Bałtyckiego*. Jako poeta debiutował w 1975 roku w *Nowym Wyrazie*, jako krytyk literacki trzy lata później na łamach *Nowych Książek*. Opublikował tomiki: „Wiersze” (1983), „Stan podgorączkowy” (nagroda im. Kazimierza Iłłakowiczówny na najlepszy książkowy debiut 1985 roku), „Płatny romans”, „Prywatne śledztwo” (1992), „Do snu nie przemycisz domowych zapachów” (2001). Autor reportażu „Requiem dla hrabiego” (1997), „W podróży po ziemi sztumskiej” (2010), współautor albumów starych pocztówek oraz fotografii „Sztum-Stuhm” (2000) i „Odcienie szarości” (2003). Z Krystyną Błaszczyk – Ryszkowską przygotował antologię „Oko judasza” (2007), złożoną z prac literackich nadsyłanych od 1992 na Ogólnopolski Przegląd Sztuki Więziennej w Sztumie. Mieszka w Sztumie.

Leszek Sarnowski – ur. w 1959 r. w Barcinie na Kujawach. Absolwent historii UG. Jako dziennikarz współpracował z *Gazetą Wyborczą*, *Dziennikiem Bałtyckim*, *Radiem Gdańsk*, *Radiem Plus*, *TVP Olsztyn*, *TVP Gdańsk*. Przewodniczący Komitetu Obywatelskiego „Solidarność” w Sztumie w 1989 roku. Redaktor naczelny *Sztumskiej Solidarności* i *Gazety Sztumskiej* w latach 1989-93. Wydawca i redaktor książki „Od „Solidarności” do społeczeństwa obywatelskiego” (2005). Założyciel Stowarzyszenia Inicjatyw Obywatelskich „Taka Gmina” w Sztumie, pomysłodawca, wydawca i redaktor naczelny kwartalnika *Prowincja*. Obecnie dyrektor Departamentu Kultury Urzędu Miejskiego w Elblągu. Mieszka w Sztumie.

Mariusz Stawarski – ur. w 1961 r. Absolwent Wydziału Architektury Wnętrz PWSSP w Gdańsku. Od 1990 roku mieszka i pracuje w zamku w Malborku, gdzie zajmuje się wystawiennictwem i grafiką użytkową. Od 1986 roku zajmuje się malarstwem liryczno - groteskowym, wystawianym i nagradzanym w wielu krajach i zagranicznych konkursach – Grand Prix Satyrykonu 1998, Secend Prize Istanbul - Turcja. Mieszka w Malborku.

Marek Stokowski – ur. 1957 r. w Warszawie. Absolwent Wydziału Polonistyki Uniwersytetu Warszawskiego. Kustosze w Muzeum Zamkowym w Malborku. Prowadzi unikalne w skali kraju gry edukacyjne i przygodowe dla młodzieży i dorosłych. Autor książek beletrystycznych i edukacyjnych. Członek Stowarzyszenia Pisarzy Polskich. Wydał m.in. „Dzień nad ciemną rzeką” (1996), „Sny dla dorosłych i dla dzieci” (1998), „Legends i opowieści zamku Malbork” (2002, 2005), „Krzyżacy, ich państwo i zamki” (2003), „Błazen” (2004), „Noc tajemnic” (2005), „Samo-loty” (2005), „Stroiciel lasu” (2010). Mieszka w Malborku.

Cezary Tryk – urodził się w Olsztynie. Studiował historię na UMK w Toruniu. Obecnie mieszka w Węgorzewie. Jest nauczycielem historii. W 2011 roku uzyskał tytuł doktora na UW-M w Olsztynie z zakresu historii średniowiecznej i nowożytnej. Specjalizuje się w dzie-

jach łowiectwa i leśnictwa, głównie obszaru dawnych Prus

Tomasz Wandzel – ur. 1975 r. w Głucholazach. Od najmłodszych lat zapalony turysta górski. W 1998 roku traci wzrok. Cztery lata później rozpoczyna studia na UMK w Toruniu i angażuje się w działalność studenckiej gazety. Od 2004 roku mieszka wraz z żoną i dziećmi w Prabutach. Poza pracą zawodową publikuje reportaże oraz krótkie formy prozatorskie. W 2010 roku zajmuje I miejsce w ogólnopolskim konkursie na reportaż prasowy im. Macieja Szumowskiego. Radny Miasta i Gminy Prabuty w kadencji 2010 – 2014. Wyda dwie książki- *Dom w chmurach* i *Hycel*.

Wirginia Węglińska – ur. 1987 r. W Nowym Dworze Gdańskim. Politolog, obecnie studentka historii na Uniwersytecie Gdańskim. Od 2009 r. pracuje w Dziale Oświatowym Muzeum Stutthof w Sztutowie. Jest przewodnikiem, zajmuje się szeroko pojętą edukacją, przeprowadza wywiady z byłymi więźniami, interesuje się życiem kulturalnym oraz muzyką w obozach koncentracyjnych. Od 2010 r. aktywnie współpracuje z młodzieżowymi ośrodkami wychowawczymi oraz specjalnymi ośrodkami szkolno-wychowawczymi na rzecz resocjalizacji osób niedostosowanych społecznie.

Maria Wiśniewska – ur. w 1963 w Sztumie. Absolwentka UMK w Toruniu na kierunku pedagogika - nauczanie początkowe. Nauczycielka Szkoły Podstawowej nr 2 w Sztumie. Hobby: działka i czytanie książek.

Miłosz Wojtyna – tłumacz, doktorant UG, pracuje nad rozprawą o opowiadaniu codzienności w krótkiej prozie brytyjskiej XX wieku.



